

POLITYKA W CZASIE WOJNY

Banderowcy z poparciem lewaków
– egzotyczny sojusz na Ukrainie

TYGODNIK LISICKIEGO

NR 46/553 13–19 LISTOPADA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Warzecha odsłania kulisy
decyzji prezydenta Dudy



Arcybiskup Gądecki i kardynał Ryś
– Semka o dwóch spojrzeniach
na Synod

Czy Izraelowi wolno więcej?



ISSN 2299-8500

Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

CIAO RADOM, CIAO RZYM

LOTNISKO
WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA
[NEKERA.PL](https://nekera.pl)



Specjaliści od zdobycia Krymu



PAWEŁ LISICKI

Gdzie są eksperci z tamtych miesięcy – pytam siebie, obserwując nowe doniesienia z Ukrainy. Przypomnę, bez nazwisk, bo i tak mam wielu wrogów, więc po co robić sobie następnych, panując w Polsce i obecnie we wszystkich mediach po lutym 2022 r. propagandę. Po pierwsze, miało z niej wynikać, że Ukraina łada moment zmiążdży bezsilną i głupio zarządzaną kacapię. Rosjanie nie umieli walczyć, szerzyła się w ich szeregach powszechna dezercja, rakiety nie latały, czołgi rozpadały się same, a najlepsza broń pochodziła z przerobionych łodówek lub kosiarek. W armii szerzyła się demoralizacja, a Putin znajdował się w stanie chronicznej śmierci, umierając raz za razem. Dodatkowo ciągle zaglądał mu w oczy strach przed szykującym się za plecami zamachem wojskowym.

Amerykańscy i brytyjscy generałowie, od których to najczęściej niczym papugi przemawiali mądrość polscy znawcy, przepowiadali rychłe zdobycie Krymu, totalne okrążenie wojsk rosyjskich i wielkie zwycięstwo. Polsce ofiarowali mocarstwowość i pozycję głównego rozgrywającego na Wschodzie. Mieliśmy być hubem dla Ameryki, kluczowym sprzymierzeńcem, najważniejszym sojusznikiem, który to raz-dwa zastąpi w tej roli Niemcy.

Na tym wizje analityków się nie kończyły. Najśmielsi opowiadali o rodzącym się wielkim polsko-ukraińskim sojuszu, ba, nawet przebąkiwali o nowej formie wspólnej państwowości, konfederacji obu narodów, która to odwróci dziejowe przekleństwo z XVIII w. i uczyni z Polski wielkie mocarstwo. Ukrainy nie trzeba było rozliczać za Wołyń, bo dość już wylała krwi, broniąc nas przed wschodnimi hordami. Przeciwnie, jawił się Kijów jako obrońca Zachodu, państwo demo-

kratyczne, a jego przywódca, Wołodymyr Zełenski, podejmowany był przez polskich przywódców, na czele z prezydentem Andrzejem Dudą, niczym guru, mędrcem i bohater bez skazy. Uściskom, pochwałom, uśmiechom nie było końca.

Tak to było jeszcze kilka miesięcy temu. Tymczasem okazuje się, że wszystkie te opowieści były funta kłaków warte. Mimo setek miliardów dolarów i euro oraz gigantycznej pomocy militarnej krajów NATO ukraińska kontrofensywa zakończyła się fiaskiem. Naczelny dowódca Sił Zbrojnych Ukrainy Walery Żałużny przyznał to niedawno. W „The Economist” generał stwierdził, że „wojna z Rosją znalazła się w impasie i aby go przełamać, potrzeba byłoby wielkiego technologicznego przełomu, a na to się nie zanoszą”. Żałużny przyznał także, że błędem były pojawiające się przed rozpoczęciem kontrofensywy spekulacje dotyczące możliwości zajęcia anektowanego w 2014 r. Krymu. Te skądinąd trzeźwe uwagi wywołały gniew prezydenta Zełenskiego, który odpowiedział, że „jeśli nie będzie zwycięstwa, to nie będzie kraju”. Jego otoczenie twierdzi, że wypowiedzi Żałużnego służy Rosji. W dość tajemniczych okolicznościach kilka dni temu zginął osobisty adiutant generała. Wkrótce potem prezydent Zełenski zwolnił innego generała, Wiktora Chorenkę, ze stanowiska dowódcy Sił Operacji Specjalnych Sił Zbrojnych Ukrainy.

Wszystko to razem świadczy o narastającym konflikcie wewnętrznym. Do tego można dodać jeszcze słowa byłego doradcy Zełenskiego, Ołeksija Arestowycza, który wprost mówi o obecnym prezydencie jako dyktatorze i krytykuje dalsze działania wojenne. Faktycznie, prezydent Zełenski zapowiedział,

że w związku z wojną z Rosją wybory prezydenckie w 2024 r. na Ukrainie się nie odbędą. Nie da się ukryć, że podejmuje działania, których trudno nie uznać za pogwałcenie podstawowych praw i wolności, jak szykanowanie, a obecnie zakaz działania Cerkwi uznającej zwierzchnictwo kanoniczne Moskwy.

Dzieje się dokładnie to, co można było przypuszczać, jeśli tylko ktoś miał rozum i nie ulegał propagandowym mrzonkom, serwowanym chętnie przez zachodnich lobbystów. Wybuch konfliktu na Bliskim Wschodzie sprawił, że uwaga USA zdecydowanie skierowała się ku tamtemu regionowi. Wyraźnie też widać, że sami Amerykanie mają dość wspierania Kijowa, czego dowodem jest wzrost poparcia dla Donalda Trumpa, głównego oponenta polityki Joe Bidena. Amerykanie się Ukrainą znudzili. Koszty pomocy rosły, a zapowiedzianego upadku Rosji jak nie było, tak nie ma. Jeśli zatem gdzieś dojdzie do zamachu stanu, to raczej w Kijowie niż Moskwie. Gorzej, że Rosja po pierwszym okresie słabości i chaosu odzyskała inicjatywę i jest teraz bardziej niebezpieczna niż na początku konfliktu.

Jeszcze w marcu i kwietniu 2022 r. można było zawrzeć korzystny dla Ukrainy rozejm. Tyle że wtedy, jak wynika ze słów byłego premiera Izraela Naftalego Bennetta, rozmowy zostały przerwane przez Zachód. Amerykanie i Brytyjczycy namawiali Ukrainę do dalszej wojny, obiecując zgnięcie Rosji. Polscy eksperci, jakżeby inaczej, wtórowali. Dziś widać, jak wielkim to było błędem. Ogromne koszty ludzkie, które poniosła Ukraina, mogą nie przynieść efektów. Państwo nie tylko może stracić część terytorium, lecz także pogrążyć się w chaosie. ©©

TEMAT TYGODNIA

16 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

ZBRODNICZY HAZARD IZRAELA

Rośnie fala antyżydowskich emocji

19 WITOLD REPETOWICZ

POMYSŁY NA PALESTYNĘ



NIE PRZEGAP

44 NASZ PRZEWODNIK

FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

50 LECH MAŻEWSKI

POLSKA PO WOJNIE NA UKRAINIE

Scenariusze na koniec wojny nad Dnieprem

52 JERZY KARWELIS

REFERENDUM KARPI?

54 IAN FIEDORCZUK

KONIEC RZECZYPOSPOLITEJ AUTORYTETÓW

HISTORIA



58 ROZMOWA Z PROF. JAKUBEM POLITEM

TECHNOKRACI I DYPLOMACI

Fenomen i zagłada Republiki Chińskiej

ŚWIAT

62 ROZMOWA Z DR. WOJCIECHEM SZEWKĄ

WIELKI PLAN AJATOLLAHÓW

Wojna interesów

65 MACIEJ PIECZYŃSKI

SOJUSZ TĘCZOWO-BANDEROWSKI

EKONOMIA

70 JAKUB WOZINSKI

DEDOLARYZACJA, KTÓREJ NIE MA

Amerykańska waluta trzyma się mocno

73 JACEK PRZYBYLSKI

ABONAMENT NA ŻYCIE

KRAJ

22 ŁUKASZ WARZECHA

SCENARIUSZE PANA PREZYDENTA

O co gra Andrzej Duda

26 ROZMOWA Z RYSZARDEM CZARNECKIM

PIS NIE ZNACZY OBCIACH

28 ZUZANNA DĄBROWSKA

MATCZAK KONTRA LEWICA

30 PIOTR SEMKA

POLSKI KOŚCIÓŁ PATRZY NA SYNOD

34 ANDRZEJ KRZYSTYŃIAK

NIEPODLEGŁE SAMORZĄDY?

36 ŁUKASZ ZBORALSKI

ZOSTAWIĆ DOBRO

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK

WSTAŃ I WALCZ

Nowy dokument Netflixa

40 ROZMOWA Z PROF. GRZEGORZEM ŁUKOMSKIM

KOMUNIZM CIĘTY PIÓREM

ADRES: Tygodnik DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięwicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Cośic (Bruksela),
Tomasz Cukiermilk, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Toralski, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sienkowski, Łukasz Zygado
STUDIO GRAFICZNE: Wojciech Niedziółko (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Taniś (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)

 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
 Okładka: **Illa Yefimovich/DPA/PAP**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

 Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel. +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmppg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy
DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez **RUCH SA:**

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Stary plan

„Przy pomocy środków propagandy, zwłaszcza prasy, radia, kina, ulotek, krótkich broszur, odczytów itp., powinniśmy stale wpajać ludności świadomość, że posiadanie dużej ilości dzieci jest szkodliwe. Trzeba wskazywać, jak ogromne koszty pociąga za sobą wychowanie dzieci i co można by nabyć za te pieniądze. Trzeba mówić o wielkim niebezpieczeństwie, jakim jest dla zdrowia kobiety rodzenie dzieci itp. Jednocześnie powinna być rozwinięta jak najszerzej propaganda środków antykoncepcyjnych. Koniecznie trzeba zorganizować szeroką produkcję tych środków. Rozpowszechnianie tych środków i poronienia nie powinny być w żadnym stopniu ograniczane. Należy wszelkimi sposobami przyczyniać się do rozszerzania sieci izb poronieniowych. Można, na przykład, zorganizować specjalne przeszkolenie dla akuserek i felczerek, nauczyć je dokonywania poronień. Im lepiej będą wykonywane poronienia, z tym większym zaufaniem odniesie się do nich ludność. Zupełnie zrozumiałe, że lekarze także powinni posiadać pozwolenie na dokonywanie poronień. Nie powinno się tego uważać za naruszenie etyki lekarskiej.”

Gdyby lekko tylko przeredagować powyższy cytat, nie zmieniając jego sensu, jedynie współczesniając styl i słownictwo (np. „dokonywanie poronień” na „dokonywanie aborcji”), można by pomyśleć, że to współczesna agenda lewicowa. Może jakiś manifest feministyczny, może manifest ludzi zatroskanych o przyszłość planety. Czym w istocie jest ten cytat? Sprawa się rozjaśni, gdy przytoczę jego początek:

„Aby na terenach wschodnich uniknąć niepożądanego dla nas powiększania się liczby ludności, należy stanowczo unikać na Wschodzie wszelkich środków, jakie stosowaliśmy w Rzeszy dla zwiększenia liczby urodzin. W tych obwodach powinniśmy świadomie prowadzić politykę zmniejszenia ludności”.

Tak, tak. To niemiecki plan modelowania świata według chorej wizji Hitlera. Cytat pochodzi z postłowa do polskiego wydania książki „Dźwięk rogu” (opisywanej zresztą kilka miesięcy temu w Waszym miesięczniku historycznym), a autorem

Już nie płacz. Tatusi przecież oblicza T, że odzyskamy Twoją katurkę VAT-owską



przytaczanych w postłowie słów jest jeden z przywódców III Rzeszy – Martin Bormann. No to jeszcze raz wróćmy do pomysłu z 1941 r.: „Obok tych posunięć w zakresie służby zdrowia nie powinno się stawiać żadnych przeszkód rozwozom. Nie powinno się udzielać pomocy dzieciom nieślubnym. Nie należy przyznawać żadnych ulg podatkowych rodzinom wielodzietnym ani okazywać im pomocy materialnej w postaci dodatków do zarobków...”

Wszystko już było.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Wyjaśnienie

W „Do Rzeczy” nr 44/2023, w zapowiedzi wystawy dotyczącej Lwowa i kolekcji dzieł sztuki z tego miasta, wpłatało się – trudnym do odgadnięcia sposobem – Wilno. Za oczywistą pomyłkę – przepraszam.

Radosław Wojtas



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Cena niepodległości

Wielki rezonans wywołał w świecie Zachodu wywiad głównodowodzącego sił ukraińskich Walerija Załużnego dla „The Economist”. Generał potwierdził to, o czym na portalach strategicznych pisano już wcześniej. Ukraińska ofensywa się nie udała. Rosyjscy dowódcy po początkowych porażkach potrafilo szybko wyciągnąć wnioski ze swoich błędów. Wojna wkracza według Załużnego w nowy etap – wojnę pozycyjną, statyczną i wyniszczającą, w której na dłuższą metę Rosja skazana jest na sukces.

Do czego można by przyrównać nowy etap tego konfliktu? Wyobraźmy sobie, że w październiku 1938 r. Czechosłowacja zdecydowała się jednak na opór i z pomocą Polski zatrzymała agresję Niemiec. Po paśmie sukcesów, kiedy to Zachód był pod wrażeniem bitności czeskich i słowackich żołnierzy, Francja i Wielka Brytania zaczęły zaopatrywać Czechosłowację w broń. Ale linia frontu się zatrzymała i wojska czechosłowackie nie są w stanie wyrzucić Niemców z zajętych już terytoriów.

Jak wówczas postąpiłby Zachód? Czy uznałby, że czas na konferencję pokojową, na której Czechi zostaną skłonione do oddania terenów sudeckich? Czy zwyciężyłaby wola zakończenia konfliktu, tak aby nic już nie komplikowało relacji na linii Paryż – Londyn – Berlin? A może np. Polska przekonałaby dyplomatów brytyjskich i francuskich, że nasze kraje nadal są zagrożone i powinny się na serio przygotować do kolejnego ataku?

Dziś mimo wielu różnic jesteśmy w dość podobnej sytuacji. Okazuje się, że Zachód dostarczył zbyt mało sprzętu i był zbyt dogmatyczny w przyznawaniu Ukraińcom jedynie broni defensywnej, aby Kijów mógł przeważać konflikt na swoją korzyść. Czy teraz Ukraina nie zostanie pozostawiona sama sobie? Putin posiada w bezpośredniej rezerwie armię nieźle ostrzelaną, z dowódcami, którzy uzyskali pewność po pierwszych niepowodzeniach rosyjskich w 2022 r. Polskę powinno to niepokoić, w wyjątkowym stopniu.

Jest rzeczą szokującą, że prezydent Joe Biden bardzo serio

potraktował pogróżki Putina, że polskie Ziemie Zachodnie były podarkiem Stalina i w domyśle, że stan ten może w przyszłości ulec zmianie. Jeśli dodać do tego niedawny oszałały manifest Dmitrija Miedwiediewa demonstrujący ideologiczną nienawiść do Polski – to wniosek winien być prosty. Czas na jeszcze intensywniejsze dozbrajanie Ukrainy.

Problem w tym, że emocje Unii są zupełnie inne. Słyszemy znów o mirażu pod nazwą „europejskich sił obronnych” i odwracaniu się plecami do Ameryki. Dla mieszkańców Francji, Niemiec czy Hiszpanii hasło nowej mobilizacji przeciw Rosji brzmi jak wezwanie do awantury. Dla państw bałtyckich czy Polski to strategiczna konieczność. Wkraczamy w okres spadku wiary Europy w swoje siły. Tchórzostwo wobec Rosji zaczyna znajdować pseudoracjonalne uzasadnienia. Taka mieszanina paniki z cynizmem to najgorsze, co może nas spotkać. A ani Tuski, ani Hołownia, ani Kosiniak-Kamysz nie wydają się być zdolni, by stawić takiej sytuacji czoła. © ©



FOT. ANDRZEJ CIPULERA/PAP

IGA ŚWIĄTEK ZNÓW NAJLEPSZA NA ŚWIECIE

Wielki triumf Igi Świątek! Polska tenisistka w pięknym stylu pokonała Jessicę Pegulę 6:1, 6:0, wygrała turniej WTA Finals w Cancun i wróciła na pierwsze miejsce w światowym rankingu. Iga Świątek to druga Polka, która wygrała WTA Finals. Pierwszą w roku 2015 była Agnieszka Radwańska. Rok 2023 był udany dla Świątek, która zarobiła w ciągu sezonu blisko 10 mln dol. (równowartość ok. 41,5 mln zł). (jap) © ©

Kup apartament w Szklarskiej Porębie

Wypoczywaj i zarabiaj na wynajmie



Zapytaj
bezpośrednio:

8%

stała stopa
zwrotu

80%

apartamentów
sprzedanych

OTWARCIE
2024



tremontiszkarska.pl

+48 222 571 207



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Właściwy człowiek

Na wieść, że przebywający w areszcie działacz PO Włodzimierz Karpiński, oskarżony o poważne przestępstwa korupcyjne, „zgodził się” objąć mandat europosła, wielu złapało się za głowy. Coś podobnego, co to się wyrabia, no niewiarygodne, haniebne... Zwłaszcza że tego samego dnia, jakby symbolicznie, stosowna komisja europarlamentu uchyliła immunitety czworga europosłów PiS, na wniosek sędzi z Iustitii prowadzącej sprawę wniesioną przez prawomocnie skazanego oszusta Rafała Gawła. Jego prywatny akt oskarżenia dotyczy załajkowania przez wspomnianych czworga parlamentarzystów na Twitterze spotu wyborczego własnej partii,

krytykującego politykę migracyjną UE. Jakkolwiek groteskowe się to oskarżenie wydaje, pani w todzie, jako się powiedziało, jest z Iustitii, sędziowskiej przybudówki PO, więc bardzo możliwe, że uzna owe lajki za propagowanie rasizmu i wlepi PiS-owcom po pięć lat oraz zakaz kandydowania. Miejsce Karpińskiego, który z mamra pojedzie do euro-parlamentu, zajmą więc w mamrze Patryk Jaki albo Beata Kempa.

I to ma swoją logikę, bo wspomniani europosłowie PiS, jako ludzie uczciwi, zwyczajnie nie pasują do europarlamentu, zdominowanego przez europosłów w rodzaju osławionej pani Kaili, u której nadgorliwa belgijska policja znalazła swego czasu walizkę pełną gotówki i nawet sformułowała konkretny

zarzut, za co to była łapówka i od kogo. Pani Kaili dawno już wróciła do szacownego gremium, nikt jej tam nie robi żadnych wyrzutów, bo niby za co – od ludzi mających niejasne dochody za nie wiadomo do końca co, z różnych niesłychanych z przejrystości krajów aż się tam roi i nikomu włos z głowy nie spadł, na czele z samą przewodniczącą von der Leyen, która zrobiła przecież wielomilionowy „myk” ma szczepionkach i odmówiła, przy pełnej wyrozumiałości europejskich elit, poddania się jakimkolwiek śledztwom. Doprawdy, do tego gremium pan Karpiński, zgodnie z zasadą „idźże złoto do złota”, pasuje dużo lepiej. Po prostu właściwy człowiek na właściwym miejscu! ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Tusk „ścieżką PiS”

PiS-owi opozycja notorycznie zarzucała, że nie potrafi szanować instytucji, które mają wcześniejszy od rządu mandat. Teraz przekonamy się, o co było tyle hałasu i jak nowa większość będzie szanować mandat instytucji, które sama zastała. Na łamach „Newsweeka” Dominika Długosz już pisze o „planie Tuska”, jak „obejść prezydenta i Trybunał”. Oczywiście „najprostsze” okazuje się „pójście ścieżką PiS, które od 2015 roku pokazało, że można prawo [...] naginać i naciągać tak bardzo, jak się da”.

Tusk to doskonale potrafi. Kiedy pytano go w czasie debaty o europejskim pakcie fiskalnym, czy ratyfikowanie go w zwykłym trybie

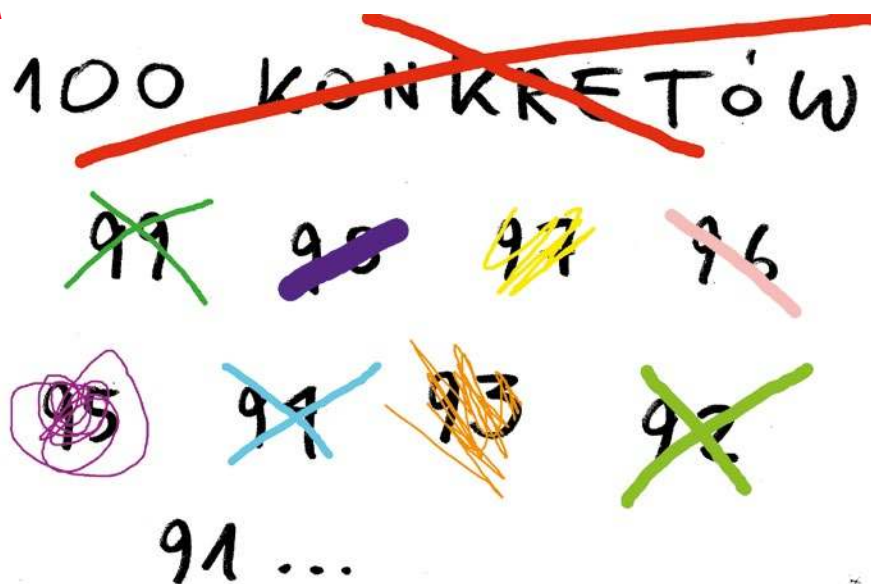
(a nie jak umowę, która dotyka suwerenności) jest zgodne z konstytucją, odpowiedział, że skoro „mówiąc wprost, ratyfikacja bez PiS-u nie będzie możliwa”, a wśród konstytucjonalistów opinie będą „takie i takie” – to „siłą rzeczy rozstrzygnie nastawienie polityczne”. Tak to wyglądał szacunek dla granic władzy i obiekcji konstytucyjnych pierwszego orędownika europraworządności w Polsce.

Zostańmy jeszcze przy historii, bo bardzo ciekawy jest język, jakim „Newsweek” ją opisuje. Przypominając unieważnienie przed ośmiu laty wyboru pięciu sędziów Trybunału Konstytucyjnego, wyjaśnia, że spośród odwołanych „dwóch większość PO-PSL rzeczywiście

wybrała za wcześniej”, ale podkreśla, że spośród później odwołanych „jednak trzech zostało wybranych zgodnie z prawem”. Elastyczność stylu naprawdę godna podziwu!

Tusk robi, co chce, „Newsweekowi” warto „jednak” przypomnieć, że wprawdzie w listopadzie 2015 r. trzech sędziów „rzeczywiście wybrano za późno”, „jednak dwóch zostało wybranych zgodnie z prawem”, tak samo zresztą jak w pełni majestatu i zgodnie ze wszystkimi rygorami prawa Rzeczypospolitej zostali wybrani pozostali sędziowie Trybunału Konstytucyjnego. Co oczywiście nowa większość i „Newsweek” doskonale wiedzą i dlatego dywagują, jak ten Trybunał „obejść”. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA



6 + 9 32 to 02 & e matcin brixen



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Jajko Meloni

Premier Włoch jak Kolumb przedstawiła nieortodoksyjne, choć proste rozwiązanie trudnego problemu wbrew doktrynie i doktrynerom. Chodzi o zalewającą Italię falę nielegalnej migracji z Afryki przez Morze Śródziemne.

Włochy w ramach obowiązku ratowania rozbitków skazane są na przyjmowanie wszystkich przybyszów (145 tys. w tym roku). Doktryna mówi, że każdy z nich ma prawo do złożenia podania o azyl, a uratowanych można przewozić jedynie do najbliższego państwa demokratycznego, czyli wyłącznie do Italii. Ponad 60 proc. podań jest odrzucanych, bo zainteresowani nie spełniają warunków. Zresztą wielu petentów składa podania,

żeby kupić nieco czasu, i znika, próbując przedostać się na północ Europy.

Premier Meloni 6 listopada podpisała umowę z premierem Albanii Edim Ramą, na której mocy wiosną przyszłego roku włoskie centrum rejestracji migrantów powstanie w albańskim mieście portowym Shengjin 60 km od Tirany, a drugi zamknięty obóz dla oczekujących na rozpatrzenie podań o ochronę międzynarodową lub na ekspulsję wybudowany zostanie w pobliskim Gjader. W sumie obie struktury będą mogły pomieścić 3 tys. osób. Włoski rząd liczy, że w ciągu roku przez oba obozy przewinie się blisko 40 tys. migrantów, czyli niemal jedna czwarta przybyłych w tym roku. Do obozów przewożeni będą wyłącznie migranci ura-

towani na Morzu Śródziemnym przez włoską marynarkę wojenną i straż przybrzeżną. Nie będą tam kierowane zagraniczne jednostki z migrantami ani statki ratownicze międzynarodowych organizacji pozarządowych. Włoska opozycja, fanatycznie wyznająca kult świętego migranta, podniosła laryum: „Drugie Guantanamo!”, „Przymusowa deportacja!”, „Niezgodne z prawem!”. Naturalnie Komisja Europejska już ostrzegła, że zawarte porozumienie musi być zgodne z prawem unijnym, więc czeka na pełny tekst dokumentu i wyjaśnienia.

Tak czy inaczej, na identyczny pomysł wpadli przedtem Austrijczycy, wysyłając migrantów do obozów w Papui-Nowej Gwinei, i nikt nie protestował. © ©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

FOT. WOLFF OLSZAK/FAST NEWS

GWIAZDOBZDUR



KIM JEST STANOWSKI?

Rozstania nie są łatwe. Szczególnie gdy w grę wchodzi pieniądze. Wielu fanów było zasmuconych, gdy okazało się, że popularny dziennikarz sportowy Krzysztof Stanowski kończy współpracę z Kanałem Sportowym. Początkowo wydawało się, że pójdzie gładko. „Stano” poinformował o złożeniu wypowiedzenia, a koledzy – Mateusz Borek, Michał Pol i Tomasz Smokowski – podziękowali za lata wspólnego projektu. Kulturalnie było jednak tylko do czasu. – Kim dla Kanału Sportowego jest dzisiaj Krzysztof Stanowski, żebyśmy kilkadziesiąt minut o nim rozmawiali? – zapytał, nie kryjąc emocji, Borek, podczas transmitowanego na żywo spotkania z udziałem Pola i Smokowskiego.

– Rozmowa o biznesie z Krzyskiem jest na poziomie podstawówki, bo Krzysiek Stanowski dzisiaj publikuje na swoim kanale WhatsAppowym, że we wtorek sprzedaje udziały [...]. Ja znowu się mogę zapytać, kto go upoważnił do takiej informacji. To są sprawy spółkowe – wskazał komentator sportowy. Borek zarzucił byłemu już chyba koledze, że od początku współpraca była ustawiona tak, aby najwięcej korzyści czerpał „Stano”. Dodatkowo ma żal, że Stanowski zmienił się jako człowiek.

– Kiedy siedzieliśmy w restauracji cztery lata temu, to ja wiem, kim był Krzysztof Stanowski i kim był w swojej przygodzie zawodowej [...]. I my się wtedy na coś umówiliśmy [...]. Ja się trzymam tego, co ustaliśmy z wami trzema cztery lata temu. Dla mnie podanie ręki jest droższe od zapisu na papierze – mówił rozbudzony Borek. Kilka słów od siebie dodał też Tomasz Smokowski. – Krzysiek uznał, że jest większy od nas, jest większy od całej siedziby. Jest tak duży, że nie ma tlenu dla wszystkich, więc w takim wypadku niech idzie w swoją stronę. Małżeństwa też czasami się rozpadają – podsumował gorzko. Co na to wszystko Stanowski? „Kłamanie na mój temat jest o tyle obarczone ryzykiem, że zawsze mogę powiedzieć prawdę” – napisał na portalu X. Czas zacząć robić zapasy popcornu.

OD PINOKIA DO POLITYKA

Å propos miłości kumpelskiej, czyli niemalże braterskiej. Marcin Prokop postanowił „ocieplić” wizerunek Szymona Hołowni, z którym przez lata tworzył duet prezenterki w programie TVN „Mam talent!”. – Dość ryzykowne połączenie dwóch ludzi z zupełnie różnych parafii – dosłownie – czyli mnie i Szymona Hołowni, na którym wszyscy – znowu nomen omen – postawili krzyżyk, stwierdził, że to się na pewno nie uda, że to głupi pomysł. Edward Miszczak miał swoje przebiegły geniuszu i to był jeden z nich – wspomina Prokop w podcaście „W Trójkącie”. – Szymon był sobą, ja byłem sobą i graliśmy w otwarte karty. Nie hamowaliśmy się, nie daliśmy sobie pisać żartów. Wchodziliśmy na antenę i jechaliśmy z głowy – opowiada prezydent. Gwiazdor TVN recenzuje postępy, które poczynił Hołownia. – Zawsze wiedziałem, że Szymon się oderwie od „Mam talent!”. Od pierwszej edycji właściwie już się odrywał. To nigdy do końca nie był jego lot, jego program. Potraktował to trochę jako poligon doświadczalny, uczący go publicznych występów, zarządzania

emocjami tłumu. Wszystkie te rzeczy, które w niedawnej debacie parlamentarnej wykorzystał, to są rzeczy, które nabył w tym programie. Patrząc na niego teraz, jak występuje jako polityk, widzę gościa, który jeszcze 15 lat temu był, przepraszam, Szymon, kocham Cię, ale byłeś drewnem no, byłeś Pinokiem telewizyjnym – stwierdził Marcin Prokop. Jednocześnie prezydent wspiera karierę polityczną Hołowni. – Wierzę w to, że jest w polityce dla dobrych intencji. A po drugie, że on wie, co robi. Że nie robi ruchów przypadkowych. Oczywiście zdarzają się błędy, potknięcia, wynikające z tego, że on jeszcze nie do końca potrafi obsługiwać tę nową rzeczywistość, natomiast strategicznie ja mu ufam – zapewnia. Przecież Hołownia płakał nad konstytucją. Jak ktokolwiek mógłby mu nie ufać?!

W DOBRYM TOWARZYSTWIE

Media lewicowo-liberalne nadal analizują, dlaczego prawie 8 mln Polaków głosowało na PiS. Tym razem w roli eksperta pisarka Katarzyna Grochola. – Nie dziwię się tym osobom, bo jeżeli ktoś naprawdę klepał biedę i miał na miesiąc 1050 zł, to te dodatkowe tysiące w roku robiły robotę. Ludzie dostawali prezent i nie zauważali, że to, co kosztowało 2,50 zł, teraz kosztuje 4,60 zł – przekonuje, mówiąc o ekstremitetach. – Nie dziwię się ludziom również zmanipulowanym przez szczytną PiS-owską. Oni uwierzyli w to, że Tusk wpuszcza imigrantów, którzy będą gwałcić na ulicach – dodaje Grochola. Pisarka patrzy w przyszłość z optymizmem, choć wie, że lekko nie będzie. – Cieszę się bardzo, że to nie ja jestem przy władzy i nie ja będę musiała o tym wszystkim decydować. Wychodzenie z tego kryzysu, w który PiS nas wpędziło, będzie trochę trwało. Wolę, żeby to trwało w towarzystwie dobrych ludzi niż otrzymać 14. emeryturę w towarzystwie s.....w – podkreśla. Ciekawe, co na to miliony polskich emerytów. Z pewnością są takiego samego zdania. © ©



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, a więc jednak PiS nie jest w stanie honorowo przekazać władzy i przed nami najprawdopodobniej festiwal politycznej korupcji i poszukiwania brakujących do większości posłów. Uważajcie, bo mogą się dziać dziwne rzeczy.

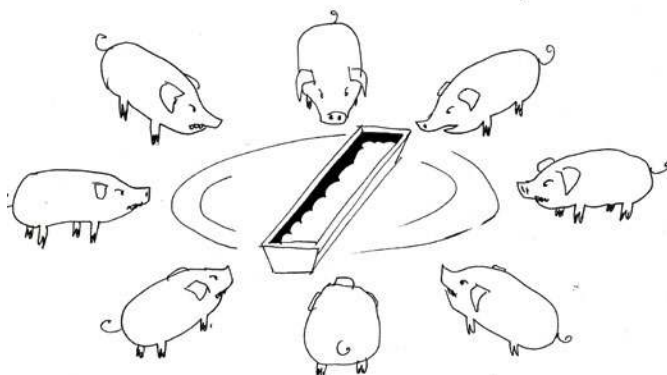
Na przykład dzisiaj Nowy z Tarnowa zaprosił nas na lunch poza open space'em, iż chciał na spokojnie pogadać. Zdziwieni zgodziliśmy się, daliśmy się nawet zaciągnąć do jakiegoś baru mlecznego, gdzie na szczęście były wegetariańskie pierogi, których nazwy nie wolno wymawiać.

Siedzimy tam więc, jemy, mierzymy się wzrokiem, atmosfera tężeje, już nawet myśleliśmy, iż dostaniemy wypowiedzenie – ale przecież mamy umowę o dzieło, więc nie było się czego bać xD.

Aż tu nagle Nowy mówi do nas: „A nie chcielibyście czasem wejść do koalicji?”. I zaproponował nam udział w większości parlamentarnej, stanowisko szefa którejś z podkomisji i dyplom Prawdziwego Polaka.

Kiedy go wyśmialiśmy, popisując się swoją rozległą wiedzą z zakresu prawa konstytucyjnego, iż nie może szukać większości poza Sejmem, to speszony wyjaśnił, iż dostał takie KPI, że ma przeprowadzić przynajmniej jedną osobę do koalicji pisowsko-narodowej, ale nie

ko ty to to ta cy nie



c e z d r y k t y s z t o r z

powiedzieli mu skąd, więc szuka gdzie popadnie.

Z jednej strony niby zrobiło się nam go żal, ale z drugiej poczuliśmy satysfakcję, iż sam teraz widzi, jak to jest, kiedy ma się narzucone nieludzkie targety. Może dwa razy pomyśli, zanim znów nam każe przynajmniej raz na dwa tygodnie przyjść do korpo o czasie i sprzedać przynajmniej raz w miesiącu pakiet Internet + telefon + panele fotowoltaiczne.

Po raz kolejny czujemy się bardzo rozczarowani Polakami. Otóż dotarliśmy do wyników sondażu, według którego 85 proc. Polaków chce budowy w tym kraju elektrowni atomowej, a 51 proc. (czyli większa połowa) chce budowy CPK.

Co do atomu, to dobrze znacie nasze stanowisko: tylko energia ze

słońca i rozgrzanych pozytywnym przekazem od zjednoczonej już-nie-opozycji ludzkich serc. Atom jest szkodliwy i jako Unia Europejska powinniśmy dążyć do wyeliminowania atomów na całym świecie, a przynajmniej w Europie – żeby dać innym przykład. Polacy jednak nie są na tyle świadomi, nie wyciągają wniosków z bolesnych lekcji i pewnie marzy im się wielka narodowa elektrownia. Wstyd.

No a skoro to jest wstyd, to co powiedzieć o CPK?

Tym pomniku pisowskiej dumy i megalomanii? Przeciesh w tym kraju jest od cholery lotnisk, więc na co nam kolejne i to w takim miejscu, gdzie nic nie ma? Są duże lotniska w Niemczech, jak pod Frankfurt, większe niż niejedna polska gmina xD. Gdzie my się pchamy z tym CPK w ogóle? xD.

Of kors nie pochwalamy tego myślenia, ale je rozumiemy. Polacy potrzebują wielkich symboli swojej potęgi, nad którymi można zatwierdzić biało-czerwoną flagę i pokazywać reszcie Europy: patrzcie, jacy jesteśmy mocni.

A od takiego machania szabelką sami wiecie, co się dzieje: rozbudzanie demonów polskiego patriotyzmu i umacnianie złotego. Same tragedie. ©©



FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Po co ci kartony?

Mariusz, nie macie tam u siebie we wojsku jakichś kartonów?

Po co ci kartony, Mateusz?

No jak: po co? Nie udawaj głupiego. Mam tych rzeczy trochę do zabrania.

No coś takiego. To jednak Władek ci nie uległ? Co za pech.

Daruj sobie. To jak – macie te kartony? Bo u nas zabrakło...

U nas nie ma żadnych kartonów. Kartony są dla miększonów. U nas są porządne kontenerki z kuloodpornej blachy.

To weź daj ze dwa chociaż.

Daj to był chiński sprzedawca jaj. Sam sobie zorganizuj. Najlepiej tak skutecznie, jak nam kampanię zorganizowałeś.

Ja ci przypominam, że nadal jestem premierem...

Dobra, hasta la vista, na poligon muszę jechać. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„PiS chce się przesiąść w Sejmie, żeby Kaczyński nie musiał siedzieć koło Tuska i zadzierać głowę do góry, by móc na niego spojrzeć”.

TOMASZ LIS, publicysta, na Twitterze

No i stało się: prezydent Andrzej Sebastian powierzył misję tworzenia rządu premierowi Mateuszowi. Spełnił tym samym, jak słyszeliśmy, swoją obietnicę. A nawet dwie, dotyczące tego samego. Po rozmaitych wahaniach miał bowiem Mateuszowi osobiście dwa razy obiecać, że mu powierzy. Nas nie dziwi, że dwa razy. Einmal ist keinmal.

Innym krokiem prezydenta Andrzeja Sebastiana musimy skomentować brutalniej. Chodzi o wyznaczenie na marszałka seniora Sejmu Marka Sawickiego z Peezeli. Tych wszystkich, którzy marzą o koalicjach z zielonymi braćmi, zapraszamy do trudnej próby zrozumienia, z kim i czym naprawdę mają do czynienia. Pierwsze, bowiem, co zrobił Sawicki w ramach konsensusu i nowego otwarcia, to wezwanie, żeby od razu na nowym posiedzeniu Sejmu głosować wotum nieufności wobec nieistniejącego rządu Morawieckiego. Wiemy, że Peezel próbuje się sprzedawać jako ludzi kompromisu i honoru. Ale czy od razu trzeba w to wierzyć?

Tymczasem na spotkaniu z nowymi parlamentarzystami zabrakło Szeregowego Nadpremiera Jarosława Kaczyńskiego. Nie było drugiego dna, prezes był bowiem chory. Nawet wiemy na co, ale nie powiemy, bo obiecaliśmy i nie chcemy być podpadzochą. Natomiast na pewno nie była to grypa, o której w „Superaku” mówił kuzyn Jan Maria.

Głównym podpadzochą na prawicy jest natomiast obecnie niejaki Masta, czyli nowy szef gabinetu prezydenta Andrzeja Sebastiana. Powszechnie uważa się w PiS, że jest on za prędko w języku. Urzędowanie zaczął od wysyłania Jarosława Kaczyńskiego na emeryturę. Ale od ubiegłego tygodnia jest jeszcze gorzej. Kilka słów za dużo Mastalerka na temat rozmów osoby głowy państwa z Kosińskim-Kamyszem sprawiło – w opinii Nowogrodzkiej – że szanse na dogadanie się z Peezelem dramatycznie spadły.

Zamykając wątek Andrzeja Sebastiana: już za nami kolejne nominacje generalskie. Dla nas znacznie ciekawsze

dwaj panowie **g**

od tego, kto dostał, jest to, kogo na liście zabrakło. A zabrakło szefa ABW, płk. Krzysztofa Waćławka. Z naszych informacji wynika, że początkowo na liście był, ale potem przestał być. Dlaczego? Niestety, jeszcze nie wiemy. Ale jak nas znacie, to się dowiemy.

Tymczasem nadszedł czas kolejek. I to takich, których nie rozładuje zniesienie zakazu handlu w niedzielę. Do kolejki ustawiają się na Nowogrodzkiej ważni ludzie, widzący się oczami wyobraźni w europarlamencie. Wśród



FOT. ROBERT CARDONSKI

chętnych do wyjazdu znajdziemy zarówno ministrów konstytucyjnych, jak i ludzi, którzy byli rozmaitymi marszałkami albo wice. Kolejki te budzą wielkie zaniepokojenie aktualnych europosłów, którzy wiedzą, że Nadpremier Kaczyński ma dobre serce i do niejedynej prośby może się przychylić.

Druga kolejka jest liczniejsza, ale panuje w niej większy bałagan. Chodzi o listę chętnych na biorące miejsca w sejmikach wojewódzkich oraz radach miejskich, nie mówiąc już o możliwych do zdobycia fotelach burmistrzów i prezydentów miast. Ponieważ populacja posłów Zjednoczonej Prawicy została przetrzebiona w ostatnich wyborach, to właśnie byli posłowie pozbawieni reelekcji uważają, że należy im zapewnić możliwość kontynuowania pracy dla ojczyzny w innym charakterze. Co niekoniecznie zbieżne jest z oczekiwaniami lokalnych aktywów partyjnych, które mają własnych bohaterów.

Słyszeliście na pewno, że jedną z przyczyn niemrawości kampanii PiS w terenie była reforma partii, czyli przejście z okręgów wojewódzkich na sto mniejszych. Nie jest to w obliczu wyborów samorządowych sprawa najpilniejsza, ale naczelnik już pracuje nad reformą reformy. Jedna z wiewiórek mówi nam, że sprawa trudna, bo byli posłowie też muszą mieć co robić, więc najłatwiej zrobić ich minibaronami.

Wracając do europarlamentu. Reżim pisowski natęży prześladowania ludzi niewinnych i się na nich mści. Więźniów politycznych kieruje przymusowo do pracy. Na przykład więzień Władysław Karpiński z Peło będzie musiał pracować jako europoseł w Brukseli, zatem z dala od rodziny i miejsca osadzenia. To okrucieństwo bez precedensu. Zwracamy uwagę na zawodowe umiejętności Karpińskiego. To chemik. Na Zachodzie bardzo ceni się polskich chemików. Ale Władek podobno woli walczyć o praworządność.

Od razu dementujemy jedną rzecz, bo wielu tkwi w mylnym błędzie. Otóż mimo objęcia mandatu europoseł Władysław Karpiński, ksywa Chemik, nie

otrzyma w wyniku swej półrocznej misji ani europejskiej emerytury europośla, ani nawet europejskiej odprawy europośla. Widzimy w tym jaskrawy przykład antypolonizmu.

Skoro o pieniądzach. Wreszcie wiemy, o co były te wybory. Chodzi o zawyżone ceny usług taksówkarskich. Otóż Donald Tusk nie potrzebuje CPK, gdyż woli wsiąść w taksówkę i za 20 minut być na lotnisku. A na CPK, domyślamy się, musiałby z Sopotu jechać kilka godzin, więc rachunek za taksówkę byłby wysoki. Gdyby taksówki były tańsze, to stać by go było na kurs do Baranowa. Uważamy, że wszystkie instytucje państwa, łącznie z parlamentem, należy przenieść do Trójmiasta. Tak, żeby były w zasięgu oszczonego Donalda.

Apropos Brukseli i Donalda. W Brukseli objawiła się niejaka Dorota Bawolek, była korespondentka Polsatu, która przy okazji wizyty Donalda otwarcie zaczęła zabiegać u polityków o to, by zastąpić obecną korespondentkę TVP w Brukseli, czyli Dominikę Cosić. Bawolek utrzymywała, że robotę w Polsce straciła, bo jest ofiarą PiS. No to może przypomnijmy – z Polsatu wyleciała, kiedy okazało się, że mimo pozytywnego wyniku testu na COVID udała się na imprezę rocznicową tej stacji telewizyjnej. A na dodatek pstryknęła sobie kilka fotek z Solorzem, który był akurat rekonwalescentem i musiał unikać osób zakażonych. Dlatego właśnie wszyscy goście zostali poddani testom. Dodajmy, że postępowanie Solorza uważamy za całkowicie uprawnione.

Przy okazji zabiegów o fuchę w TVP: koleżanka Bawolek została spuszczone po brzytwie przez Katarzynę Kolendę-Zaleską. Usiłowała od niej wydobyć numer osoby, która ma w przyszłości kierować TVP Info, „bo słyszała, że będzie to ktoś z TVN” (cytat z wypowiedzi Bawolek). Dziennikarka stacji z Wiertniczej odwróciła się na pięcie, mówiąc: Ale ja pani nie znam.

Bawolek ogólnie nie cieszy się w Brukseli sympatią. Zwłaszcza po tym, jak potraktowała swojego operatora, któremu najpierw sugerowała,

że powinien poddać ciężko chorą żonę eutanazji (która jest w Belgii legalna). Operator, który jest głęboko wierzącym katolikiem, zareagował tak, jak możecie się domyślać. Po śmierci żony Bawolek po prostu wyrzuciła go z pracy.

Apropos TVP – słyszeliśmy, że na Nowogrodzkiej panuje w tej kwestii umiarkowany optymizm, to znaczy, że uda się ją obronić przez jeszcze jakieś pół roku, choć doprawdy nie wiemy, czym ten optymizm jest umotywowany. Bo jeśli źli ludzie pójdą na rympał, to wezmą ją od razu, a jeśli mieliby przestrzegać konstytucji, to i pół roku byłoby za mało.

Natomiast wszyscy, z którymi rozmawiamy w PiS na temat budowy jakiejś „wielkiej grupy medialnej” na bazie Polska Press (którą Orleń miałby sprzedać konsorcjum polskich prawicowych inwestorów), gwałtownie dementują i mówią, że bzdura. Jak wiadomo, wierzymy jedynie w informacje odpowiednio ostro zdementowane.

Iнна sprawa, że w mediach po prawej stronie zrobi się ciasno, bo tu i ówdzie zaczęło się oszczędzanie kasy na trudne czasy w opozycji. Na przykład „Gazeta Bankowa” ma podobno od stycznia przestać ukazywać się w wersji papierowej. A nie są to jedyne cięcia.

Na koniec odrobina kultury. Pamiętacie, jak swojego czasu pisaliśmy o tym, że w Teatrze Dramatycznym masowo odchodzą pracownicy, nie mogąc wytrzymać z nową dyrektorką, niejaką Strzępką? Musimy tutaj pogratulować portalowi Złonet, który pogłębił temat, pokazując, jak pod hasłami antyprzemocowości rozpętał w teatrze orgię przemocy i mobbingu. Ale najciekawsze jest to, że ani Małgorzata Kidawa-Błońska, ani sam Rafał Trzaskowski nie kiwnęli palcem w obronie artystów błagających o pomoc. Przy okazji okazało się również, że rację miał wojewoda Radziwiłł, który swego czasu zawiesił Strzępkę, uważając, że została wybrana wbrew warunkom konkursu na dyrektora. Oczywiście wolne sądy były innego zdania. A do Złonetu też jedno pytanie: A dlaczego, kochani, nie opisaście tego wszystkiego przed wyborami? ©©





DONALD TRUMP ODBIJE BIAŁY DOM?

Rywale byłego prezydenta z Partii Republikańskiej ostrzegają, że Donald Trump przegra z walczącym o reelekcję Joe Bidenem. Sondaże przeprowadzane zaledwie rok przed wyborami prezydenckimi w USA sugerują jednak, że Donald Trump ma spore szanse, aby odbić Biały Dom. I to mimo toczącej się wobec niego procedury impeachmentu (pierwszy raz w historii Senat USA zdecydował się procedować impeachment byłego prezydenta), czterech procesów, w których Trumpowi postawiono zarzuty karne dotyczące 91 domniemanych przestępstw, oraz coraz ostrzejszych ataków ze strony republikańskich konkurentów walczących o partyjną nominację w 2024 r. Według najnowszego badania opinii publicznej, opublikowanego w ubiegłym tygodniu przez CBS News, były prezydent wygrałby z obecnym gospodarzem Białego Domu, zdobywając aż 51 proc. Również inne sondaże pokazują jasno, że Trump prowadzi z Bidenem we wszystkich tych stanach, w których wynik rozstrzygnie o tym, kto 7 listopada 2024 r. wygra wybory w USA. Ankietowani Amerykanie liczą na to, że zwycięstwo Trumpa nie tylko polepszy poziom ich domowych finansów, lecz także zmniejszy ryzyko wciągnięcia Stanów Zjednoczonych w wojnę. Na Trumpa coraz wyraźniej stawiają więc również amerykańscy bukmacherzy. Donald Trump sprawnie wykorzystuje przesłuchania w sądzie jako element kampanii wyborczej i może zdobyć immunitet, zanim przeciwni mu sędziowie i prokuratorzy spróbują zamknąć go za kratkami. W ubiegłym tygodniu były amerykański prezydent ogłosił także, że nie wyklucza, iż dobrym kandydatem na wiceprezydenta mógłby być dawny prezenter telewizji Fox News Tucker Carlson (na zdjęciu: drugi z prawej). W sierpniu były prezydent zamiast wziąć udział w debacie telewizyjnej z rywalami ubiegającymi się o nominację Partii Republikańskiej udzielił wywiadu Carlsonowi na platformie X (dawnym Twitterze). – Sądzę, że obejrzało go ponad 300 mln osób. Tego wieczoru było to ponad 207 mln, a w ciągu jednego lub dwóch dni osiągnął 275 mln – zauważył. **(jap)** ©

FOT. SETH WENIG/AP/EAST NEWS



Izrael zapewne dopadnie w końcu w Gazie poszukiwanych terrorystów z Hamasu i zabije ich, wraz z setkami lub tysiącami przypadkowych ofiar, przy okazji niszcząc całkowicie ten obszar. Ma do tego wystarczającą przewagę zbrojną. Jednak nie zmienia to faktu, że tę wojnę przegrał, a konsekwencje tej przegranej będą poważne, zarówno dla Żydów, jak i dla całego Zachodu. Stawką nie było bowiem panowanie nad terytorium Gazy czy jakimkolwiek innym, ale podważenie w świecie opinii, że Izrael ma prawo do istnienia i obrony swoich granic.

Na naszych oczach dzieje się coś niewiarygodnego. Wszystkim – najbardziej przywódcom żydowskim i syjonistycznym politykom, na czele z Beniaminem Netanjahu – wydawało się, że kapitał moralny, który dało Żydom męczeństwo Holocaustu, jest nie do wyczerpania. Tymczasem wszystko wskazuje, że właśnie oni zdołali go wyczerpać. Bolesnym dla Żydów dowodem tego jest narastająca wobec nich agresja w krajach zachodnich oraz masowe manifestacje poparcia dla Palestyny, w których biorą udział setki tysięcy obywateli i na których skandowane jest w różnych językach hasło: „Palestyna musi być wolna, od rzeki po brzeg morza”; wystarczy rzut oka na mapę, by zrozumieć, że oznacza to żądanie całkowitego wymazania z niej państwa żydowskiego.

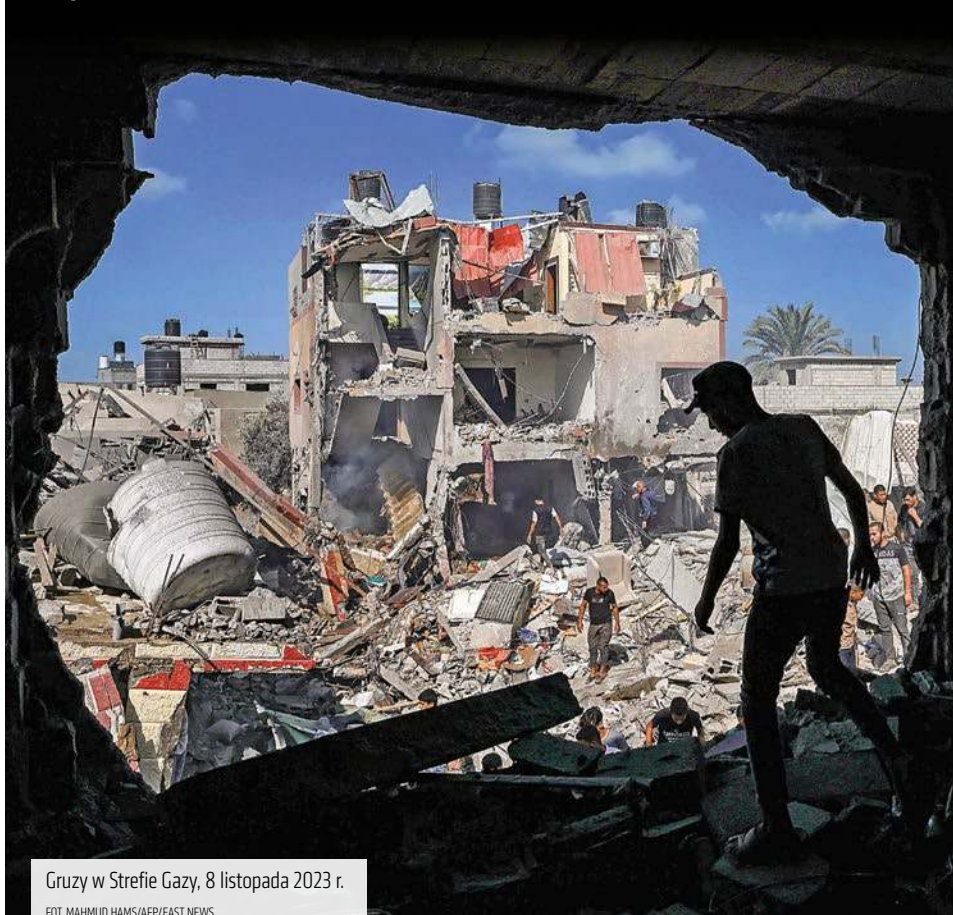
Plakaty z twarzami zakładników, porwanych i przetrzymywanych przez islamskich terrorystów, rozlepiane masowo w zachodnich miastach, miały budzić współczucie i konsolidować poparcie tamtejszej opinii publicznej dla broniącego się przed terroryzmem Izraela. Tymczasem budzą wściekłość – Internet pełen jest filmików, na których przechodnie zrywają te plakaty, nie przebijając przy tym w słowach. W Wielkiej Brytanii – jak ujawnił na swoich mediach społecznościowych pisarz Douglas Murray, zamieszczając dokumentujący zdarzenie film – plakaty te usuwała policja, jako „prowokujące niepokoje społeczne”. Jest to skądinąd, podobnie jak tłumienie przez brytyjską policję kontrmanifestacji do „marszów solidarności z Palestyną”, dobitny symbol, do czego doprowadzony został

Zbrodniczy hazard Izraela



Rafał A. Ziemkiewicz

Zbrodnie, którymi rząd i armia Izraela zareagowały na zbrodnie Hamasu, a zwłaszcza ostentacja, z którą są uzasadniane, uwolniły te złe emocje, które zbierały się latami. Właśnie to, w połączeniu z politycznymi inspiracjami i logistyką podminowujących Zachód organizacji wywrotowych, nadało bezprecedensową siłę antyizraelskiemu rozruchowi



Gruzy w Strefie Gazy, 8 listopada 2023 r.

FOT. MAHMUD HAMS/AFP/EAST NEWS

ten kraj polityczną hiperpoprawnością rządzących elit.

FURIA I ZMOWA MILCZENIA

Wbrew stereotypowi owe „niepokoje społeczne”, które przeraziły elity Wielkiej Brytanii i innych zachodnich krajów, nie są wyłącznym działem zamieszkałych tam imigrantów z krajów muzułmańskich. Owszem, są oni w propalestyńskich demonstracjach szczególnie aktywni i – co stanowi kolejny bolesny dowód fałszywych nadziei wiązanych przez dziesięciolecia z otwarciem na przybyszów – nie tylko ci świeżo przybyli, lecz także ci osiadli na Zachodzie od kilku pokoleń. Ale wystarczy przejrzyć zdjęcia z antyżydowskich manifestacji – wcale nie dominują na nich śniadzi brodacze, zielone flagi z arabskimi napisami ani religijne hasła. Wyjąwszy bannery i palestyńskie flagi, optycznie niewiele różnią się one od manifestacji Black Lives Matter czy klimatycznych protestów Extinction Rebellion.

W istocie w antyżydowskie poruszenie włączyły się – z całą posiadaną siłą finansową i organizacyjną oraz wypracowanym know-how – praktycznie wszystkie agendy zachodniego ruchu „woke”. Widok genderowych dziwałów z tęczowymi bannerami „Queers for Palestina” może zdumiewać tych, którzy choć z grubsza wiedzą, jak podobnych odmieńców potraktowałby Hamas, ale właśnie dlatego jest dowodem, jak silne antyizraelskie emocje działają po stronie zachodniej lewicy.

Są to emocje antyizraelskie w hasłach, nie ma jednak wątpliwości, że zapewnienia, iż sprowadzanie przesłania demonstracji do krytyki li tylko polityki państwa żydowskiego maskuje furie skierowaną przeciwko Żydom „po całości”. Przedmiotem ataku staje się wszystko, co wiąże się z Żydami, oraz oni sami. W Anglii, we Francji i w Niemczech odnotowano już wypadki „oznaczania” miejsc zamieszkania Żydów malowanymi na drzewiach czy płotach gwiazdami Dawida, na porządku dziennym są antyżydowskie hasła i swastyki smarowane na synagogach i kirkutach oraz pogróżki. W Detroit zaszytyletowana zastała pod swoim domem przewodnicząca miejscowej synagogi – wprawdzie, zdaniem miejscowych władz, nie znaleziono do-

wodów, że zbrodnia miała związek z wojną na Bliskim Wschodzie, ale w wypadku śmierci 60-letniego Żyda z miasteczka Westlake Village w Kalifornii, pobitego przez uczestników „antywojennej” manifestacji, wątpliwości być nie może.

Miarę zaskoczenia tą sytuacją stanowi milczenie tzw. wiodących mediów, podobne do medialnej zмовy milczenia, która panowała w Niemczech po zbiorowych gwałtach na zabawie sylwestrowej w Kolonii – tyle że tym razem na znacznie większą skalę. W oficjalnym przekazie dominują wyrazy solidarności z Izraelem, których nie szczędzą politycy i przedstawiciele opiniotwórczych czy artystycznych elit (ale już nie tych uniwersyteckich, które sparaliżował strach przed lewicowymi aktywistami). Falę antyżydowskich emocji, relacjonowaną spontanicznie w Internecie, w przekazach wielkich telewizji i połączonych z nimi kapitałowo portali próbuje się zminimalizować, sprowadzić do rangi odosobnionych ekscesów. Liczni eksperci i kaznodzieje postępu, tak elokwentni w potępianiu „heteronormatywności”, „białego suprematyzmu” i innych urojonych zagrożeń dla świata, tej fali antyżydowskich emocji zdają się nie zauważać, a jeśli muszą, to potrafią tylko wydukać kilka drętowych formułek w duchu: „Izrael ma prawo do obrony, ale powinien pamiętać o prawach ludności cywilnej”. Schwytani w pułapkę strachu przed oskarżeniem albo o zbrodnię antysemityzmu, albo o zbrodnię islamofobii i „nieinkluzywności” najchętniej schowaliby się gdzieś i wychynęli stamtąd po zakończeniu całego zamieszania. Tylko że rozmiary masakry w Gazie i jej reperkusji w społeczeństwach zachodnich wskazują, że tym razem, przeciwnie niż wielokrotnie wcześniej, wygładzić powierzchnię zdarzeń już się nie da.

POLITYKA „PARTII WOJNY”

Cała sytuacja bowiem, oczywiście, nie powinna zaskakiwać nikogo, kto nie dał się w poprzednich latach oslepić i ogłupić politycznej poprawności oraz płynącej z niej „kulturze wymazywania”. Antysemityzm skrajnej lewicy, jego narastanie i pochód od skrajów ku centrum formacji lewicowych, silny był już wiele lat temu. Od zawsze polegał na podnoszeniu krzywd Palestyńczyków, a przede

wszystkim na wskazaniu, że Izrael i syjonizm to narzędzia największego wroga wszystkich nurtów światowej lewicy: Stanów Zjednoczonych i „amerykańskiego imperializmu”. Wprzężenie sprawy palestyńskiej w walkę z Zachodem dokończyło się trwale już w czasach rozkwitu imperium sowieckiego (nie przypadkiem przecież jako kraj satelicki Moskwy szkoliliśmy w latach 70. i 80. arabskich terrorystów). W nowej sytuacji, gdy dawną konfrontację Związku Sowieckiego z USA zastąpiła wojna wypowiedziana zachodnim demokracjom przez antyzachodni blok pod przywództwem Chin, którego istotnym, acz sprowadzonym do podrzędnej roli uczestnikiem pozostaje Rosja, wciąż starająca się odbudować sowiecką mocarstwowość, ponowne sięgnięcie po palestyński „asset” było posunięciem przewidywalnym, wręcz oczywistym.

O obecnym, fatalnym dla Żydów biegu wydarzeń nie zdecydowało jednak wsparcie udzielane Hamasowi za pośrednictwem Iranu przez wrogie Ameryce i Zachodowi autokracje. Zdecydowali o tym sami Żydzi, ustanawiając w Izraelu u władzy „partię wojny”. Z powodu osobliwych praw tamtejszej sceny politycznej przybierała ona formę różnych koalicji, ale kolejne przedterminowe wybory i roszady personalne nie zmieniały zasadniczego kierunku. Strategia uosabiana przez Icchaka Rabina – dążenie do pokojowego współistnienia z Arabami – została całkowicie odrzucona, on sam zresztą przypłacił ją przecież śmiercią z ręki żydowskiego ekstremisty. Wygrała, w znacznym stopniu wskutek zmian demograficznych i rosnącego wpływu osadników z byłego ZSRS, strategia bezwzględnego niszczenia Palestyńczyków, pozbawiania ich wszelkich praw, nieustającego nękania, upokarzania i inwigilacji, a docelowo – wielkiej czystki etnicznej, całkowitej eksterminacji i wygnania z Izraela ludności arabskiej („narodu zbrodniarzy i terrorystów” – jak ujął to jeden z izraelskich ministrów), o czym Benjamin Netanjahu i jego ministrowie mówią dziś już zupełnie otwarcie.

Brutalna i zbrodnicza polityka Izraela wobec mieszkańców okupowanych ziem nie była krótkowzroczna – przeciwnie, syjoniści prowadzili ją ze świadomością, że niszczą w ten sposób ugodowy Fatah ■

■ i wypychają wszystkich Palestyńczyków w objęcia Hamasu. Instalowanie na spornych terenach kolejnych osadników, zalewanie betonem źródeł nawadniających palestyńskie uprawy, brutalne „wbijanie” policji i wojska do meczetów podczas nabożeństwa, rozstrzeliwanie przez snajperów protestów i pałowanie pogrzebów – to wszystko musiało przecież skutkować narastaniem chęci odwetu. I miało tak właśnie działać. Jeśli miałeś nieszczęście urodzić się w Gazie, to polityka Izraelska coraz bardziej ograniczała cię do wyboru: być posłusznym, pokojowym i zostać przez Żydów zamordowanym wraz z setką innych posłusznym i pokojowych rodaków, bo gdzieś w pobliżu izraelskie służby namierzyły – czy tylko wydało im się, że namierzyły – terrorystę i postanowiły go zlikwidować razem z całym budynkiem albo samemu zostać terrorystą i mieć przynajmniej nadzieję, że przed nieuchronną śmiercią pošlesz choć kilku wrogów do piekła.

W dużym stopniu okazywana przez Żydów bezwzględność ukształtowana została przez „religię Holocaustu”, której dostrzeganie i krytykowanie otoczone były przez wiele lat najściślej tabu – należeliśmy do nielicznych, którzy mieli odwagę je łamać. „Religia Holocaustu” to ideologia, w największym skrócie, przedstawiająca Shoah nie jako zbrodnię historycznych nazistów, efekt konkretnej ideologii i aberracji oświeceniowych recept na naprawę świata wywiedzionych z Darwina, ale jako logiczne ukoronowanie tysięcy lat nienawiści żywionej do Żydów przez wszystkich, wszędzie i od zawsze, a przez cywilizację chrześcijańską z największymi konsekwencjami. Ta wrogość jest, wedle „holokaustian”, nieustająca, nielikwidowalna, wpisana w porządek wszechświata i daje ona Żydom, zwłaszcza odkąd ucieleśniła się w niemożliwej do odkupienia zbrodni Shoah, prawo do bezwzględnego zwalczania swoich wrogów wszelkimi metodami.

„Jeśli twój wróg knuje przeciwko tobie, to idź i uderz pierwszy” – cytują syjoniści z upodobaniem. Na poziomie codziennym dominacja „religii Holocaustu” w myśleniu coraz większej części Żydów, nałożona na tradycyjne przekonanie o byciu „narodem wybranym”, za-

owocowała narastającą arogancją – szarogęszenie się ambasadora izraelskiego w Warszawie, nieustannie pouczającego w mediach społecznościowych, co ma zrobić polski rząd, co powiedzieć polski minister i kogo relegować z polskiej uczelni jej rektor, to nie wyjątek, a raczej standard.

Wszystko to było cierpliwie przez wiele lat znoszone w lęk przed oskarżeniem o antysemityzm, niosącym dotkliwe konsekwencje. Zachowanie redaktor Applebaum, która na merytoryczną, konkretną krytykę wypisywanych przez nią bzdur i kłamstw o Polsce zwykła reagować wrzaskiem, że jest atakowana przez polskich antysemitów, było bardzo typowe dla wielu współczesnych Żydów; choć dla nas w Polsce bardziej dotkliwym przykładem tej wyższościowej pogardy jest oczywiście pazerność organizacji żydowskich wymuszających haracze „za Holocaust” oraz służące stworzeniu pretekstu do tych wymuszeń kłamstwa o rzekomych nierozliczonych polskich winach wobec Żydów.

POWODY ANTYŻYDOWSKICH NASTROJÓW

A jeśli nie wolno dawać wyrazu irytacji, to ona nie mija, tylko się zbiera i czeka na odpowiedni moment. Zbrodnie, którymi rząd i armia Izraela zareagowały na zbrodnię Hamasu, a zwłaszcza ostentacja, z którą są uzasadniane („żeby pokonać Hitlera, też trzeba było równać z ziemią niemieckie miasta” – cytuje kularowe wypowiedzi izraelskich polityków „New York Times”), uwolniły te złe emocje, które zbierały się latami, i to właśnie, w połączeniu z politycznymi inspiracjami i logistyką podminowujących Zachód organizacji wywrotowych, nadało bezprecedensową siłę antyizraelskiemu rozruchowi.

Nienawiść do Żydów kieruje się oczywiście nie przeciwko tym, którzy ją nakręcili, bo pozostają oni nieosiągalni; kieruje się przeciwko tym, którzy są pod ręką. Jak zawsze więc „za winy Trockich cierpią Bronsteinowie”. Jest to, uważam, jak najbardziej wliczone przez syjonistów w rachunek. Otwarcie, od zawsze, głosili oni, że Żydzi bezpieczni mogą być tylko w Izraelu, tylko pod ochroną swojej armii i swoich służb, które będą równie

bezwzględne w realizowaniu ich interesów, jak bezwzględni byli przez stulecia ich prześladowcy. Jak dotąd Żydzi mieszkający na Zachodzie nie chcieli tego słuchać – wspierać Izrael, tak, ale samemu porzucać bogate państwa, by zamieszkać „u siebie”, na spłachetku piachu, choćby nawet obsypany obficie amerykańskimi dolarami, to przesada.

Antysemickie nastroje w Europie i Ameryce sprzyjają więc rozwiązaniu podstawowego problemu Izraela, którym jest brak Żydów. Są one także wielkim problemem dla tamtejszych rządów. Syjoniści liczą – nie deklarują tego, ale widać to z ich działań – że właśnie z tej przyczyny Zachód prędzej czy później przymknie oczy na jedyne akceptowane przez Izrael rozwiązanie kwestii arabskiej, a ta sama tchórzliwość, która kazała angielskim władzom posłać policję do zrywania plakatów ze zdjęciami zakładników, każe zachodnim rządów wręcz zacząć naciskać na Żydów, by „wracali do siebie”, bo tu są zarzewiem nieustających konfliktów.

W ten sposób – paradoksalnie, ale tak często w historii bywało – spotykają się interesy grup mających cele diametralnie odmienne: syjonistów rządzących Izraelem i najbardziej wpływowymi instytucjami diaspory, dążących do całkowitego uwolnienia Bliskiego Wschodu od żydowskiej obecności islamistów, oraz antyzachodnich autokracji, z Rosją i Chinami na czele. Te ostatnie wygrywają w każdym możliwym wypadku – już pierwszy, doraźny zysk, którym jest poważne osłabienie pomocy Zachodu dla Ukrainy, wart był zainwestowanych w Hamas środków. Zarówno zaś islamisci, jak i syjoniści, wierzą w ostateczną wygraną w konfrontacji, do której wspólnie doprowadzili. Pierwsi, licząc na demografię, drudzy – na nieustającą i bezwzględną pomoc Zachodu, który ten jest wszak winien Żydom za tysiące lat ich prześladowania. A że leje się krew niewinnych ludzi? Tam, gdzie dzieje się historia – odpowiedzieliby pewnie wszyscy wyżej wymienieni – nie można się takimi szczegółami przejmować.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

**O GEOPOLITYCZNYCH KONSEKWENCJACH
WOJNY NA BLISKIM WSCHODZIE
CZYTAJ NA STRONIE 62**

Pomysł na Palestynę



Witold Repetowicz

Co zrobić z Palestyńczykami i czy taki naród w ogóle istnieje? To pytania, na które na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci padały różne odpowiedzi. Z punktu widzenia prawa międzynarodowego Palestyna jako w pełni niepodległe państwo powinna powstać, ale rzeczywistość jest dla tego narodu coraz bardziej mroczna

Zapewne niektórzy zakwestionują słowo „naród” użyte w kontekście Palestyńczyków i będą upierać się, że to po prostu Arabowie, którzy mają już tyle państw, że teza, iż potrzebne im jest jeszcze jedno, jest absurdalna. Problem w tym, że nie ma czegoś takiego jak jeden arabski naród. Arabowie uznają status quo stworzonego po pierwszej wojnie światowej międzynarodowego ładu opartego na państwach. Tylko że Palestyńczycy zostali z niego wyłączeni. To, że są narodem, wynika z dwóch kwestii. Po pierwsze, sami odnoszą się właśnie do takiej, a nie żadnej innej tożsamości, a po drugie – żaden inny naród nie uważa ich za część własnej wspólnoty.

W czasach otomańskich tereny dzisiejszego Izraela oraz Palestyny podzielone były na trzy sandżaki (jednostki administracyjne): Jerozolimy, Nablusu i Akki, przy czym ten pierwszy miał status samodzielny, a dwa pozostałe wchodziły w skład prowincji Bejrutu. W czasie pierwszej wojny światowej współpracujący z aliantami przeciwko Turkom haszymidzki książę Fajsal dążył do stworzenia zjednoczonego królestwa

arabskiego, którego miał zostać władcą. W 1920 r. ogłosił się władcą Arabskiego Królestwa Syrii, które obejmowało tereny dzisiejszej Syrii i Jordanii, ale nie Palestyny i Libanu. Rok wcześniej Fajsal podpisał wspólną deklarację z liderem ruchu syjonistycznego Chaimem Weizmannem, zgodnie z którą Palestyna miała stać się odrębnym państwem otwartym na imigrację Żydów, ale z poszanowaniem praw mieszkających tam Arabów.

BRYTYJSKIE I FRANCUSKIE INTERESY

Fajsal był wówczas krytykowany za to przez Arabów, ale i tak Brytyjczycy oraz Francuzi mieli inny pomysł na mapę Lewantu. Syria i Liban miały stać się mandatem francuskim, a Palestyna i Jordania – brytyjskim. Królestwo Syrii zlikwidowano, Fajsala wysłano do Bagdadu, by na otarcie łez mógł panować nad Irakiem, a na tronie Jordanii posadzono jego brata Abdullaha. Porozumienie Fajsala i Weizmanna warte jest jednak przypomnienia, gdyż była to wczesna wersja koncepcji „jednego państwa”, czyli zjednoczenia obecnego Izraela, Zachodniego Brzegu i Strefy Gazy w jeden

organizm państwowy, w którym wszyscy mieliby obywatelstwo. Tyle że w 1922 r. na terenie administrowanego przez Brytyjczyków Mandatu Palestyny mieszkało 757 tys. ludzi, z czego tylko 11 proc. stanowili Żydzi. Zatem oczywiste jest, kto by tam rządził, a kto byłby mniejszością. Fajsal godził się przy tym na wyłączenie Palestyny ze swojego państwa, gdyż miał świadomość różnic między tamtejszym społeczeństwem miejskim a ludnością opartą na plemionach i nomadycznym trybie życia, która miała stanowić trzon jego państwa.

Decyzja o przyznaniu niepodległości Palestynie zapadła w 1948 r., przy czym miała ona być podzielona na trzy części: państwo żydowskie, państwo arabskie oraz znajdującą się pod międzynarodowym zarządem Jerozolimę (oddaloną dość znacznie od planowanej granicy arabsko-żydowskiej). W 1945 r. Palestyna liczyła 1,8 mln mieszkańców, przy czym Żydów było tylko 0,5 mln. Nawet na terenach im przyznaczonych stanowili tylko 55 proc., a ponadto w Jerozolimie – połowę mieszkańców. Natomiast na terenach przyznaczonych Arabom stanowili zaledwie 1 proc.

Plan podziału się nie powiódł i wybuchła wojna, której efektem było zdobycie przez Żydów terenów dzisiejszego Izraela, natomiast Zachodni Brzeg włączony został do Jordanii, a Strefa Gazy do Egiptu. Plan podziału odrzucili przy tym nie tylko Arabowie, lecz także część Żydów. Niektórzy już wówczas mówili o Izraelu w „historycznych granicach”, czyli obejmującym również znaczną część dzisiejszej Jordanii. Większość jednak miała bardziej ograniczoną wizję, niemniej wykraczającą poza wyznaczone przez ONZ granice, które faktycznie dzieliły państwo żydowskie na trzy trudne do obrony części. Syjoniści chcieli jednak państwa żydowskiego, a nie żydowsko-arabskiego, więc by uzyskać ten charakter, trzeba było wygnać Palestyńczyków z zajętych terenów. Palestyńczycy określają to jako nakbę, czyli katastrofę. Około 700 tys. zostało wygnanych, głównie do Jordanii, Libanu oraz Syrii, natomiast 156 tys. pozostało na terenach zajętych przez Izrael i następnie uzyskało obywatelstwo i prawa wyborcze. Reszta natomiast pozostała na Zachodnim Brzegu oraz w Strefie Gazy, gdzie również przybyła część uchodźców z terenów zdobytych przez Izrael.

Choć na ówczesne czasy była to katastrofa, to w historii miały miejsce



Wysiedleni Palestyńczycy w obozie prowadzonym przez Agencję Narodów Zjednoczonych ds. Pomocy i Robót (UNRWA) w zachodnim Khan Younis w Gazie, 17 października 2023 r. FOTAHMAD SALEM/BLOOMBERG/GETTY IMAGES

■ większe przesiedlenia, a tożsamość palestyńska nie była jeszcze na tyle utrwalona, by nie móc być wchłonięta przez sąsiednie państwa arabskie. Egipt zdecydowanie odrzucił jednak taką możliwość i wprowadził w Strefie Gazy marionetkowy rząd „ogólnopalestyński”. Dla liczącego wówczas ok. 1,3 mln mieszkańców Libanu, z jego skomplikowaną mozaiką religijną, pojawienie się 100 tys. sunnickich Palestyńczyków burzyło tamtejszą równowagę religijną, więc o przyznaniu obywatelstwa i integracji przybyszów nie mogło być mowy. Do dziś są oni bezpaństwowcami. Palestyńscy uchodźcy zresztą i tak sprowadzili na Liban katastrofę, gdyż stali się główną przyczyną wybuchu wojny domowej w tym kraju w 1975 r. Syria nie miała takich problemów, ale nie chciała integrować uchodźców, bo dzięki temu miała argument do podważania prawa Izraela do istnienia. Przyjęto zatem ustawę odmawiającą Palestyńczykom obywatelstwa. Gdy w Syrii władzę przejęli panarabiści, sytuacja stała się kuriozalna, gdyż ani postulat narodowej jedności arabskiej, ani nawet krótkotrwałe zjednocze-

nie Egiptu i Syrii w latach 1958–1961 nie zmieniły tego, że Palestyńczycy, w tym mieszkańcy Gazy, byli nadal traktowani jako obcokrajowcy.

Nieco inaczej sytuacja wyglądała z Jordanią, która anektowała Zachodni Brzeg i nadała jego mieszkańcom obywatelstwo, tyle że społeczność międzynarodowa tego nie uznała. Ponadto nie objęło to uchodźców z terenów zajętych przez Izrael, którzy pozostali bezpaństwowcami. Warto dodać, że państwo to liczyło w tym czasie ledwie ok. 400 tys. mieszkańców, a zatem Palestyńczyków wchłoniętych przez nie było więcej, co okazało się poważnym wyzwaniem. Wyrazem uznania mapy regionu bez państwa palestyńskiego za stan tymczasowy było utworzenie w 1964 r., z inicjatywy Ligi Państw Arabskich, Organizacji Wyzwolenia Palestyny, co również ostatecznie utrwaliło odrębność palestyńskiej tożsamości (i to nie tylko w opozycji do Izraela, lecz także w relacji do tożsamości innych państw arabskich).

PROBLEM STREFY GAZY

Trzy lata później Arabowie postanowili rozwiązać „problem”, ale zamiast

tego ponieśli druzgocącą klęskę w wojnie sześciodniowej i Izrael przejął kontrolę nad Zachodnim Brzegiem, Strefą Gazy, a także Synajem i Wzgórzami Golan. Tereny te nie zostały jednak włączone do Izraela (z wyjątkiem Jerozolimy), tylko objęte były zarządem wojskowym jako tereny okupowane. Wchłonięcie zbyt dużej liczby wrogiej ludności arabsko-muzułmańskiej i nadanie jej praw obywatelskich było w tym czasie zbyt groźne dla Izraela, a zastosowanie apartheidu poprzez utrzymywanie na swoim terytorium stanu, w którym ok. 30 proc. mieszkańców byłoby pozbawionych praw, nie mogłoby być zaakceptowane przez demokratyczny Zachód, w tym USA. Izrael nie zdecydował się też na kolejną gigantyczną czystkę etniczną, zwłaszcza że Rada Bezpieczeństwa jednogłośnie zażądała od Izraela wycofania się z terenów okupowanych.

W 1979 r. Izrael znormalizował relacje z Egiptem, oddając przy okazji półwysep Synaj, ale nie Strefę Gazy, której Kair po prostu nie chciał. Panarabizm został już wtedy wyrzucony do kosza, a obecnie coraz większe znaczenie ma odrębna

tożsamość egipska, której mieszkańcy Strefy Gazy nie przyjmą. A bez tego dla Egiptu walczącego z islamistami Bractwa Muzułmańskiego pozostanie ona tylko problemem, bo w Strefie Gazy alternatywą dla narodowej tożsamości palestyńskiej jest tylko tożsamość islamska, a to jeszcze większe zagrożenie dla bezpieczeństwa narodowego Egiptu.

Izrael początkowo próbował zasiedlać Strefę Gazy osadnikami, ale szybko zrozumiał, że nie ma na to potencjału demograficznego. W 1994 r. Izrael wycofał się stamtąd i zgodnie z Porozumieniem z Oslo oddał zarząd nad Gazą Autonomii Palestyńskiej. Później, gdy w latach 90. wróciła koncepcja „jednego państwa”, jej izraelscy zwolennicy zawsze wykluczali włączenie do niej Gazy. Zwłaszcza że w 2007 r. kontrolę przejął nad nim Hamas. Najchętniej wcisnęliby ją (lub choćby jej mieszkańców) Egipcjowi. Również dziś czynione są takie założenia. Egipt stanie jednak na głowie, by nie przyjąć tego „podarunku”. Izrael wie, że jeśli się wycofa i zostawi Gazę Palestyńczykom, to Hamas tam wróci i za kilka lat trzeba będzie walczyć od nowa. Żadnej innej siły okupacyjnej czy też „pokojoyej” tam wprowadzić się nie da, bo nie będzie chętnych ani ze strony państw arabskich, ani żadnych innych. W 1992 r. Icchak Rabin stwierdził, że chciałby, aby Gaza utonęła w morzu, ale – jak dodał – jest to niemożliwe, więc trzeba znaleźć rozwiązanie. Obecnie najbardziej prawdopodobnym, które dałoby Izraelowi od tej strony trwały spokój, jest wyekspediowanie 2 mln ludzi do Europy, co oczywiście byłoby dla nas katastrofą. Opcją pośrednią jest stłoczenie Palestyńczyków w południowej części Strefy i utworzenie od północnej strony strefy buforowej. Byłby to już jednak po prostu obóz koncentracyjny.

AMERYKAŃSKA POSTAWA

Od lat 90. podstawą rozmów pokojowych stało się rozwiązanie oparte na dwóch państwach. OWP po raz pierwszy uznało je w 1988 r. w ogłoszonej przez Arafata Deklaracji Niepodległości Palestyny. Na tym oparta jest też Arabska Inicjatywa Pokojowa przyjęta z inicjatywy saudyjskiej przez Ligę Arabską w 2002 r., zgodnie z którą państwa arabskie uznałyby Izrael w granicach

z 1967 r., znormalizowałyby stosunki, w zamian za stworzenie niepodległej Palestyny obejmującej okupowany Zachodni Brzeg i Strefę Gazy, ze stolicą we Wschodniej Jerozolimie, a także „uczciwe rozwiązanie” problemu palestyńskich uchodźców. Reakcje Izraela i USA na takie rozwiązanie były ambiwalentne, przy czym Amerykanie skłaniali się do jego akceptacji jako punktu wyjścia dalszych rozmów. Izrael odrzucił przede wszystkim palestyńską kontrolę nad Jerozolimą i powrót uchodźców, ale chciał również utrzymać osadnictwo żydowskie na Zachodnim Brzegu rozwijane od 1967 r. Jest ono przy tym sprzeczne z prawem międzynarodowym dotyczącym obowiązków okupanta. Ostatecznie jednak

7,2 mln

TYTU PALESTYŃCZYKÓW BYŁOBY W IZRAELU, GDYBY ANEKTOWAŁ STREFĘ GAZY

Netanjahu odrzucił to rozwiązanie, usmiercając proces pokojowy.

Zachodni Brzeg, zgodnie z Porozumieniem z Oslo z 1993 r., został podzielony na trzy strefy, z których jedna, obejmująca zaledwie 11 proc. tego terenu, znajduje się pod zarządem palestyńskim, ale podlega interwencji Izraela w zakresie bezpieczeństwa, a kolejne 28 proc. podlega wspólnej kontroli palestyńsko-izraelskiej, reszta zaś kontrolowana jest przez Izrael i rozwijane jest tam nielegalne osadnictwo żydowskie. Dzieje się tak zwłaszcza po tym, jak do rządu weszli antyarabscy rasiści spod znaku Ben-Gwira i Smotricza, dążący do rozwiązania opartego na jednym państwie i gigantycznej czystce etnicznej.

Koncepcja „jednego państwa” od czasu do czasu pojawia się od lat 90. w różnych wersjach i znajduje swoje poparcie z jednej lub drugiej strony w zależności od obliczeń demograficznych. Dla Palestyńczyków niewątpliwie byłoby korzystne, gdyby było połączone z powrotem uchodźców, ale nawet i bez tego w pełnym zakresie (tzn. wraz z Gazą) byłoby groźne dla Żydów, gdyż byłoby ich ok. 7,2 mln w ponad 15-mi-

lionowym państwie. Imigracja do Izraela się skończyła, a Palestyńczycy mają większy przyrost naturalny od Żydów (z wyjątkiem ortodoksów, którzy jednak są kolejnym problemem, bo siedzą na socjalnym garnuszku państwa). Nawet wyłączenie Gazy nie daje więc Izraelowi komfortu utrzymania w takim państwie władzy przez Żydów.

Innym rozwiązaniem rozważanym przez Izraelczyków jest częściowa aneksja, obejmująca w szczególności tereny zamieszkane przez 500 tys. nielegalnych osadników żydowskich. Do tego dążył Netanjahu, ale ostatecznie wycofał się, gdyż zablokowałoby to normalizację ze Zjednoczonymi Emiratami Arabskimi i nawet ze strony USA wywołało gniewną reakcję.

Oryginalną propozycję przedstawił w 2020 r. Donald Trump, choć autorem był jego zięć – Jared Kushner. Według tego planu Palestyna miałaby być siecią enklaw całkowicie otoczonych przez znacznie powiększony Izrael i po spełnieniu dodatkowych, bardzo poważnych warunków miałaby uzyskać niepodległość jako państwo całkowicie zdemilitaryzowane, a w zamian miała być beneficjentem licznych inwestycji i programów rozwojowych. O ile Netanjahu przyjął tę propozycję z entuzjazmem, o tyle Palestyńczycy z oburzeniem ją odrzucili, a społeczność międzynarodowa wyśmiała.

Innym podejściem do sprawy palestyńskiej jest popularna w Izraelu teza, że takie państwo już jest i jest nim Jordania. Faktem jest, że większość palestyńskich uchodźców w tym kraju zintegrowała się i otrzymała obywatelstwo, ale jest tam też 600 tys. bezpaństwowych Palestyńczyków, a po 1967 r. Jordania odebrała obywatelstwo mieszkańcom Zachodniego Brzegu. Ponadto w 1970 r. doszło do zbrojnego konfliktu między siłami wiernymi królowi a OWP, wspieraną przez Syrię. Po pierwszej intifadzie w 1988 r. Jordania całkowicie odcięła się od jakiegokolwiek odpowiedzialności za Palestynę i ani OWP, ani Jordania nie chciały jednego państwa.

Izrael nigdy jednak nie odpuścił i można się spodziewać, że pomysł podziału Zachodniego Brzegu między Izrael i Jordanię znów się pojawi jako pretekst do jednostronnej aneksji znacznej części tego terytorium.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Ci, którzy uważali, że prezydent Andrzej Duda zacznie grać całkowicie samodzielną grę, po jego ubiegłotygodniowym wystąpieniu mogli się poczuć rozczarowani. Owszem, na marszałka seniora – funkcja istotna jedynie na pierwszym posiedzeniu Sejmu, przed wyborem marszałka na resztę kadencji – Andrzej Duda wyznaczył Marka Sawickiego, polityka PSL, o którym z zachwytem mówił, że reprezentuje swoich wyborców w izbie niższej od 30 lat. Inna sprawa, że można sobie zadać pytanie, czy to jest akurat szczególnie powód do chwały.

Kandydatem na premiera został jednak Mateusz Morawiecki. Opozycja i jej zwolennicy zapalali oburzeniem, ale też cokolwiek niemrawym, bo przecież nie był to zaskakujący rozwój wypadków. Pojawiły się stwierdzenia, że „człowiek może wyjść z PiS, ale PiS z człowieka – nigdy”.

W ramach politycznych plotek snuto spekulacje, że pan prezydent miał się zorientować, że w „100 konkretach” Koalicji Obywatelskiej jest punkt mówiący o postawieniu go przed Trybunałem Stanu, i dlatego zrezygnował z desygnowania na premiera w pierwszym kroku lidera Koalicji Obywatelskiej. Faktycznie, w spisie „100 konkretów” można znaleźć punkt mówiący, że „łamanie Konstytucji i praworządności będzie szybko rozliczone i osądzone. W tym celu postawimy przed Trybunałem Stanu Andrzeja Dudę – za odmowę przyjęcia ślubowania od trzech prawidłowo wybranych przez Sejm VII kadencji sędziów Trybunału Konstytucyjnego oraz za zastosowanie prawa łaski w stosunku do nieprawomocnie skazanych Mariusza Kamińskiego, Macieja Wąsika i dwóch innych funkcjonariuszy”. Trudno jednak poważnie uznać, że obecność tego passusu miała wpływ na tak istotną decyzję głowy państwa, jak pierwszy konstytucyjny krok do utworzenia rządu – choć z drugiej strony specyficzna wrażliwość Andrzeja Dudy na własnym punkcie jest dość powszechnie znana. Możliwe zresztą, że w obecnej sytuacji odgrywa ona jakąś rolę – o czym dalej.

CZAS NA ZAŁATWIENIE SPRAW

Można też jednak założyć, że wszyscy protagoniści tego dramatu – czy może

Scenariusze pana prezydenta



Łukasz Warzecha

Za powołaniem Mateusza Morawieckiego na premiera może stać przede wszystkim plan Andrzeja Dudy na własną przyszłość



FOT. BEATA ZAWADZKA/EAST NEWS

raczej momentami farsy – mają pełną świadomość, że biorą udział w przedstawieniu, i to nie od wczoraj. W ramach tego przedstawienia muszą trochę pohuczeć na siebie, muszą sobie pogrozić – bo tego oczekują ich widzowie i kibice. Nie znaczy to jednak, że tak ma wyglądać cały dalszy ciąg kadencji.

Dlaczego zatem pan prezydent nie zdecydował się na powierzenie misji utworzenia rządu od razu Donaldowi Tuskowi albo – co byłoby ruchem śmiałym i niestandardowym – Władysławowi Kosiniakowi-Kamyszowi? Na to drugie pytanie odpowiedzieć jest prościej: bo wedle wszelkich znaków taka propozycja spotkałaby się z odmową – prezes PSL przekalkulował ją i najwyraźniej uznał, że mu się to jednak nie opłaca, bo niesie e sobą zbyt wielkie ryzyko – a to sprawiłoby, że Andrzej Duda wypadłby po prostu niepoważnie. Co więcej, mogłyby tu powstać poważne wątpliwości konstytucyjne. Ustawa zasadnicza nie mówi bowiem o sytuacji, w której osoba desygnowana na prezesa Rady Ministrów w pierwszym kroku odmawia podjęcia się tej misji. Z pewnością pojawiłyby się interpretacje, że oznacza to, iż natychmiast następuje przejście do kroku drugiego, czyli wyłonienia rządu przez parlament. A tego pan prezydent nie chciał. Liczy się bowiem również najbliższych kilka tygodni.

To też tłumaczy, dlaczego nie Donald Tusk. Czas jest potrzebny na zabezpieczenie niektórych frontów i zamknięcie niektórych spraw. Andrzej Duda zdaje sobie świetnie sprawę – ma przecież jasny obraz, wynikający z konsultacji, które przeprowadził – że Mateusz Morawiecki ma niemal zerowe szanse na utworzenie rządu. Mało tego, prezydent wie, że gdyby PiS serio na to liczył, powinien był wysunąć jako kandydata innego swojego polityka, a nie tego, który był twarzą nieudanej kampanii i bardzo napastliwego wobec opozycji kursu. To przecież właśnie w dużej mierze sam Morawiecki odpowiada za obecny brak zdolności koalicyjnej PiS. Jednak powierzenie właśnie jemu misji utworzenia rządu powoduje, że biegają spokojnie konstytucyjne terminy, a do momentu powołania nowego gabinetu władzę sprawuje dotychczasowy.

Najpierw więc mamy 14 dni od daty pierwszego posiedzenia Sejmu na

powołanie premiera i jego rządu – ten termin minie 27 listopada. Po kolejnych 14 dniach rząd musi przedstawić Sejmowi swój plan działania i uzyskać wotum zaufania. Ten z kolei termin minie 11 grudnia. Maksymalnie zatem do tego czasu może trwać teatr wokół prób utworzenia przez Mateusza Morawieckiego kolejnego rządu. Do tego momentu ministrowie pozostają ministrami, mogą zatem np. wydawać zarządzenia, co zrobił dopiero co Przemysław Czarnek, powołując do życia instytut mający zajmować się renesansem i barokiem. Tyle że to, co łatwo rozporządzeniem powołać, łatwo też rozporządzeniem zlikwidować, a ustawy żadnej nie da się już teraz w ramach dawnej większości uchwalić, czyli nie da się niczego zabezpieczyć wetem prezydenta.

Opozycja wskazuje też na nagłe przekazywanie do konsultacji do Kolegium Sądu Najwyższego przygotowany przez prezydenta projekt rozporządzenia w sprawie

które ministerialne stanowiska, a być może także o niektóre punkty programu. Tu szczególnie widoczne jest napięcie pomiędzy Trzecią Drogą i Koalicją Obywatelską a Lewicą, a zwłaszcza jej częścią należącą do Partii Razem.

DWIE DROGI DUDY

Tak naprawdę za powołaniem Mateusza Morawieckiego może stać przede wszystkim plan Andrzeja Dudy na własną przyszłość. Przed prezydentem rysują się w tej chwili dwa jej warianty i nie jesteśmy na razie w stanie powiedzieć, który on sam wybrał. Być może zresztą nie dokonał jeszcze wcale wyboru.

Wariant pierwszy to spokojne zakończenie kariery z nadzieją na uzyskanie dobrego międzynarodowego stanowiska. Do tego jednak konieczne jest wsparcie rządu, a więc względnie poprawne stosunki z przeciwnym obozem politycznym. Wariant drugi to walka o przywództwo na, mówiąc umownie,

Czas jest potrzebny na zabezpieczenie niektórych frontów i zamknięcie niektórych spraw. Andrzej Duda zdaje sobie sprawę – ma przecież jasny obraz, wynikający z konsultacji – że Mateusz Morawiecki ma niemal zerowe szanse na utworzenie rządu

zmiany regulaminu SN. Nie wchodząc w detale, najważniejszą zmianą ma być obniżenie poziomu pełnego składu sędziowskiego SN do połowy jego sędziów, co z kolei miało by pozwolić orzekać we własnym gronie w sposób wiążący sędziom, uznanym przez opozycję za bezprawnie powołanych do SN. Takie prezydenckie rozporządzenie wymagałoby jednak kontrasygnaty premiera, ważne więc, żeby trafiło na biurko szefa rządu dopóty, dopóki jest nim Mateusz Morawiecki. Jak z tym będzie – nie wiadomo, ponieważ kolegium w ubiegłym tygodniu nie zebrało się w terminie, na którym zostało zwołane. Spośród jego 16 członków pojawiła się jedynie połowa – zbyt mało, żeby podejmować decyzje.

Przedłużanie powołania rządu dotychczasowej opozycji może być jej zresztą w jakimś stopniu na rękę, bo wiele wskazuje na to, że nie wszystkie sprawy są dograne, trwa batalia o nie-

prawicy (choć może właściwiej byłoby powiedzieć: w obozie patriotyczno-socjalistycznym).

Decyzja pana prezydenta może wskazywać, że przynajmniej na razie wybiera tę drugą drogę. W istocie bowiem powierzenie Mateuszowi Morawieckiemu misji beznadziejnej jest sposobem na jego ostateczną neutralizację jako kandydata do przejścia schedy po Jarosławie Kaczyńskim. Odchodzącego premiera obciąża już teraz źle poprowadzona kampania, a także właściwie wszystkie te wątki polityki PiS z przeszłości, które członkowie partii mogą winić za swoją porażkę: skrajna proukraińskość (to akurat dzieli z panem prezydentem), Polski Ład czy obsesyjne skupienie się na Donaldzie Tusku, co spowodowało odpływ umiarkowanych wyborców. Teraz doszłaby do tego porażka przy tworzeniu rządu.

Owszem, upartym promotorem Mateusza Morawieckiego wydaje się

pozostawać sam Jarosław Kaczyński, co w świetle dokonania tego pierwszego wydaje się już kompletnie niezrozumiałe. Aczkolwiek nie można wykluczyć, że gdyby PiS miał realną szansę utworzenia rządu, prezes PiS zdecydowałby wówczas, że akuszerem tego procesu będzie ktoś inny niż Morawiecki.

Sam Kaczyński jednak powoli odchodzi już w przeszłość. Prezes PiS ma dzisiaj 74 lata i zauważalnie słabszą kondycję – pod każdym względem – niż cztery lata temu, w momencie startu drugiej kadencji rządów jego partii. Gdyby wziąć wystąpienia Kaczyńskiego z lat 2015, 2019 i obecne, kontrast będzie wręcz szokujący. Oczywiście na świecie są i starsi liderzy. Joe Biden 20 listopada skończy 81 lat, a jego prawdopodobny rywal w przyszłorocznych wyborach, Donald Trump, będzie miał wtedy lat 78. Jednak stan intelektu prezydenta USA jest od dawna obiektem kpin, a też w zaawansowanym wieku ludzie różnią się od siebie kondycją fizyczną i psychiczną. Donald Trump wielokrotnie sprawi wrażenie, jakby był o dekadę młodszy od Jarosława Kaczyńskiego.

Prezes PiS – zgodnie z własnymi zapowiedziami – ma przestać rządzić partią za dwa lata. A więc akurat wówczas, gdy Andrzej Duda będzie kończyć urzędowanie. Wziąwszy pod uwagę relacje pomiędzy prezesem PiS a prezydentem, wydaje się mało prawdopodobne, żeby Jarosław Kaczyński chciał namaścić na swojego następcę właśnie Andrzeja Dudę. Dla pana prezydenta nie musi to być jednakże przeszkoda.

ZBURZONY MIT KACZYŃSKIEGO

Te wybory zburzyły mit Kaczyńskiego jako genialnego stratega. Działacze partii widzą, że przywództwo zawiodło pod wieloma względami, m.in. stawiając bezalternatywnie na premiera Morawieckiego. Widzą też proces starzenia się lidera. Za dwa lata te czynniki będą mieć znaczenie. Kaczyński, owszem, wciąż będzie się cieszył nimbem założyciela, męża opatrnościowego, żywego symbolu, ale w bieżących sprawach jego znaczenie będzie coraz mniejsze. Członkowie PiS i wyborcy będą oczekiwali nowego, skutecznego przywództwa. W partii jest kilkoro kandydatów na to miejsce – i nie ma wśród nich Mateusza Morawieckiego, który wykazał

Okoliczności tworzą panu prezydentowi okazję, aby ustawić się w pozycji jedynego realnego obrońcy wartości własnego obozu politycznego. Czy ją wykorzysta?

się porażającym brakiem efektywności w wielu dziedzinach, od polityki wobec Ukrainy poczynając, na polityce unijnej skończywszy.

Jednak pan prezydent może mieć atut niedostępny dla innych, powiązany z jego stanowiskiem: przez najbliższe dwa lata może za pomocą weta skutecznie hamować wszelkie istotne politycznie pomysły nowej władzy, zbijając w ten sposób kapitał. Wykorzysta także wszelkie słabości Jarosława Kaczyńskiego, pamiętając mu upokorzenia, których doznawał szczególnie podczas swojej pierwszej kadencji. Objęcie przywództwa po obecnym prezesie PiS byłoby dla Andrzeja Dudy osobistą satysfakcją – a, jako się rzekło, pan prezydent bywa na własnym punkcie wyjątkowo wrażliwy. Ostentacyjne pokazywanie przez Jarosława Kaczyńskiego prezydentowi miejsca w szeregu nie zostanie zapomniane.

Byłby to jednak model kohabitacji dość konfrontacyjnej, a przecież bynajmniej niedający pewności objęcia przywództwa w Zjednoczonej Prawicy (o ile taka będzie wciąż istniała w 2025 r.). Jeśli spojrzeć na dotychczasowy sposób sprawowania władzy przez pana prezydenta, to można mieć mocno mieszane odczucia co do jego zdolności politycznych, przywódczych i organizacyjnych. Mając w ręku duże środki i odpowiednią instytucjonalną infrastrukturę, Andrzej Duda przez osiem lat nie zdołał stworzyć własnego środowiska politycznego czy choćby opiniotwórczego. Nie zgromadził wokół siebie ludzi. Nie stoi za nim grupa liderów opinii czy intelektualistów. W przypadku polityki wobec Ukrainy okazał się dla swojej macierzystej partii ogromnym obciążeniem – a nie mamy pewności, czy wątek ukraiński nie stanie się szczególnie istotny w nadchodzących latach wobec intensyfikacji niemieckiej polityki wciągania Kijowa do UE jako swojego bliskiego sprzymierzeńca – w zamian za unijne pieniądze. A przecież Andrzej Duda

taki bezwarunkowo proukraiński kurs popierał. To może go obciążyć.

Może więc jednak kuszące będzie wybranie bezpieczniejszego kursu na międzynarodową posadę? To wymagałoby wypracowania z nową władzą niepisanego modus vivendi, w ramach którego głowa państwa mogłaby stawiać opór w przypadku propozycji wyraźnie sprzecznych ze światopoglądem pana prezydenta, ale nie przy okazji każdej uchwalanej ustawy.

To jednak również może być ryzykowne. Andrzej Duda nie dostanie przecież na piśmie gwarancji, że rząd trójkoalicyjny udzieli mu poparcia na jakieś zwalniające się stanowisko w organizacji międzynarodowej – a też z pewnością nie mogłoby wchodzić w grę żadne z tych pierwszoplanowych. Raczej coś z drugiego, może nawet trzeciego rzędu, czyli dobre pieniądze, średni prestiż, polityczna emerytura. Mogłoby się okazać, że po dwóch latach względnie łagodnego podejścia do polityki obozu rządowego odchodzącego prezydenta wystrychnięto na dudka, zostawiając go z niczym.

Jak wiele innych prognoz i ta, choć wariantowa, może się okazać nietrafiona. Gdzieś mający przecież również wariant dysfunkcjonalności nowej koalicji i zmiany władzy w okolicach połowy kadencji albo możliwość jej skrócenia. Nie są to scenariusze bardzo prawdopodobne, ale też nie są niemożliwe. A zmieniałoby to sytuację pana prezydenta.

Na etapie, na którym jesteśmy, trudno jeszcze stawiać jednoznaczne diagnozy. Faktem jest, że okoliczności tworzą panu prezydentowi okazję, aby ustawić się w pozycji jedynego realnego obrońcy wartości własnego obozu politycznego. Czy ją wykorzysta? Wydawało się, że idealną okazją do rozwinięcia skrzydeł było już samo znalezienie się w Pałacu Prezydenckim. Tak się jednak nie stało. Podobnie może skończyć się teraz.

© All rights reserved



Okręgi w Wojnowicach wskazujące na lokalizację pod ziemią domniemanej konstrukcji neolitycznej

Cyfrowe przyspieszenie w archeologii

DARIAH-PL to projekt, dzięki któremu 16 polskich instytucji naukowych zakupiło urządzenia i oprogramowanie oraz opracowało wiele rozwiązań, z których będą wspólnie korzystać, by rozwijać różne dziedziny humanistyki. Zaawansowana aparatura oraz możliwość przetwarzania dużych ilości danych pozwalają na pogłębienie i szerokie udostępnienie wiedzy o rodzimej kulturze, języku i sztuce w stopniu dotąd niedostępnym dla badaczy oraz w tempie, które oszczędza im lata żmudnej pracy. Nowa infrastruktura badawcza rozmieszczona w całej Polsce nazwana została Dariah.lab.

Główne obszary tematyczne obsługiwane przez Dariah.lab to: geoarcheologia, dziedzictwo kulturowe i muzykologia. W tej pierwszej dziedzinie intensywne działania prowadzi Uniwersytet Marii Curie-Skłodowskiej (UMCS) w Lublinie. Naukowcy z różnych wydziałów założyli tam Centrum Sztucznej Inteligencji i Modelowania Komputerowego, które wykorzystuje m.in. sprzęt Dariah.lab, taki jak georadar, dron i magnetometr, do tzw.

badzeń nieinwazyjnych. Metody te pozwalają stwierdzić, co jest pod ziemią, bez konieczności prowadzenia wykopaliisk. Wykorzystano je już w zabytkowym klasztorze kamedulskim w Wigrach, którego fundatorem był król Jan Kazimierz, a który po rozbiorach Polski miał bardzo burzliwą historię. Próbując rozszyfrować jego dzieje, naukowcy skorzystali z nowoczesnego sprzętu, by określić położenie zasypanych piwnic. Zlokalizowano także wejścia do krypt w kościele. Badania te pomogły w dokładnym zaplanowaniu prac wykopaliskowych.

Innego rodzaju zagadkę naukowcy rozwiązują w Wojnowicach pod Ożarowem. Na zdjęciach pola umieszczonych w Google Maps zauważyli oni strukturę, która może być reliktem konstrukcji wybudowanej przez mieszkańców w czasach neolitu, czyli ok. 6–5 tys. lat temu. Wyraźny kształt tej struktury i istnienie w jej sąsiedztwie śladów po dawnych jamach i paleniskach potwierdziły zdjęcia z drona, badanie LiDAR (laserowe skanowanie lotnicze) oraz badania georadarowe i geomagnetyczne.

Dodatkowo na powierzchni znaleziono zabytki ceramiczne. Teraz badacze mogą dokładnie zaplanować kolejne etapy działań na tym intrygującym stanowisku archeologicznym.

Doktor Marcin Maciejewski, archeolog z UMCS, który prowadził badania terenowe w Wigrach i Wojnowicach, potwierdza dokonywanie się małej rewolucji cyfrowej w polskiej archeologii.

– Aparatura, którą kupiliśmy dzięki dofinansowaniu Dariah.lab, pozwala nam lepiej planować badania wykopaliskowe, bo znacząco poszerza dostępne informacje o ukrytych pod ziemią zabytkach historii i prehistorii. Możemy ograniczyć koszty badań i osiągnąć lepsze wyniki naukowe. Dzięki możliwości digitalizacji dokumentów i tworzenia cyfrowych kopii zabytków archeologicznych przekłada się to również na ochronę dziedzictwa archeologicznego, które jest przecież zasobem nieodnawialnym. To otwiera przed nami wiele perspektyw badawczych, w tym z wykorzystaniem modelowania komputerowego, sztucznej inteligencji i druku 3D – wyjaśnia dr Maciejewski.

Projekt „Cyfrowa infrastruktura badawcza dla humanistyki i nauk o sztuce DARIAH-PL” realizowany jest od początku stycznia 2021 r. do grudnia 2023 r. Liderem konsorcjum naukowego, które stworzyło Dariah.lab, jest Poznańskie Centrum Superkomputerowo-Sieciowe przy Instytucie Chemii Bioorganicznej PAN. Jest to największe konsorcjum polskiej humanistyki, którego członkami są uznane ośrodki naukowe z całej Polski. Projekt uzyskał dofinansowanie UE w wysokości 99,8 mln zł w ramach Programu Operacyjnego „Inteligentny Rozwój”. Za wyłonienie projektów do dofinansowania i ich rozliczenie odpowiada Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy (OPI PIB). Poza dystrybucją środków unijnych dla polskich jednostek naukowych OPI zajmuje się tworzeniem systemów informatycznych dla nauki i szkolnictwa wyższego; prowadzi także badania naukowe w obszarach: inżynierii oprogramowania, sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego, analizy danych, interakcji człowieka z technologią i innych.

RYSZARD GROMADZKI: Prezydent Duda powierzył misję sformowania rządu premierowi Morawieckiemu. Wobec braku większości w Sejmie wydaje się, że Morawiecki podjął się klasycznej „mission impossible”. Co, oprócz dodatkowego miesiąca rządów, zyska PiS dzięki posunięciu prezydenta?

RYSZARD CZARNECKI: Przede wszystkim prezydent pokazał w ostatnich tygodniach, że jest absolutnie suwerenny w podejmowaniu swoich decyzji i nie ugiął się pod naciskami opozycji, która żądała powierzenia premierostwa na „łapusa” Donaldowi Tuskowi. Poza tym to zrozumiałe, że konserwatywny prezydent szanuje tradycję, która jest wartością samą w sobie, a ta tradycja nakazuje powierzenie misji tworzenia rządu przedstawicielowi ugrupowania z najlepszym wynikiem wyborczym. Przypomnę, że mieliśmy w naszej najnowszej historii politycznej sytuację, w której prezydent Wałęsa powierzył misję tworzenia rządu Bronisławowi Geremkowi, gdyż najwięcej mandatów osiągnęła ówczesna Unia Demokratyczna. Geremek nie był wtedy w stanie utworzyć rządu, a choć było o tym z góry wiadomo, jednak tę misję otrzymał. To, że prezydent Duda szanuje tę konserwatywną tradycję, tylko dobrze o nim świadczy. Czy będzie to „mission impossible”? Na pewno będzie to misja niesłychanie trudna.

W PiS trwa dyskusja o przyczynach niepowodzenia w październikowych wyborach. Wśród wielu przyczyn porażki wymienia się utratę słuchu społecznego, który pozwolił na wcześniejsze zwycięstwa. Liderzy PiS mówią, że politycznym błędem było skierowanie do Trybunału Konstytucyjnego wniosku o sprawę zgodności z konstytucją tzw. przesłanki eugenicznej w ustawie dotyczącej ochrony życia poczętego. Czy założenie, że było to główną przyczyną przegranych wyborów, nie oznacza, że PiS dryfuje w stronę wypranej z konserwatywnej tożsamości formacji centrowej, wzorem wielu podobnych ugrupowań w Europie Zachodniej?

Nie podzielam większości tych zarzutów. Nie uważam, że straciliśmy słuch społeczny. Po ośmiu latach rządzenia, co zawsze bardzo zużywa, mieliśmy naprawdę bardzo dobry wynik. Jeżeli nie stworzymy rządu, to nie dlatego, że zdobyliśmy zbyt mało głosów – bo mamy ich znacznie więcej niż PO i jej akolici – tylko dlatego, że nie posiadamy zdolności koalicyjnych. Nie ma podstaw, żeby mówić, że



**Z Ryszardem Czarneckim, eurodeputowanym
Prawa i Sprawiedliwości**
rozmawia Ryszard Gromadzki

PiS nie znaczy obciach

FOT. FILIP NAJMIENIO/REPORTER

idziemy w kierunku centrum. Sądzę, że formuła PiS, który obejmował dość szerokie spektrum od twardej prawicy do centroprawicy, była optymalna. Jedyna rzecz, która rzeczywiście wynika z badań, to to, że po wiadomym wniosku do Trybunału Konstytucyjnego poparcie w sondażach bardzo nam spadło – z naszych wewnętrznych badań wynikało, że było wówczas na poziomie nawet do 45 proc. – i jego odbudowanie okazało się skrajnie trudne. Udało się to tylko częściowo, ale – jak widać – w niewystarczającym stopniu. Gdyby nie to, można by postawić tezę, że prawdopodobnie utrzymalibyśmy władzę nawet bez zwiększania zdolności koalicyjnej. Mielibyśmy więcej mandatów, a do tego nie dalibyśmy wiatru w żagle opozycji, zwłaszcza Lewicy i Koalicji Obywatelskiej, która mocno skreśliła w lewo. Wniosek do Trybunału

Konstytucyjnego powodowany przecież najlepszymi intencjami dał „power” tym, którzy chcą wahać polityczne odchylić głęboko w lewo.

Chce pan przez to powiedzieć, że warunkiem politycznej skuteczności formacji prawicowej w Polsce jest zgoda na „odchylenie w lewo”? Czy to oznacza przyzwolenie na genderową i proaborcyjną agendę forsowaną przez Unię Europejską?

Wcale nie. Przecież PiS realizował agendę dotyczącą ochrony życia, bronił przed lewicą obowiązującego ustawodawstwa pro-life. Mówię tylko, że straciliśmy mocno w sondażach po wniosku do TK i tych strat nie udało się odrobić. Tymczasem obecna ustawa antyaborcyjna jest jedną z najlepiej chroniących życie w Europie! Przecież my nie poszliśmy w lewo. Nie chodziło przecież o zmianę ustawy obowiązującej u nas od 30 lat w kierunku dopuszczania



do większej możliwości przerywania ciąży, jej tzw. liberalizacji – nie lubię tego określenia, bo na pewno nie jest to liberalizacja z punktu widzenia nienarodzonych dzieci! – o to przesunięcie w lewo, które ma miejsce w wielu krajach Europy. Przecież odwrotnie: poszliśmy w kierunku jej „zaostżenia”, by użyć nie mojego i naszego języka. Nie uważam, żeby Prawo i Sprawiedliwość wpisywało się w tendencję, którą słusznie pan w Europie dostrzega, bo ona rzeczywiście istnieje. W Polsce cały czas obowiązuje – podkreślę to mocno raz jeszcze: także dzięki PiS – ustawa, która należy do najbardziej chroniących życie poczęte w Unii Europejskiej. Konkludując: PiS nie uległ pokusie stania się partią bardziej centrową niż prawicową, co zrobiło wiele ugrupowań w Europie, na czele z hiszpańską Partido Popular, co – jak widać – wcale jej nie pomogło wygrać kilku ostatnich wyborów.

Po tym, co się wydarzyło 15 października, PiS potrzebuje głębokiego restartu?

Na pewno potrzebna jest dyskusja, wewnątrzpartyjna debata. Wierzę, że taka nastąpi. Nie sądzę jednak, że powinno się prowadzić ją w mediach. Dlatego pozwoli pan, że nie będę ujawniał w naszej rozmowie swoich przemyśleń w tej sprawie. Poza jednym – musimy się zastanowić, jak to się stało, że partia, która w 2015 r. wygrała wybory wśród wyborców między 18. a 29. rokiem życia, w ciągu ośmiu lat dała się wyprzedzić w tym przedziale wiekowym trzem innym formacjom. I to robiąc sporo dla młodych ludzi! Zupełnie jednak nie umieliśmy tego sprzedać. Co więcej, nie potrafiliśmy skutecznie walczyć z narzucanym w sferze popkultury stereotypem PiS jako „partii obciachu”, do której wstyd się przyznawać.

Czy pełną polityczną odpowiedzialność za przegrane wybory ponosi Jarosław Kaczyński? Czy w związku z tym model partii wodzowskiej, którą jest Prawo i Sprawiedliwość, wymaga pilnej reformy? PiS jest w stanie przetrwać bez Kaczyńskiego?

Jarosław Kaczyński, który nie tylko wymyślił wraz ze śp. prezydentem Lechem Kaczyńskim Prawo i Sprawiedliwość, lecz także jest politykiem, który scala PiS, zapewnia mu jedność. Jest autorytetem dla różnych środowisk tworzących naszą formację i funkcjonujących

wokół niej. Nie ma on żadnej alternatywy personalnej. Żadne „wrzutki” na ten temat na pewno nam nie służą. Im dłużej prezes Kaczyński będzie prezesem PiS, tym dla nas lepiej, bo to gwarantuje nam jedność i spójność. Nasi wyborcy mogą nam wybaczyć błędy, ale nie wybaczą nam braku jedności.

Czy jeśli po spodziewanym fiasku misji Morawieckiego Donaldowi Tuskowi uda się sformować nowy rząd, otworzy to drogę do realizacji „Manifestu z Ventotene” autorstwa włoskiego komunisty Spinellego? A pozbawiona suwerenności Polska stanie się częścią „państwa Europa” zwanego też „IV Rzeszą”?

Po pierwsze: dajmy szansę premierowi Morawieckiemu choć jeszcze raz podkreślę, że jego misja jest skrajnie trudna. Po drugie: retoryka większości ugrupowań tworzących koalicję – a przypominę to, z czego niewielu sobie zdaje sprawę, że jest to aż 10 partii – jest często skrajnie euroentuzjastyczna i bezrefleksyjnie pro-unijna. Jednak w moim przekonaniu – i tu mogę się różnić w ocenie od niektórych kolegów z mojego środowiska politycznego – dostrzegam pewną szansę dla Prawa i Sprawiedliwości, gdy chodzi o skuteczne narzucanie pewnej narracji obozowi rządowemu, jeśli taki powstanie bez naszego udziału. Nie jest to żadne „sursum corda” czy poprawianie rodakom humoru po przegranych wyborach. Uważam, że przed PiS otwiera się szansa, żeby w pewnych tematach, szczególnie dotyczących federalizacji Europy, narzucać swoją narrację. Zwracam uwagę, że najbardziej euroentuzjastyczna formacja opozycji, czyli lewica, po czterech latach rządów prawicy miała 12,5 proc. głosów, czyli głosował na nią co ósmy Polak, a w ostatnich wyborach lewica uzyskała tylko 8,5 proc. głosów, co oznacza, że głosował na nią już co 12. Polak. Zwracam też uwagę na wynik PSL, czyli ugrupowania najbardziej wstrzemięźliwego wśród wszystkich formacji tworzących tzw. opozycję demokratyczną. Polacy mają więc dystans do naiwnego euroentuzjazmu.

Na tyle wstrzemięźliwego, żeby skutecznie powstrzymać walec zmian, który przetacza się właśnie przez Parlament Europejski i inne instytucje unijne?

Nie mam złudzeń co do skuteczności oporu PSL. Za to jeśli Donald Tusk właściwie odczytał wynik ostatnich

wyborów, to nie powinien iść w kierunku euroentuzjazmu, tylko w stronę eurorealizmu. Charakterystyczna jest zauważalna zmiana formy funkcjonowania Platformy czy Koalicji Obywatelskiej. Wcześniej pokazywali się w otoczeniu unijnych flag, w ostatnich miesiącach zaczęli się przyznawać do flagi narodowej, „Mazurka Dąbrowskiego” i nagle zaczęli nosić biało-czerwone serduszka. Zrozumieli, że w Polsce patriotyzm jest bardzo w cenie, a przekreślenie patriotyzmu może prowadzić tylko do kolejnych porażek. Wbrew temu, co konstatają niektórzy moi koledzy, wieszczący „Finis Poloniae”, nie lekceważąc ich intencji i obaw, zakładam, że jeśli Tusk jest politykiem racjonalnym, to powinien odklejać od siebie stereotyp, który cały czas funkcjonuje, zgodnie z którym jest politykiem proniemieckim, że jest politykiem „na telefon” z Brukseli itd. Jego niedawna wypowiedź w Brukseli wskazuje, że Tusk to zrozumiał i nie chce wpisywać się w podział, w którym on i jego formacja z definicji tworzą obóz kosmopolityczny będący w wiecznej kontrze do obozu patriotycznego uosabianego przez prawicę.

Czy ta „suwerennościowa” linia Tuska to nie kamuflaż? Jak przyjdzie co do czego, to Tusk bez gadania podporządkuje się dyspozycjom z Berlina czy Brukseli?

Być może. To wyjdzie w czasie głosowań, które w trzeciej dekadzie listopada planowane są w Parlamencie Europejskim, a dotyczą rewolucji w Traktatach o UE. Zobaczymy, jak zagłosują europosłowie Platformy, jak zachowa się europosłanka od Hołowni czy europosłowie Lewicy. Później całym pakietem zmian w traktatach unijnych zajmie się Rada Europejska, w której głosują premierzy. Donald Tusk – jeśli będzie wówczas szefem rządu – będzie miał wówczas okazję udowodnić, że jego ostatnia wypowiedź z Brukseli, wygłoszona już po wyborach 15 października, sceptyczna wobec zmian w unijnych traktatach, nie była tylko pozą przed sformowaniem rządu, żeby nie dać PSL pretekstu do bicia poza koalicją. Uważam, że w sprawie federalizacji Unii PiS może zawiesić wysoko poprzeczkę przyszłej koalicji. Bardzo chciałbym, żeby w tej kwestii ewentualny rząd Tuska musiał tańczyć tak, jak PiS zagra.

Matczak kontra lewica



Zuzanna Dąbrowska

Lewica nie powinna obejmować resortu edukacji, ponieważ doprowadzi do skrajnej, szkodliwej ideologizacji polskiej szkoły – stwierdził prof. Marcin Matczak. Wywołał falę oburzenia po lewej stronie prawdopodobnej przyszłej koalicji rządowej. Spór ten jest o tyle ciekawy, że pokazuje, iż aby dostrzegać zagrożenia związane z lewicą spod znaku „woke”, nie trzeba być prawicowcem



Idea ma się tak do ideologii jak komórka zdrowa do komórki rakowej. Mnóstwo ideologii zaczynało jako dobre idee, które się wynaturzyły, zmutowały i zezłościły. Dzieje się tak zarówno z ideami prawicowymi, jak i z tymi lewicowymi [...]. Tak stało się z socjalizmem, który zmutował w komunizm, tak jest z wieloma współczesnymi ideami, choćby woke. Ta ostatnia jest oparta na słusznym przekonaniu, że należy być czujnym na przejawy nietolerancji, dyskryminacji i przemocy. Idea woke głosi więc potrzebę wrażliwości. Mutuje jednak coraz częściej w ideologię woke, która jest przewrażliwiona i inkwizycyjna: ideologię skłoną dostrzegać w każdym, nawet niewinnym zachowaniu zło, które trzeba bezwzględnie zwalczać [...]. W ten sposób ideologia ostatecznie przekształca się w przeciwieństwo idei. Zamienia się w to, co chce zwalczać – w agresję, dyskryminację i przemoc” – napisał prof. Marcin Matczak w swojej książce „Kraj, w którym umrę”.

Niech nikogo nie zmyli ten cytat – prawnik z Uniwersytetu Warszawskiego nie stał się nagle zwolennikiem PiS i kojarzonego z nim nurtu prawicowo-konserwatywnego; krytykuje „populistów”, polityków odwołujących się rzekomo do faszyzmu, zarzuca środowisku Jarosława Kaczyńskiego i Zbigniewa Ziobry niszczenie porządku prawnego. Warto też przypomnieć, że – w ramach sprzeciwu wobec władzy – Matczak nie zjawił się na uroczystości wręczenia nominacji profesorskiej, którą przyznał mu prezydent Andrzej Duda. Jest więc jednym z ostatnich, którego można by posądzać o sympatię do polskiej prawicy.

Jednak prawnik dostrzega coś, co umyka wielu, także konserwatystom – rewolucyjna lewica, która dziś prawdopodobnie będzie tworzyć w Polsce nowy rząd, jest groźna, bo idzie po dzieci. Chodzi wprost o deklaracje, że w ramach przyszłej koalicji to właśnie ktoś z Nowej Lewicy obejmie stanowisko ministra edukacji (na razie nie wiadomo, czy szkolnictwo wyższe zostanie przekazane oddzielnemu resortowi). Choć padają deklaracje, że szkoła zostanie „odideologizowana” (ewentualnie „odczarnizowana”), to w tym samym zdaniu mowa jest o konieczności wyprowadzenia religii i wprowadzenia edukacji seksualnej. Przedsnak szkoły w „wolnej Polsce” mogliśmy poczuć w ostatni piątek

października, gdy w ponad 100 placówkach zorganizowano „Tęczowy piątek”. Nauczyciele i obchodzący ten dzień uczniowie przyznawali, że czują się swobodniej w związku ze zbliżającą się zmianą władzy.

W OBAWIE PRZED POLARYZACJĄ

„W odpowiedzi na wątpliwość, czy szkoła lewicy będzie w zbalansowany sposób promować wartości ważne dla wyborcy konserwatywnego, pada na pierwszym miejscu odpowiedź, że będzie można obchodzić w szkole Dzień Matki... Szkoła, w której po prostu wolno obchodzić 1 maja, niekoniecznie realizuje wartości lewicowe, że użyję takiego porównania. Trzeba chyba czegoś więcej. Chodzi raczej o to, czy macierzyństwo i małżeństwo będą prezentowane jako wartościowe wybory życiowe i jak da się to pogodzić z narracją emancypacyjną lewicy i traktowaniem tradycyjnych struktur społecznych jako opresyjnych” – wskazał prof. Matczak, odnosząc się do wywiadu udzielonego przez Agnieszkę Dziemianowicz-Bąk z SLD.

Parlamentarzystka nie ukrywa, że chciałaby nadzorować polską edukację. Tymczasem według prawnika przekazanie resortu w ręce lewicy doprowadzi do jeszcze większej polaryzacji. „Nie chodzi o konkretną osobę, ale o to, że powołanie osoby z konkretnej partii tworzącej koalicję jest symbolem kierunku zmian. Uważam po prostu, że ktoś z lewicy będzie w edukacji bardziej polaryzował niż ktoś Trzeciej Drogi. A edukacja to bardzo polaryzujący obszar” – ocenia.

Co na to Dziemianowicz-Bąk? Zgadza się, że „nie potrzebujemy lewicowej indoktrynacji”, ale „szkoły, która będzie bezpiecznym miejscem nauki i rozwoju dla uczniów, dobrym miejscem pracy dla nauczycieli i pracowników niepedagogicznych, oraz – przede wszystkim – szkoły przewidywalnej”. Dalej jednak w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej” przedstawiła Nowej Lewicy podnosi postulaty ewidentnie nacechowane ideologicznie. „Brakuje choćby edukacji pracowniczej, to znaczy z zakresu praw pracowniczych, obywatelskich [...]. Kolejne sprawy to edukacja klimatyczna, o której też młode pokolenie mówi więcej niż my, i edukacja o zdrowiu i seksualności” – wylicza. Kolejne przemyślenia Dziemianowicz-Bąk są jeszcze ciekawsze i dowodzą, że obawy

Matczaka nie są bezzasadne: „Sama szkoła jako instytucja, w której stosowana jest dyscyplina, rygor, są relacje władzy, rzeczywistość bywa opresyjna. Dlatego potrzebny jest system, który tę opresyjność będzie ograniczał, który będzie jej przeciwdziałał”. To tezy wzięte rodem z ideologii woke.

Konstytucjonalista dyskutuje także z Adrianem Zandbergiem. Współprzewodniczący Razem twierdzi bowiem, że prawnik „spiera się z jakąś wyobrażoną wersją partii. My w Razem jesteśmy od zawsze zwolennikami polityki prorodzinnej. Opowiadaliśmy się za świadczeniem wychowawczym, jeszcze zanim pojawiło się »500+«. Po prostu chcemy równości małżeńskiej”. Wykładowca z UW odpowiada, że lewica powinna wziąć resort odpowiedzialny za politykę społeczną, nie za edukację. „Uważam, że nie jesteście

Marcin Matczak:

„Zemsta, rozliczanie i pogardzanie elektoratem PiS to TRZY RÓŻNE RZECZY”

w stanie prowadzić zbalansowanej aksjologicznie edukacji, która uwzględni jednocześnie wartości Wam bliskie (np. pełne równouprawnienie kobiet, walka o równość małżeńską, którą w pełni popieram) oraz wartości bliskie konserwatywnemu wyborcy (np. wartość macierzyństwa czy wartość małżeństwa heteroseksualnego). A ponieważ jest w Polsce wielu ludzi, dla których te drugie wartości są ważne i wychowanie polaryzuje, edukacja powinien się w Waszym rządzie zajmować ktoś inny, żeby w percepcji konserwatywnego wyborcy szkoła nie stała się miejscem jednostronnej indoktrynacji” – przekonuje Marcin Matczak.

Kwestię „małżeństw jednopłciowych” podnosi też Maciej Gdula, który w wyborach 15 października nie uzyskał poselskiej reelekcji. „Mówienie o związkach osób LGBT ani nie kłóci się z promowaniem macierzyństwa (wręcz przeciwnie, można opowiedzieć o tęczywch rodzinach), ani nie jest pogardą wobec kogośkolwiek (wręcz przeciwnie, jest walką z pogardą wobec mniejszości). Dlatego edukacja seksualna do szkół!” – prze-

konuje w mediach społecznościowych. Matczak odpowiada, że „chodzi o to, czy lewica w edukacji jest w stanie zapewnić realny balans między promowaniem wartości ważnych dla siebie (np. pełnego równouprawnienia kobiet, szacunku dla społeczności LGTB+) i wartości ważnych dla konserwatywnej części społeczeństwa (np. wartość macierzyństwa)”. „Uważam, że jest to bardzo wątpliwe. Dlatego edukację powinien zajmować się ktoś inny” – wskazuje po raz kolejny.

NIE NA OŚLEP

Wydaje się, że problem z Marcinem Matczakiem mają jednak nie tylko lewica, lecz także cała „demokratyczna opozycja”, szykująca się do przejścia państwa. Zamiast ślepo wspierać wizję odwetu na PiS i zepchnięcia wyborców tej partii na margines społeczny, prawnik ten mówi o konieczności obniżenia temperatury sporu politycznego. „Jakakolwiek naprawa państwa prawa, dokonana wyłącznie na papierze, bez obniżenia polaryzacji, będzie nietrwała. Każdą ustawę można zmienić w 8 godzin, każdą instytucję sparaliżować. Chodzi o to, aby nie było społecznego poparcia dla takich działań. A ono jest wtedy, gdy spolaryzowane grupy społeczne zaczynają uznawać, że aby pokonać »tych drugich«, wszystkie chwytły są dozwolone” – przekonuje. Matczak, rzecz jasna, chce „przywracać praworządność”, ale nie na oślep i nie cepem. „W Fundacji Batorego przygotowaliśmy ustawy naprawiające praworządność – ale dla ich trwałego wprowadzenia potrzebne jest obniżenie napięć społecznych. Nie dziwicie się więc, że prawnicy nawołują do obniżenia polaryzacji. To warunek wstępny naprawy państwa” – podkreśla.

Co pewnie dla opozycji trudne do przełknięcia, profesor z UW wskazuje na aksjomaty zwolenników PiS, które po „odkrzywieniu” mogłyby stać się wartościami wspólnymi. Wymienia szacunek dla tradycji, szacunek dla macierzyństwa, szacunek dla wierności w związkach, nieośmieszanie religii, twardą obronę polskiego interesu, a to wszystko „bez obrażania tych, którzy siedzą po drugiej stronie, ale z szacunkiem dla nich”. „Zemsta, rozliczanie i pogardzanie elektoratem PiS to TRZY RÓŻNE RZECZY” – zaznacza Marcin Matczak.

Polski Kościół patrzy na Synod



Piotr Semka

Jeśli wziąć na serio wezwanie do debaty w polskim Kościele nad kwestiami zawartymi w dokumencie końcowym Synodu, to przez kolejny rok powinna rozpocząć się szczerą i wyrazistą dyskusja

Wystąpienia dwóch polskich hierarchów, którzy uczestniczyli w Synodzie o synodalności w Rzymie, stały się symbolicznymi postawami wobec tego najważniejszego aktualnie zgromadzenia w Kościele.

Pierwszy sposób patrzenia na Synod zaprezentował abp Stanisław Gądecki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski. W rozmowie z Radiem Watykańskim i portalem Vatican News metropolita poznański wysunął na czoło refleksję: „Praktyki duszpasterskie na świecie mogą różnić się między sobą, natomiast nauczanie doktrynalne Kościoła musi pozostać jednorodne”. Rozwijając temat, mówił: „Praktyki duszpasterskie na świecie, powodowane różną historią, kulturą, językami i obyczajami, mogą różnić się między sobą, natomiast nauczanie doktrynalne Kościoła musi pozostać jednorodne i nie może w jednym kraju brzmieć tak, a w innym inaczej”.

W tym kontekście szef Episkopatu odniósł się do niemieckiej drogi synodalnej i wskazał na jej niezgodność z naucza-

niem katolickim. „Pragnieniem sekretariatu Synodu jest prowadzenie dalszych dyskusji nad postulatami zawartymi w końcowej syntezie. Wnioski mają trafić do sekretariatu Synodu do marca 2024 r. Będzie to intensywny czas, w którym wnioski z poszczególnych episkopatów i diecezji będą docierać do sekretariatu Synodu. Od tych wniosków, które powstaną, zależeć będzie przyszłość Kościoła” – zaznaczył abp Gądecki.

Inne wnioski zaakcentował kard. Grzegorz Ryś, który także wziął udział w Synodzie. Wypowiadając się dla „Gościa Niedzielnego”, wskazał: „Kościół synodalny to nie jest wizja wymyślona przez papieża. To wizja Kościoła, która wyrasta z Ewangelii. My się na ten obraz potrzebujemy nawracać. A nie nawracamy się, bo się boimy o wiele rzeczy”. Kardynał Ryś, omawiając dokument końcowy, mówił: „Odbiór tego tekstu pewnie zależy od tego, jakie kto miał oczekiwania. Wielu by chciało, by Synod potwierdził ich obawy, które mieli przed Synodem, a tu nic takiego się nie wydarzyło, więc nie mieli o czym pisać”.

Kardynał Ryś zapytany o to, czy tematem rozmów podczas Synodu były dubia kilku kardynałów i odpowiedzi papieskie, zareagował dość nerwowo: „Dubia w ogóle nie były tematem [...]. Myślę, że wszyscy uczestnicy Synodu mieli takie poczucie, że te pytania kardynałów były zadane zupełnie jakby z zewnątrz procesu synodalnego, jakby w tym procesie nie uczestniczyli. Po drugie, powiedzmy to, co i tak jest wiedzą chyba powszechną: kiedy papież dostał pytania, to na nie odpowiadał. Natomiast kardynałowie nie opublikowali jego odpowiedzi (za to upublicznili wyłącznie swoje pytania, mając już odpowiedzi papieża). To raczej nie w porządku wobec Ojca Świętego. Prawda? O co ostatecznie szło – czy prawdą o pytania?”.

Dziennikarz „Gościa Niedzielnego” zapytał, czy na Synodzie w ogóle nie pojawiały się takie tematy, o które pytali autorzy dubiów. Arcybiskup metropolita łódzki odpowiedział: „Pojawiały się, tylko że każda z tych dyskusji była podejmowana w kontekście Kościoła Powszechnego.



Papież Franciszek przewodniczy Mszy Świętej z okazji zakończenia XVI Zwyczajnego Zgromadzenia Ogólnego Synodu Biskupów w bazylice św. Piotra, 29 października 2023 r.

FOT. ALESSANDRA BENEDETTI/CORBIS/GETTY IMAGES

Inaczej rozmawia się o społecznościach LGBTQ+ w Europie, a zupełnie inaczej w Afryce. Tak samo zupełnie inaczej rozmawia się o poligamii w Afryce, a inaczej o poligamii w Europie. Właśnie dlatego papież zalecał wszystkim uczestnikom raczej milczenie niż gonienie do wszystkich mediów, bo wie, że lepiej jest rozmawiać o wszystkich tych kwestiach w kontekście całego Kościoła, a nie dać się zredukować do kilku pytań, które są ważne ostatecznie dla jakiejś jednej czy drugiej grupy komentatorów. W syntezie jest zatem wyraźnie powiedziane, że w Kościele nie ma miejsca na brak szacunku dla jakiejkolwiek osoby. Nie ma na to miejsca”.

INTERMEDIUM PAPIESKIE

O ile na europejskim Synodzie o synodalności w Pradze w lutym br. wyraźny był trend do wprowadzania daleko idących zmian w nauczaniu i praktyce kościelnej, o tyle ogólnosiwiatowy Synod w Rzymie zawiódł zwolenników szybkich reform. Zwolennicy kościelnej rewolucji

nie kryli swej irytacji. „Niespełnione nadzieje na głęboką reformę” – ogłosiła „Gazeta Wyborcza”. Końcowy dokument synodalny nazwano „rozczarującym raportem”. Dziennik Adama Michnika pisał: „Wbrew nadziejom na realne otwarcie Kościoła – raport jest raczej zapisem różnic zdań w wielu kwestiach. Zawiera on 81 postulatów, z czego aż jedna czwarta kończy się wnioskiem o konieczności dalszych »badań kanonicznych« albo nawet pytaniem”. „GW” utyskuje, że pominięta też została kwestia możliwości święceń kapłańskich dla kobiet.

Po stronie konserwatywnej raport końcowy Synodu został przyjęty z pewną ulgą, bo w trakcie spotkania nie doszło do zdecydowanego sukcesu zwolenników szybkich reform. Jednocześnie zwrócono uwagę na kwestie niepokojące. Przede wszystkim Synod odbywał się w stylu, który narzuca od dłuższego czasu sam pontifex. Jak trafnie wskazała publicystka katolicka Barbara Sułek-Kowalska, dominował „kołowrót niedomówień, nadinterpretacji, niejasności i nieufności. Sytuacji nie ułatwiał sam papież Franciszek ze swoim niebywałym, a nawet rosnącym talentem do lapsusów, niewypowiedzianych do końca myśli, niesprecyzowanych opinii, niewyraźnych zestawień faktów i opinii”. Presja papieża, by nie wynosić na zewnątrz wyrażanych opinii, była wyraźna. Prawo do relacji otrzymali tylko wyznaczeni rzecznicy, a dziennikarze mediów katolickich nie mieli swobodnego dostępu ani do obrad, ani do uczestników Synodu. „Kłóciło się to z powtarzaniem do znudzenia tez, że Synod o synodalności ma wszystkich uczyć, jak ze sobą rozmawiać, jak się poznawać, jak się słuchać” – zaznacza Barbara Sułek-Kowalska.

Niepokój strony konserwatywnej budzi też to, że wszystkie najbardziej kontrowersyjne propozycje, np. kwestia celibatu kapłańskiego, święceń dla kobiet, stosunku do kwestii gender i LGBT, zostały przeniesione do dalszej – w domyśle przyszłej – dyskusji synodalnej przez ponad 300 głosów, a więc ok. 85 proc. uczestników. Teolog o. Dariusz Kowalczyk, profesor Papieskiego Uniwersytetu Gregoriańskiego, przypominał list do uczestników Synodu autorstwa kard. Josepha Zen Ze-kiuna, jednego z grupy pięciu kardynałów wyrażających swoje dubia, czyli wątpliwości, wokół

nieprecyzyjnych wypowiedzi papieża w kwestii błogosławienia par homoseksualnych.

Chiński kardynał wskazał na sprzeczności synodalnej retoryki i możliwe manipulacje debaty, jak choćby oparcie prac na małych grupach, podczas gdy tylko dyskusje plenarne pozwalają rzeczywistość zobaczyć, co zgromadzeni uważają za ważne i o czym chcą dyskutować. Jak wskazuje kard. Zen Ze-kiun: „W małych grupach tematy są narzucone i ktoś pilnuje, by nie mówić o innych sprawach [...]. Zaczyna się od głoszenia, że trzeba wszystkich wysłuchać. Z czasem okazuje się, że wśród owych wszystkich są przede wszystkim ci przez nas »wykluczeni«. A na końcu staje się jasne, że chodzi o ludzi, którzy optują za moralnością seksualną inną od tej głoszonej przez katolicką tradycję”.

Dyskusja wróci więc za rok i tym samym najbliższe 12 miesięcy będzie wyzwaniem dla polskiego Kościoła. Na ile debata ta odbywać się będzie na zasadzie poszanowania różnych opinii, nawet tych wyrażających wątpliwości wobec linii papieża Franciszka, a na ile będzie ona tłumiona lub sterowana? Dzwonkiem alarmowym w tej kwestii była decyzja redakcji „Gościa Niedzielnego” o odrzuceniu felietonu Marka Jurka, który polemizował z innym publicystą tego katolickiego tygodnika na temat dubiów pięciu kardynałów.

KŁOPOTLIWY TEMAT

Można odnieść wrażenie, że kwestia owych dubiów i bardzo niejednoznacznej odpowiedzi na nie papieża jest w Kościele katolickim swego rodzaju bólem zębem, który trudno zignorować, a jednocześnie wielu ludzi Kościoła chciałoby ten temat pominąć. Sytuacja, w której Synod pominął niezwykle istotne wątpliwości pięciu hierarchów w kwestiach mających pierwszorzędne znaczenie dla praktyki i doktryny Kościoła, nie jest sytuacją normalną. Przypomina się angielskie przysłowie o słoniu w salonie, którego nie sposób nie zauważyć, ale którego spora część osób przebywających w pomieszczeniu za wszelką cenę nie chce widzieć.

Podobne rozdwojenie można było zauważyć w polskich mediach katolickich. Pewien model pisania o Synodzie o synodalności wcielił w życie „Gość Niedzielnny”. ▶

Tygodnik ten od pewnego czasu przeżywa bardzo wyraźne zmiany. Związane zapewne z tym, że wydawany jest przez diecezję katowicką, której patronem jest abp Adrian Galbas, który nadzorował polską dyskusję synodalną i także był polskim delegatem na październikowy Synod. Linia ta polega na uspokajaniu wiernych, że Synod nie pójdzie drogą niemiecką i że Synod to nie parlament, gdzie zmiany można przegłosować. Wypowiedzi papieskie o możliwości błogosławieństwa osób tej samej płci bynajmniej nie oznaczają radykalnej zmiany praktyki i doktryny Kościoła. Dobrym przykładem tego typu retoryki jest tekst „Czy warto mieć wątpliwości? Co o Kościele mówi papieska odpowiedź na dubia” pióra katowickiego teologa ks. dr. Grzegorza Strzelczyka. Autor tłumaczy, że odpowiedź papieża na dubia to jedynie prywatny list, którego nie należy mylić z encykliką, listem apostolskim czy bullą, za którymi stoi autorytet urzędu następcy św. Piotra.

Zupełnie inaczej do tej kwestii podchodzą zwolennicy zmian w Kościele. Jeden z nich, Tomasz Terlikowski, wręcz kpi z prób niezauważania „rewolucji Franciszka”. „Odpowiedź polskiego Kościoła [...] jest niezmienna. Udawanie, że nic się nie stało, że to tylko media nadinterpretują nauczanie papieskie, że papież nie mógł tego zrobić, więc z pewnością tego nie zrobił, a nam się tylko tak wydaje. Wszystko to podszyte nadzieją, że przyjdzie następny papież i zmieni stanowisko albo przynajmniej tak je »uściśli«, że nic z niego nie zostanie. Tak jednak nie będzie. Kolegium kardynalskie (jeśli chodzi o elektorów) w ponad 70 procentach pochodzi z nominacji Franciszka, a to oznacza, że kolejny papież, nawet jeśli będzie nieco bardziej ostrożny (co nie jest wykluczone), nie będzie dokonywał konserwatywnego zwrotu ani nie będzie wycofywał obecnych decyzji. One zostaną, a co najwyżej następcy obują je głębszymi teologicznymi wyjaśnieniami. Pewnych zmian, szczególnie nie przyjęto je dość powszechnie, wycożajnie nie da się odwrócić.

Zmiana jednak się dokonała, a u jej podstaw leży głębokie przekonanie, że formacja religijna ma prowadzić do kształtowania dojrzałych, świadomych swojej wiary chrześcijan, którzy są – w sumieniu – zdolni do podejmowania własnych decyzji w sytuacji konfliktu

rozmaitych wartości. Jest w niej także mocne przekonanie, że współczesna psychologia (i nie tylko) niesie ze sobą ogromną świadomość skomplikowanego charakteru ludzkich wyborów, ograniczonej przestrzeni wolności wyboru i świadomości itd.”.

ZDERZENIE DWÓCH SPOJRZEŃ

Jeśli uznamy linię „Gościa Niedzielnego” za jeden punkt dyskusji, a rewolucyjny ton Terlikowskiego za drugi punkt odniesienia – to większość polskich mediów kościelnych jest zdecydowanie bliżej redakcji „Gościa”. Trudno się temu dziwić. Dominuje niechęć do pisania o kontrowersjach wokół papieskich wypowiedzi. Po pierwsze, wynika to z tradycyjnego w Polsce posłuszeństwa wobec papieża i osobiście wobec osoby Ojca Świętego, a po drugie z obaw biskupów, że pozostające pod ich nadzorem media uważnie czytane są w nuncjaturze. Odwołanie ks. Marka Gądeckiego w 2018 r. z funkcji redaktora naczelnego „Gościa Niedzielnego” wiązano właśnie ze zbytnim krytycyzmem pisma wobec „bergolizmu”.

Kolejni biskupi mianowani przez Stolicę Apostolską będą przyjmować linię pełnej lojalności wobec kontrowersyjnych wypowiedzi papieża

Ale takich zjawisk jak publicystyka portalu PCh24, Christianitas czy publicystów katolickich wypowiadających się na łamach mediów konserwatywnych nie sposób też do końca nie zauważać. Odpowiedzią na to bywa retoryka, której dobrym przykładem jest tekst „Zwrozenie maluczkich” ks. Przemysława Szewczyka na łamach „Gościa...”. Przestrzega on przed bezkrytycznym przyjmowaniem krytyk linii papieskiej. Jak pisze: „Jeśli kiedykolwiek zapuszczaliście się w te rewiry Internetu, które zamieszkane są przez różnej maści teologów, mistyków, apologetów czy guru, to na pewno zauważyliście, że świat wirtualny jest

wierną kopią rzeczywistości. Znajdziecie w sieci wszystko: od rzetelnej teologii i publicystyki przez sensowną polemikę i konstruktywną krytykę po tanią manipulację i zwodzenie”.

Ksiądz Szewczyk unika określenia, kogo można uznać za konstruktywnego krytyka, a kogo za manipulantą i uwodziciela. Wynika to oczywiście z niechęci do otwartego wypowiadania wojny z prawnymi mediami, a także pokazuje pewien narastający powoli problem w polskim Kościele.

Na dodatek w rolę heroldów, głoszących, że nauki Franciszka podziela polski Kościół, i wskazujących na odszczepieńców, wchodzą kościelni postępowcy. Doktor Sebastian Duda z „Więzi” na antenie TOK FM głosi wprost: „Próby reform czy nawet tylko dyskusja o nich podejmowana przez papieża Franciszka w ostatnim okresie pontyfikatu mogą doprowadzić do schizmy. Bliscy tego mogą być też polscy biskupi”. Tak, to ci, którzy w epoce Jana Pawła II i Benedykta XVI domagali się prawa do krytyki papieskiego nauczania – teraz nagle zamieniają się w surowych łowców nieprawomyślności. I tendencja ta może się umacniać.

Kolejni biskupi mianowani przez Stolicę Apostolską będą przyjmować linię pełnej lojalności wobec kontrowersyjnych wypowiedzi papieża. Jeśli ten tekst zacząłem od zderzenia dwóch różnych spojrzeń na Synod – w wydaniu abp. Gądeckiego i kard. Rysia – to przewagę w takich kontrowersjach może zyskiwać linia metropolity łódzkiego. Arcybiskup Gądecki już za parę lat opuści swój urząd, podobnie jak abp Marek Jędraszewski. A większość mediów kościelnych może raczej unikać akcentowania kontrowersji. Siłą rzeczy przeniesie to debatę na fora mediów pozakościelnych. Ułatwi to ogłaszanie, że krytyka linii bergoliańskiej pochodzi z mediów politycznych, a nie konfesyjnych.

Jeśli wziąć na serio wezwanie do debaty w polskim Kościele nad kwestiami zawartymi w dokumencie końcowym Synodu, to przez kolejny rok powinna rozpocząć się szczerza i wyrazista dyskusja. Pytanie, na ile polski Kościół będzie do niej zdolny i czy kwestie zmian mających rzekomo dostosować Kościół do oblicza obecnego świata będą dyskutowane z uznaniem zasad fair play.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DO RZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO

Już 20 listopada w „Do Rzeczy” dodatek



WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ministerstwo
Sprawiedliwości

eprasa.pl 7468871d78



Urząd Marszałkowski Województwa Śląskiego FOT. ARCH. UMWS TOMASZ ŻAK

Niepodległe samorządy?



Andrzej Krzystyniak

Samorządy w Polsce stają się coraz bardziej niezależne od aparatu państwowego, realizując własne cele nie zawsze zgodne z interesem państwa. Podejmują własną politykę zagraniczną, ignorując przy tym Ministerstwo Spraw Zagranicznych

Współpraca oraz nawiązywanie szerokich relacji polskich regionów, województw, miast, z regionami obcych państw jest zjawiskiem pozytywnym i przynoszącym bardzo często wymierne korzyści w postaci wymiany doświadczeń, wspólnych przedsięwzięć na polu gospodarczym czy też kulturalnym. O ile wspomniana współpraca toczy się w ściśle określonych

ramach, bez prób zastępowania „polityki zagranicznej państwa” czy samodzielności, mogącej sugerować niezależność gospodarczą czy też kulturową od własnego państwa. Zwłaszcza jeśli chodzi o województwa czy regiony zagrożone tendencjami separatystycznymi, a takim z całą pewnością jest województwo śląskie, czy też regiony, w których trudno nie dostrzec działań obcych państw, szczególnie Niemiec, na

niwie kulturowej czy też gospodarczej, nie zawsze korzystnej dla polskiego państwa.

„ŚLĄSKA AMBASADA”

Prowadzenie przez samorząd województwa śląskiego samodzielnej polityki zagranicznej, a do takich prób możemy zaliczyć zapowiedzi marszałka województwa, Jakuba Chelstowskiego, powołania „ambasady śląskiej” na Ukrainie, mającej być swoistym centrum dla śląskich przedsiębiorców, pragnących inwestować na Ukrainie czy współpracę gospodarczą z regionem Zjednoczonych Emiratów Arabskich, a także świętowanie rocznicy powstania Chińskiej Republiki Ludowej w tamtejszej ambasadzie. Udział w uroczystościach z tych okazji mógłby świadczyć o niezależności regionu od państwa polskiego i jego polityki zagranicznej.

Co prawda, statut województwa jasno określa, że „Współpraca Województwa ze społecznościami regionalnymi innych państw prowadzona jest zgodnie z prawem wewnętrznym, polityką zagraniczną państwa i jego międzynarodowymi zobowiązaniami, w granicach zadań i kompetencji

Województwa”, jednak wydaje się, że wszystko to, co czynią samorządy w kontaktach międzynarodowych, odbywa się w ramach własnej samorządności i ukształtowanej przez siebie polityki zagranicznej, bo przecież to władze danego regionu wiedzą lepiej, co jest korzystne dla rozwoju regionalnego aniżeli stolica, leżąca rzekomo „zbyt daleko, by dostrzec problemy regionu”.

Władze województwa śląskiego nie widzą problemu w tym, by brukselski rząd Unii Europejskiej nadawał kierunki rozwoju dla Śląska, np. w sferze transformacji czy też dekarbonizacji, czyli zamknięcia polskich kopaliń. Stolica własnego państwa zdaje się być bardziej odległa mentalnie i kulturowo niż Bruksela?

Śląsk nie jest w takich działaniach (przypominających kształtowanie własnej polityki zagranicznej) odosobniony. Można odnieść jednak wrażenie, że jest jednym z wiodących w tym względzie regionów.

Przypomnijmy, że w grudniu ubiegłego roku, po zmianie opcji politycznej marszałka województwa śląskiego, Jakuba Chelstowskiego, przybyła do Katowic delegacja Komisji Europejskiej, z jej wiceprzewodniczącym Fransem Timmermansem na czele. Mieliśmy wówczas do czynienia – co niewiele dostrzegło – z rażącym przekroczeniem kompetencji w dziedzinie polityki zagranicznej przez śląski samorząd wojewódzki. Próżno jednak oczekiwać jakiegokolwiek reakcji ze strony rządu. Skądinąd nie zostały przewidziane żadne mechanizmy prawne czy zwyczajowe regulujące tego typu kwestię.

DEKLARACJA REGIONÓW

Najciekawsze jednak w „polityce zagranicznej” województwa śląskiego nastąpiło pod

koniec października 2023 r., kiedy to w ramach odbywającej się w Brukseli „Platformy Sprawiedliwej Transformacji” marszałek województwa Jakub Chelstowski podpisał deklarację regionów węglowych dotyczącą stanowiska w zakresie programowania kolejnej perspektywy finansowej UE po 2027 r. Jakby tego było mało, marszałek z radością ogłosił, że województwo śląskie zostało wyznaczone przez Komisję Europejską do nawiązywania kontaktów z brazylijskim stanem Parana. Wygląda na to, że również Bruksela wyznacza kierunki zagranicznych kontaktów województwu.

WŁADZE CENTRALNE PRZYZWALAJĄ?

Trudno nie odnieść wrażenia, że mamy do czynienia z przyzwoleniem na tego typu działania ze strony władz centralnych. Z kolei samorządy, nie widząc żadnych ograniczeń i reakcji ze strony państwa, poczynają sobie w sposób dowolny w kontaktach międzynarodowych. Same określając cele i kierunki działań, nie zawsze zgodne z interesem państwa. Opinia publiczna bardzo rzadko wychwytuje tego typu działania. A i politycy rządowi niezbyt często reagują na działania samorządów, wykraczające poza zakres ich kompetencji.

W 2012 r. w reakcji na podpisanie przez marszałek województwa lubuskiego komunikatu końcowego konferencji Komitetu ds. Komunikacji Międzyregionalnej w Schwerinie, mówiącego m.in. o potrzebie ograniczenia wykorzystania przez Polskę zasobów naturalnych, poseł PiS Elżbieta Rafalska złożyła interpelację do ministra spraw zagranicznych, wyrażając pogląd, że marszałek województwa lubuskiego przekroczyła swoje kom-

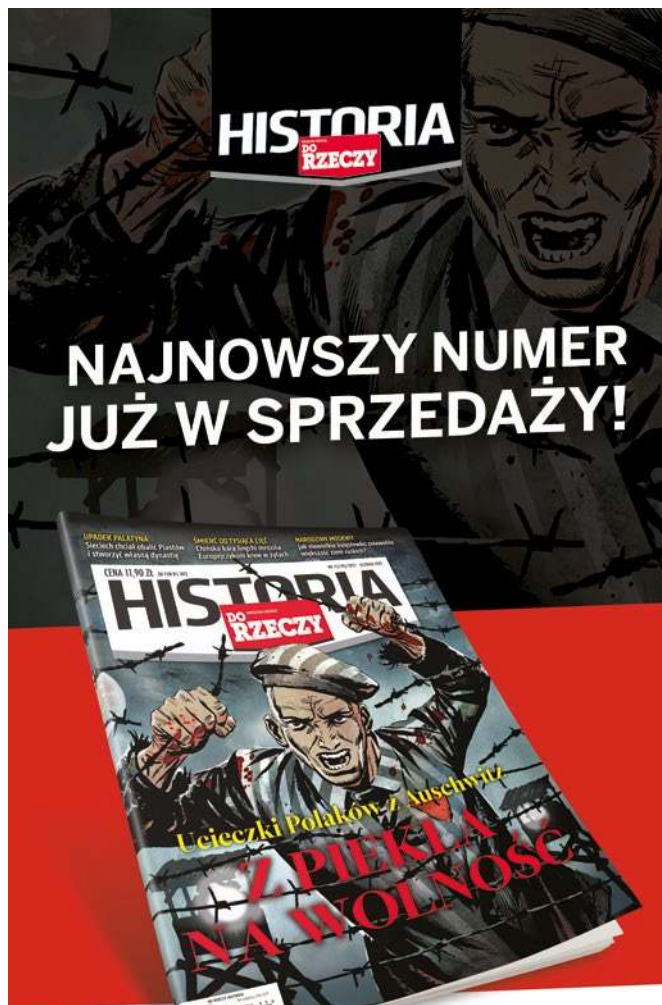
petencje, podpisując wspomniany dokument. Z treści interpelacji wynikało, że pani marszałek „w zakresie współpracy polsko-niemieckiej, jak również w zakresie polityki energetycznej oraz klimatycznej samodzielnie wyraziła pogląd, iż wzrost gospodarczy nie powinien być uzależniony od wykorzystania źródeł naturalnych”. Słuszna była więc konkluzja posłanki wskazująca, „iż niedopuszczalne jest, by w skali kraju w kwestii tak kluczowej, stanowiącej niewątpliwie sferę polityki zagranicznej, decyzje podejmowane były na szczeblu samorządu wojewódzkiego, a nie ministerialnym”.

W odpowiedzi ówczesne Ministerstwo Spraw Zagranicznych stwierdziło, że „sformułowania, które znalazły się w komunikacie końcowym komitetu, przyjęte przez panią marszałek, nie stoją w sprzeczności z polityką zagraniczną i gospodarczą Polski”. Kwestią umowną jest, czy „ograniczenie wykorzystania zasobów naturalnych” jest zgodne z interesem gospodarczym Polski.

Kiedy granice współpracy zostają przez samorząd mocno przekroczone i pojawiają się z tego powodu zarzuty, oburzeni samorządowcy odpowiadają zwykle, że przecież „chodzi tylko o budowanie doświadczeń relacji i współpracy gospodarczej, jakże ważnej dla mieszkańców regionu”. Każde tego typu kontakty nazywane są ogólnikowo „współpracą gospodarczą i kulturalną”. Z reguły dotyczące tego projekty pojawiają się w rejonach nazywanych często przez Niemców „obszarami niemieckiego wschodu”. Do niedawna funkcjonowały również w niemieckim przekazie jako obszary jedynie będące pod „polską administracją”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA



Ośmieszono SS – Jak czterech polskich więźniów uciekło z Auschwitz autem komendanta obozu

Upadek palatyna – Sieciech dążył do obalenia rodu Piastów i stworzenia własnej dynastii

Czarna godzina Habsburgów – Bez wojny z 1866 r. nie doszłoby do zjednoczenia Niemiec

Pionierka seksrewolucji – Zazdrość i wierność były, według Aleksandry Kołontaj, przeżytkami kapitalizmu

Śmierć od tysiąca cięć – Chińska kara lingchi mroziła Europejczykom krew w żyłach

Skąd się wzięła Moskwa – Jak niewielkie księstwko wyzwoliło od Tatarów, a następnie zniewoliło większość ziem ruskich?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



FOT. ADRIEN STOCK

Zostawić dobro



Łukasz Zboralski

Czy Polaków uda się przekonać, że mogą wspierać organizacje pozarządowe także po swojej śmierci?

Testament nie jest w Polsce rzeczą nową. I nowe nie jest przekazywanie w nim części majątku na cele inne niż zabezpieczenie najbliższych. Z tym mamy do czynienia od

wieków. A dokładniej – od XII w., gdy za sprawą Kościoła katolickiego na naszych ziemiach zaczęły się zmieniać obyczajowość i prawo. Wcześniej Słowianie po prostu zostawiali krewnym bądź gromadzie to, czego nie wkładano z nimi do grobów. Potem naturalnie dziedziczyli synowie, następnie takie prawo wywalczone dla córek, a w końcu i pierwszeństwo w dziedziczeniu dla wdów.

Po przyjęciu chrześcijaństwa sprawa zaczęła się zmieniać. Duchowni promowali instytucję prawną testamentu. Ta uwalniała bowiem pole do dysponowania majątkiem także po śmierci. A wielu chciało zostać zapamiętanymi na wieki

– oraz zabezpieczyć swoje zbawienie – i przeznaczało część doczesnych zdobyczy na rzecz Kościoła. Choć nie od razu zostało to dobrze przyjęte. Szlachta do tego stopnia sprzeciwiała się pomysłowi, że na początku XVI w. wprowadzono zakaz przekazywania dóbr ziemskich na rzecz Kościoła. Jednak od XVII w. swoją ostatnią wolę spisywali już i szlachcice, i mieszcianie, a nawet ubodzy chłopci.

OPÓR PRZED SPISANIEM WOLI

Od tego czasu, przez wieki, majątek zmarłego nie tylko przechodził na krewnych, lecz także przeznaczany był na inne cele, które fundator zaplanował

jeszcze za życia – nie tylko kościoły, lecz także przytułki, szpitale czy uniwersytety. Jednak do dziś nie jest to nad Wisłą szczególnie popularne. A czasem bywa i bardzo trudne – taka okazała się sprawa zapisu, który przed śmiercią wykonała aktorka Nina Andrycz. Zaprażyła ona przekazać swój majątek po śmierci fundacji WOŚP. Jednak banki nie kwapiły się do tych wypłat. I dopiero po medialnej presji, po kilku latach od śmierci aktorki, na rzecz organizacji przekazano w sumie ponad 200 tys. zł.

Dlaczego przekazywanie części majątku na cele NGO nie jest popularne? Pierwszy powód jest taki, że w ogóle sporządzanie testamentów nie jest jeszcze u nas powszechne.

– Jest jakiś trend popularyzacji i Polacy częściej niż kiedyś spisują testamenty, co pewnie wynika z tego, że społeczeństwo się bogaci i jest czym dysponować, jednak z reguły w swojej praktyce mam do czynienia z sytuacją, w której testamentu nie ma – mówi „Do Rzeczy” adwokat Tomasz Krzywański, specjalizujący się w prawie spadkowym. Zauważa, że brak spisania swojej woli powoduje komplikacje dla rodziny. – Często ludziom się wydaje, że testament powinno się sporządzić, będąc w dojrzałym wieku albo w sytuacji, gdy mamy ogromny majątek. Proszę sobie jednak wyobrazić najprostszą sytuację – rodziny 30–40-latków z małymi dziećmi. Nagle jeden z małżonków umiera, nie pozostawiając majątku. Mamy wtedy małoletnie dzieci jako spadkobierców ustawowych i zarządzanie takim majątkiem jest trudne. Bo nad spadkiem małoletniego zarząd ma nad opiekunów, te sądy są przeciążone, wszystko zajmuje dużo czasu i jest to droga przez mękę.

Na podobne problemy wskazują przedstawiciele organizacji pożytku publicznego, których uwzględnienie w zapisach testamentowych może im znacznie pomóc w działalności. – Mamy pewien społeczny opór – uważa Zuzanna Janaszek-Maciaszek z Fundacji im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ. – Może wynika on trochę z nazywania testamentów „ostatnią wolą”, więc jak ktoś o tym myśli, to tak, jakby się żegnał ze światem. Trzeba więc przekonywać, że jeśli się po prostu coś posiada, to można tym dysponować także po swojej śmierci. Staramy się mówić, że można tak

zaplanować swoją spadkową historię, by pamięć o nas czy ważne dla nas za życia rzeczy trwały. Testament to wspaniałe narzędzie do zarządzania majątkiem i stworzenia dzięki temu czegoś, co zostanie po nas na bardzo, bardzo długo.

UŚWIADAMIAĆ MOŻLIWOŚĆ

Fundacja im. Doktora Piotra Janaszka PODAJ DALEJ jest jedną z wielu organizacji, które starają się przekonywać, że warto uwzględnić w testamentach pomoc dla NGO. W kampanię „Napisz Testament”, prowadzoną przez Fundację Otwarte Forum, zaangażowani są m.in.: Fundacja Ronalda McDonalda, Fundacja Dorastaj z Nami, Fundacja Lekarze bez Granic czy WWF Polska.

– Na zachodzie Europy to, że piszemy testament i że część tego, co posiadamy, przekazujemy na uczelnię, szpital czy dom dziecka, to jest coś bardzo popularnego. W Wielkiej Brytanii, Holandii czy we Francji nawet 60 proc. środków, które posiadają organizacje pozarządowe, pochodzi właśnie z zapisów testamentowych

W zachodniej Europie nawet 60 proc. środków organizacji pozarządowych pochodzi z zapisów testamentowych

wych – mówi Ewelina Szeratics, menedżer kampanii „Napisz Testament”. – Gdy zaczęliśmy promować tę ideę w Polsce, a robimy to od 2016 r., okazało się, że znane fundacje w lokalnych społecznościach takie zapisy otrzymują.

Fundacja informuje i edukuje w Polsce, że istnieje taka możliwość – że można uwzględnić organizacje pozarządowe w swoich testamentach. W ramach tych działań prowadzi także co roku dwie kampanie: jesienią „Międzynarodowy tydzień pisania testamentów”, a wiosną akcję „Zapisz dobro”. Wówczas przez tydzień prawnicy Fundacji dyżurują pod telefonami i doradzają zainteresowanym, odbywają się też w całym kraju webinaria i wykłady.

– Chodzi o to, by uzmysłwić, że jeśli kierujemy się w życiu jakimiś wartościami i coś jest nam szczególnie bliskie,

np. z jakiegoś powodu są ważne dla nas zwalczanie przemocy w rodzinach czy opieka nad bezdomnymi dziećmi, to jednym ze sposobów, by pomagać w takich działaniach nawet po naszej śmierci, jest zapis testamentowy – tłumaczy Szeratics. Jak się do tego zabrać? – Należy skontaktować się z organizacją, omówić to, że chce się ją uwzględnić w testamentcie. Wy tłumaczyć, na jakie konkretne jej działania chce się przeznaczyć pieniądze. I jeśli organizacja deklaruje, że tak postąpi z naszymi środkami, to trzeba się udać do notariusza i sporządzić testament, zawierając w nim odpowiednie zapisy.

– Warto mówić, że to nie oznacza, iż ktoś ma wszystkich wydziedziczyć i oddać całość fundacji, absolutnie nie! – zaznacza Zuzanna Janaszek-Maciaszek. – Taki zapis w testamentcie to przecież może być zarówno 500 zł przeznaczona na schronisko dla bezdomnych kotów, jak i kamienica na mieszkania dla osób niepełnosprawnych.

Kto dziś decyduje się na takie sporządzenie testamentu? – Mamy dwie najczęstsze sytuacje. Są to ludzie, którzy już za życia byli darczyńcami i chcą, by to wsparcie trwało także po ich śmierci. Druga postawa to często tacy ludzie, którzy w życiowej pogoni nie mieli czasu, by zasiąść i zastanowić się, co wspierać, albo nie mieli jeszcze środków. Tymczasem w testamentcie po śmierci mogą już rozdyktować pewne środki częściowo pomiędzy rodzinę, a częściowo pomiędzy organizacje charytatywne – opowiada adwokat Tomasz Krzywański. – Najczęściej mam do czynienia z osobami, które np. były bezdzietne i w związku z tym przekazują swój majątek na rzecz fundacji. Choć są i tacy zamożni klienci, którzy w pewnym momencie odczuwają potrzebę zrobienia czegoś więcej niż tylko zarabiania pieniędzy. Wówczas sami zakładają fundacje i przepisują im dużą część majątku.

– Do momentu, gdy zapisy testamentowe będą dla organizacji pozarządowych źródłem finansowania, jest jeszcze długa droga. Mamy jednak nadzieję, że to nastąpi – mówi Zuzanna Janaszek-Maciaszek. – Do tej pory jako fundacja mamy jeden taki zapis – o którym wiemy – z którego jeszcze nie korzystamy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Więcej o kampanii „Napisz Testament” na stronie: napisztestament.org.pl

„Sly” to film dokumentalny przybliżający postać Sylwestra Stallone’a
FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wstań i walcz



Piotr Gociek

Nie Rambo i nie Rocky. „Sly” to nadspodziewanie szczery portret aktora, scenarzysty i hollywoodzkiej legendy Sylwestra Stallone’a

Pojedynek gigantów: kilka miesięcy temu oglądaliśmy w Netflixie miniserial dokumentalny „Arnold”, którego bohaterem był Schwarzenegger. Teraz w tym samym serwisie pojawił się „Sly”, film dokumentalny przybliżający postać Sylwestra Stallone’a. W latach 80. panowie rywalizujący o miano światowej gwiazdy kina akcji numer jeden nie szczędzili sobie złośliwości. Teraz obaj pozwolili sobie na gościnne występy w biografii dawnego rywala. Ale topór wojenny zakopany został dużo wcześniej, bo już pod koniec lat 90. Potem razem wystąpili w trzech filmach („Plan ucieczki” oraz „Niezniszczalni 2” i „Niezniszczalni 3”).

Warto obejrzeć jeden i drugi dokument w ramach jednego długiego seansu, bo widać wtedy wyraźnie, jak wiele różni obu aktorów w podejściu do kina i do życia. Opowieść Schwarzeneggera to wzór dla każdej książki trenera motywacyjnego: młody chłopak zafascynowany światem kulturystów postanawia zostać najlepszym z nich i z żelazną konsekwencją realizuje ten cel; później równie wytrwale dąży ku temu, by stać się wielką gwiazdą kina. Nie aktorem, lecz właśnie gwiazdą.

Ale dziś bohaterem niech będzie Stallone. Dla Schwarzeneggera droga na szczyt była pasmem sukcesów. Sly swoją prezentuje jako pasmo porażek – i jest to podejście o wiele ciekawsze. Opowieść Arnolda to historia spełnienia, amerykańskiego snu, opowieść Stallone’a to historia żłudnej pogoni za celem. „Wydaje ci się, że kiedy będziesz na szczycie, to wygrasz i wszystko jest możliwe” – mówi Sly. „To nieprawda. Na szczycie powietrze jest rzadsze i trudno oddychać”. Stallone wie, co mówi. Kilka razy w życiu musiał wynaleźć się na nowo i nieustannie udowodniać, że nie jest fuksiarszem, któremu trafił się jeden czy drugi dobry pomysł, że potrafi wyjść poza swoje emploty bohatera kina

akcji, że nie jest tępym mięśniakiem itd. Znamy ten mechanizm. Hollywood uwielbia sukcesy, a jednocześnie wszyscy czyhają na każde potknięcie nuworysza; fabryka snów kocha bowiem kreowanie nowych bohaterów, ale jeszcze bardziej kocha rozrywanie ich na strzępy.

KOLEJNY NOWY POCZĄTEK

Sylvester Stallone rozerwać się nie dał, a ramą opowieści w dokumencie zatytułowanym po prostu „Sly” jest przeprowadzka. Liczący lat 76 aktor opuszcza wielką rezydencję, w której przez dekady wychowywał dzieci, pracował, zbierał obrazy. Bez rodziny to tylko wielka pusta przestrzeń, jak wyznaje. Czas zatem na kolejny nowy początek. Film wyreżyserował Thom Zimny, autor filmów dokumentalnych, których bohaterami byli m.in. Bruce Springsteen, Elvis Presley czy Willie Nelson.

Nowy początek – który to już raz? Marzący o karierze aktorskiej Stallone odbił się szybko od świata teatru i filmu. Albo nikt go nie chciał, albo angażował do podrzędnych ról – zwykle opryszków. Przez kilka lat jego największym osiągnięciem były występy, które dziś

w jego długiej, liczącej niemal 80 tytułów filmografii, figurują z opisem „nieuwzględniony w napisach”. Gdy wystąpił w filmie „Rocky”, przełomowym w jego karierze, miał lat 30, a za sobą osiem lat wypełnionych niezliczonymi odmowami.

Ale Sylvester Stallone nie tylko wystąpił w „Rockym”. On także ten film wymyślił i napisał, wychodząc z założenia, że jeśli ma kiedykolwiek zagrać główną rolę, to sam musi ją dla siebie stworzyć. Zapominamy, że późniejszy gwiazdor to w dużym stopniu samouk. Studiował co prawda dwa lata na kierunku dramatycznym w Miami, lecz pisanie scenariuszy uczył się inaczej. Opowiada w filmie, jak we wczesnych latach 70. każdą wolną chwilę spędzał w kinie. Nie było go stać na bilety, więc opanował do perfekcji sztukę wkręcania się do sal kinowych na lewo. Po pewnym czasie zaczął zabierać ze sobą mały magnetofon kasetowy i nagrywał dźwięk. Potem w domu przepisywał zdania do zeszytów i uczył się w ten sposób budowania filmowych dialogów, analizował zwroty akcji. Czyż nie tak samo nauczył się języka kina Quentin Tarantino, spędzając niekończące się godziny na oglądaniu kaset wideo w wypożyczalni, w której pracował?

Tarantino występuje zresztą w filmie „Sly” i nie kryje swojej fascynacji Stallone’em. A dostrzegł go, jeszcze zanim w kinach pojawił się „Rocky”, mianowicie oglądając aktora w filmie „Chłopaki z Flatbush” (1974). Nie tylko dostrzegł charyzmę, lecz także zwrócił uwagę na kwestie, które wypowiadał Stallone jako Stanley Rosiello. Sporo z nich Sly dopisał sam – na tyle dużo, że trafił na listę płac jako autor części dialogów. Pisanie miało być kluczem do show-biznesu, Stallone napisał kilkanaście scenariuszy (do niektórych wrócił zresztą po latach – już jako gwiazda). Ale dopiero „Rocky” zainteresował reżyserów i producentów. Tekst, nie osoba autora, zaoferowano mu bowiem 250 tys. dol. tylko za to, by nie nalegał na obsadzenie go w głównej roli. Stallone odrzucił propozycję. Jak mówił w jednym z telewizyjnych wywiadów, nawet gdyby proponowali mu pół miliona, odpowiedź byłaby taka sama.

MAŁEGO STALLONE’A MARZENIA O KINIE

Po gigantycznym sukcesie filmu „Rocky” Stallone musiał sprostać niemożliwym oczekiwaniom (miał być, zdaniem nie-

których, „następnym Marlonem Brando”) i kolejne trzy lata okazały się gorzkie. Do sukcesu filmu „Rocky II”. I tak to się przeplatało przez kolejne lata: po rozmaitych przedsięwzięciach, które okazywały się fiaskiem, Stallone wracał do korzeni, czyli wymyślonego przez siebie boksera, a potem dołożył do tego kolejną ikoniczną postać, czyli Rambo. Gdy w latach 80. panowała moda na bohaterów akcji w stylu Schwarzeneggera, nabił odpowiednią masę mięśniową. Ale między liczeniem kolejnych sutych honorariów dalej wybierał źle – samokrytycznie przyznaje, że pomysł przekwalifikowania się na aktora komediowego był katastrofą. Stallone wynalazł się na nowo jako heros u kresu, zarówno w seriach „Rambo”, jak i „Rocky”. Do tej ostatniej dopisał nowe rozdziały pod cyklem „Creed”. Gdy świat ogarnęła moda na lata 80., odpowiedział serią filmów „Niezniszczalni”, „Nie znam drugiego gwiazdora – mówi w dokumencie Arnold Schwarzenegger – który sam wymyśliłby trzy tak kasowe serie”.

Ale co sprawiło, że mały Stallone w ogóle zaczął marzyć o kinie? Tu dokument Thoma Zimnego robi się zwyczajnie smutny. O rodzicach Stallone’a opowiadała zarówno on sam, jak i jego brat Frank. Zwykli Amerykanie o imigranckich korzeniach: ojciec szybki w ręce, matka ostra w języku – długo ze sobą nie wytrzymali. Dzieci szukały u nich akceptacji, wsparcia, zrozumienia – na próżno. „Wychowywałem się w szkołach z internatem – wspomina Stallone – przez dwanaście miesięcy w roku”. Gdy odkrył, że jego wygłupy przynoszą mu wśród rówieśników zainteresowanie i uznanie, dalsza droga była prosta. Tak, szczerze mówi aktor, potrzeba

potwierdzenia własnej wartości poprzez kogoś z zewnątrz była kluczowa, dlatego zaczął marzyć o aktorstwie. Fabryka snów zna wiele historii takich wyrzutków, którzy sobą byli dopiero na ekranie. Najczęściej szło to w parze z głęboko nieszczęśliwym życiem w realu, nałogami, samobójstwami. Stallone miał szczęście, bo na licznych zakrętach kariery nigdy nie wyleciał z toru.

Zabawne są chwile, gdy aktor komentuje swoje własne wywiady sprzed lat – dziś potrafi w sposób o wiele prostszy powiedzieć rzeczy, które ubierał kiedyś w niepotrzebne słowa. „Love story!” – krzyczy, pouczając siebie z lat 70., zarejestrowanego na kasie magnetofonowej „Powiedz po prostu, że »Rocky« to love story!”. „Nie cierpię smutnych zakończeń” – opowiada o kręceniu pierwszego „Rambo” i tłumaczy, dlaczego musiał zmienić wymowę powieści Davida Morrella: w owym czasie dziesiątki tysięcy weteranów z Wietnamu popełniały samobójstwa. „Miałem im powiedzieć, że są świrami, dla których nie ma żadnych szans?”.

Do autoryzowanych biografii zawsze podchodzić trzeba z podejrzliwością, Stallone wydaje się jednak szczery w swoich wyznaniach. A także bardzo empatyczny. W postać Rocky’ego Balboa włożył bardzo wiele z siebie: outsidera, który przekonany jest, że wbrew opinii wszystkich coś tam jest wart i chce to udowodnić sobie oraz tym, których kocha. I gdy podsumowuje swoją trwającą jeszcze, długą karierę, widać wyraźnie, że jego motto to zdanie wypowiedziane niegdyś do syna przez kinowego Rocky’ego u kresu kariery: „Nieważne, ile razy upadasz, ważne, ile razy się podnosisz”.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Na zdjęciu Marian Hemar
FOT. NAC



Z prof. Grzegorzem Łukomskim,
autorem kilkudziesięciu książek
rozmawia Tomasz Zbigniew Zapert

Komunizm cięty piórem

TOMASZ ZBIGNIEW ZAPERT: Dowodzi pan, że za emigracji Marian Hemar toczył żywot zdecydowanie bardziej polemiczny niż wcześniej.

PROF. GRZEGORZ ŁUKOMSKI: Zdeklarowanym antykomunistą stał się już w czasie wojny polsko-bolszewickiej, w której czynnie uczestniczył. Swoją antysowiecką i antybolszewicką światopogląd ugruntował wraz z doświadczeniami drugiej wojny światowej, a zwłaszcza jej rezultatami, tak przecież niekorzystnymi dla Polski i Polaków. Pokolenie ówczesnych emigrantów politycznych w sposób bardzo bolesny doświadczyło owych zmian. Polacy pochodzący z Kresów Wschodnich, tacy jak Hemar, zostali w sposób szczególny doświadczeni, utracili bowiem także możliwość powrotu do „małych ojczyzn”. Podkreślić jednak należy, że widział problem szeroko, przez pryzmat losów całego narodu, nie tylko własnego, osobistego dramatu.

Wolty ideologiczne Juliana Tuwima i Antoniego Słonimskiego, bliskich mu w międzywojniu, potraktował piórem nader jadowicie...

W okresie II Rzeczypospolitej Hemar przez kilkanaście lat mieszkał i tworzył w Warszawie. Bardzo żył się i zintegrował ze środowiskiem literackim stolicy. Tuwim i Słonimski byli jego najbliższymi przyjaciółmi. Wspólnie wnieśli olbrzymi wkład do intelektualnej skarbnicy polskiej kultury. Dlatego bardzo boleśnie przeżył ich powrót do komunistyczno-sowieckiej Polski. Traktował to jako osobisty zawód, ba, dotkliwą porażkę życiową – zdawał sobie sprawę, jaką stratę poniosła polska kultura. Zarówno Słonimski, jak i Tuwim zmarnowali swoje talenty. W przestrzeni wszechwładnej cenzury i w oparach absurdałnej, lewicowej ideologii, nie stworzyli już nic godnego siebie.

„Polityczne harakiri” – tak określił powrót do Polski Ludowej Stanisława Cata-Mackiewicza...

Bo jego wyjazd do kraju, uczyniony oficjalnie, niejako „w świetle refleksji”, stanowił mocny cios w polityczną spójność polskiej emigracji (w latach 1954–1955 był przecież premierem rządu Rzeczypospolitej). Zaprzysiężony z nim Hemar odebrał to niczym zdradę podwójną. Całego dorobku intelektualnego autora „Myśli w obcęgach”, lecz nade wszystko zdradę polityczną – przejście

na stronę śmiertelnego wroga. Hemara bardzo zabolęła współpraca „Cata” ze służbami specjalnymi PRL.

Znacznie bliżej było mu do autora „Kontry”.

Zdecydowanie tak. Twórczość młodszego brata Stanisława, Józefa, budziła zachwyt Hemara. Nie tylko z powodów literackich, a był przecież wytrawnym krytykiem, bardzo

Hemar i Mackiewicz uważali ideologię neomarksistowską za największe zagrożenie dla kultury zachodniej

wyczulonym na wszelką twórczość odbiegającą od najwyższych standardów. Przekonało się o tym wielu, skądinąd utalentowanych, prozaików, poetów i twórców teatralnych. Hemara łączyła z Józefem Mackiewiczem więź światopoglądowa. Można powiedzieć, że nadawali na tych samych falach. Byli zdecydowanymi antykomunistami i przeciwnikami państwa sowieckiego. Słusznie uważali ideologię marksistowską i neomarksistowską za największe zagrożenie dla kultury zachodniej. I – jak widać – mieli rację.

Co spowodowało zatarg Hemara z Janem Nowakiem-Jeziorańskim?

Upraszczając – przemiany zachodzące w świecie zachodnim. Praźródło stanowiła wielka polityka. Pod wpływem kryzysu kubańskiego (październik 1962 r.) i wojny w Wietnamie (zaangażowanie militarne Stanów Zjednoczonych rozpoczęło się od lipca 1964 r.) zmianie uległa polityka amerykańska wobec Związku Sowieckiego. Zimna wojna zmieniła swoje oblicze. Otwartą walkę z sowieckim molochem zastąpiono bardziej subtelными metodami, które miały osłabić blok komunistyczny od wewnątrz. W związku z tym pojawił się nowy styl propagandy amerykańskiej. Stanowczy antykomunizm zastąpiono przekazem mającym

wpłynąć na społeczeństwa znajdujące się w orbicie wpływów sowieckich i w ten sposób osłabić system. Rozgłośnia Polska Radia Wolna Europa, której dyrektorem był Nowak-Jeziorański, niezwykle uległy wobec mentorów i zwierzchników zza oceanu, zgodnie z nowymi dyrektywami zmieniła ton przekazu. Zaczęła dominować daleko posunięta poprawność polityczna. Zdecydowanie antysowiecka i antykomunistyczna audycja Hemara nie pasowała do tego wizerunku. Szef sekcji polskiej RWE postąpił mało elegancko. Wykorzystał chorobę i malejące możliwości twórcze Hemara, by zerwać z nim współpracę.

Korespondent „Kultury” w Londynie, Juliusz Mieroszewski, podpadł Hemarowi z uwagi na stosunek do Łwowa i – szerzej – relacji polsko-ukraińskich?

Wiązało się to z koncepcjami politycznymi lansowanymi przez ośrodek paryskiej „Kultury”. Szukano tam jakiegoś modus vivendi ze światem komunistycznym, a nawet dopatrywano się dobrych stron życia w PRL (sic!). W roku 1974 Mieroszewski sformułował na łamach „Kultury” koncepcję (której współautorem był także Jerzy Giedroyc), że suwerenność Ukrainy, Litwy i Białorusi jest czynnikiem sprzyjającym niepodległości Rzeczypospolitej, natomiast zdominowanie tych krajów przez Sowiety otwiera drogę do zniewolenia Polski. To pogląd zresztą nienowowy, podobnie uważał Józef Piłsudski, realizujący politykę wschodnią własnymi metodami. Wśród historyków do dzisiaj trwają spory wokół tego projektu.

Z Melchiorzem Wańkowiczem poróżniła go odbudowa Zamku Królewskiego w Warszawie?

Zacznijmy od faktu, że Hemar, perfekcjonista, z dużym dystansem odnosił się do jakości pisarstwa Melchiora Wańkowicza. Ponadto kolaborujący z komunistami autor „Na tropach Smętka” tym bardziej był dla Hemara nie do zaakceptowania. „Król reporterów” gorliwie wspierał ideę odbudowy Zamku Królewskiego i zarzucał Hemarowi, iż ją, jak się wyraził, „opaskudza”. Tymczasem



GRZEGORZ ŁUKOMSKI
„POETA
POLSKOŚCI”
WYDAWNICTWO
LTW

■ poeta przeciwny był jedynie sposobowi gromadzenia środków na realizację tego projektu. Przypomnijmy, że był to plan ekipy Edwarda Gierka. Hemar widział problem z właściwej, historycznej, perspektywy. Zdumiewała go nagła troska władz komunistycznych o los zabytków i związanych z nimi postaci historycznych. Dotąd takie tradycje w PRL niszczone jako „relikty czasów minionych, burżuazyjnych” czy też symbol okresu „feudalnego” związanego z uciskiem ludności. Naszych przodków, przez pokolenia budujących materialne świadectwa polskości i siłę państwa, nie tylko potępiano, lecz także wywłaszczano, więziono i mordowano, usiłując wymazać ich ze zbiorowej pamięci historycznej. Ich dzieła – liczne dwory szlacheckie, pałace magnackie, kamienice przemysłowców – stopniowo zamieniało się w ruiny.

Perfidia działania komunistów polegała także na tym, że rekonstrukcję Zamku Królewskiego w Warszawie zamierzano realizować ze zbiórki publicznej. Kwestię usiłowano przeprowadzić również pośród emigracji. Niestety, nie wszyscy rozumieli, że sprawa posiadała podłoże polityczne i propagandowe. Idea odbudowy obiektu miała „integrować” społeczeństwo i przywrócić jakże dotąd wątpliwe zaufanie do rządów komunistycznych, dodatkowo jeszcze mocno zdeprecjonowane po krwawym stłumieniu protestu robotników na Wybrzeżu w grudniu 1970 r. Samozwańcza władza coraz bardziej obawiała się narodu. Natomiast pozyskanie emigracji dawało dodatkowy wymiar propagandowy, chodziło o to, by uwiarygodnić i wzmacnić Gierka i jego „odnowicielskie” otoczenie. Sprawa ma jeszcze jeden bardzo istotny kontekst. Przez pierwsze ćwierćwiecze Polski Ludowej trwała nagonka na Polaków żyjących na obczyźnie. Obrażano ich i poniżano, określając rozmaitymi epitetami, a teraz zwracano się do diaspory o pieniądze. W rezultacie aktywności Hemara nasza emigracja nie przyłączyła się do zbiórki funduszy. Podkreślmy jednak, że Hemar nie był przeciwnikiem odbudowy Zamku, o co był publicznie pomawiany.

Październik 1956 r. czy marzec 12 lat później zmieniły coś w postrzeganiu przez Hemara PRL?

Oba wydarzenia utwierdziły pisarza co do słuszności wyrażanych poglądów.

Hemar był twórcą wyrastającym ponad niemałe standardy intelektualne środowiska, w którym żył i pracował

„Wydarzenia marcowe”, jak je określała komunistyczna propaganda, de facto dokańczały walki wewnątrzpartyjne z roku 1956. Wpływ na nie miała sytuacja międzynarodowa, przede wszystkim konflikt arabsko-izraelski na Bliskim Wschodzie i stosunek do niego „towarzyszy” sowieckich. Hemar doskonale rozumiał, że propagandowy antysemityzm, który zaistniał wówczas w polskiej przestrzeni politycznej, wynikał z bezwzględnej walki o władzę wśród rządzących Polską komunistów.

Tej sytuacji poświęcił Hemar jakże wymowny w swym poetyckim przesłaniu utwór zatytułowany „Dziady”, inspirowany oczywiście arcydziełem Adama Mickiewicza. Nie była to tylko satyra, lecz nade wszystko poważna refleksja o Polsce i polskości.

Wraz z przyjaciółmi z II RP – Kazimierzem Wierzyńskim, Janem Lechoniem i Mieczysławem Grydzewskim – pozostał w gronie antykomunistów najbardziej niezłomnych?

Wielu wraz z upływem lat zmieniało swój stosunek do komunizmu i komunistycznej Polski. Często decydowały względy pragmatyczne, związane z kontaktami rodzinnymi. PRL-owska propaganda i działalność służb specjalnych, rekrutujących w środowisku emigracyjnym agentów wpływu etc., też miała wpływ na erozję postaw światopoglądowych. Ulegano ponadto, zwłaszcza w latach 70. XX w., narracji opiniotwórczych mediów zachodnich, propagujących model koegzystencji z Sowietami. Upowszechniał się neomarksizm, nowa forma komunizmu, podstępna, a tym samym bodaj jeszcze bardziej niebezpieczna.

Hemar pozostawał w wieloletniej przyjaźni z Wierzyńskim i Lechoniem, a z Grydzewskim owocnie współpracował na łamach londyńskich „Wiadomości”. I bardzo to sobie cenił.

Radykalny antykomunizm sprawiał, że na uchodźstwie zbliżył się do osób niegdyś mu politycznie odległych. Choćby Karola Żbyszewskiego, Ferdynanda Goetla czy Sergiusza Piaseckiego.

Owszem. Na emigracji połączyły ich więź duchowa i wzajemny szacunek. Choćby niekiedy stawali w szranki na łamach prasy londyńskiej. Hemar bardzo cenił np. twórczość Sergiusza Piaseckiego i niejednokrotnie dawał temu wyraz. Natomiast kaskadnie czasami teksty na temat swoich przyjaciół, dajmy na to – recenzje ich dzieł, wynikały przede wszystkim z jego charakteru polemisty i profesjonalizmu. Wytykał pomyłki po to, by ich więcej nie popełniali. Do swojej twórczości także odnosił się z dystansem i wcale nie uważał się za nieomylnego.

Środowisko londyńskie nie w pełni umiało docenić za życia wielkość Hemara. Był to twórca wyrastający ponad niemałe standardy intelektualne środowiska, w którym żył i pracował. Wykazywał inspirujący wpływ na kształtowanie nie tylko sposobu myślenia polskiej emigracji, lecz także na utrwalanie najlepszych wzorców kultury politycznej. Jego publicystyka miała wymiar profetyczny, a w związku z tym nie zawsze i nie przez wszystkich została właściwie odczytywana. Wydaje się, że także dzisiaj zdarzają się kłopoty z recepcją twórczości Hemara, ze zrozumieniem głębi jego przekazu. Był nie tylko doskonałym poetą, lecz także, w jeszcze większym stopniu, bardem wolności i polskości.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Grzegorz Łukomski – profesor historii (Uniwersytet im. Adama Mickiewicza w Poznaniu), autor kilkudziesięciu książek (m.in. „Józef Mackiewicz (1902–1985). Intelektualista u źródeł antykomunizmu ideowego”, „Sergiusz Piasecki (1901–1964). Przestrzenie wolności antykomunisty ideowego. Studium historyczne” i najnowszej „Poeta polskości, bard antykomunizmu. Marian Hemar (1901–1972)”, licznych artykułów naukowych, recenzji, biogramów, a także promotor i recenzent prac doktorskich, przewodów habilitacyjnych, opinii profesorskich i eksperckich.



DZIENNIKARSKI POKER

od **poniedziałku**
do **czwartku**
18:25

Jeden z najważniejszych wieczornych programów publicystycznych Telewizji Republika. **Łukasz Jankowski, Adrian Stankowski, Piotr Lisiewicz i Tomasz Sakiewicz** wraz z zaproszonymi do studia politykami, ekspertami i historykami omawiają najważniejsze wydarzenia i najbardziej istotne dla Polski i Polaków tematy.



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

eprasa.pl 7468871d78



PIOTR GOCIEK

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Izrael w ogniu

CINEMAN

player

polsat box go



★★★★★
REŻ. GUY NATTIV
„GOLDA”
USA/WIELKA
BRYTANIA 2023

wyst. Helen Mirren,
 Camille Cottin, Liev
 Schreiber

Wojna Jom Kippur okiem ówczesnej premier Izraela Goldy Meir. Film skromny, chwilami bardziej w klimatach teatru telewizyjnego, mnóstwo rozmów toczonych nad mapami i przez telefon. Kto szuka batalistki, niech sięgnie po wystawny serial „Dolina łez” w HBO Max. Reżyser Guy Nattiv bardziej zainteresowany jest tym, co działo się w gabinetach, nie na polu bitwy. No i oczywiście przede wszystkim osobowością Goldy Meir, którą gra – niespodzianka – Helen Mirren, ukryta pod charakterystyczną równie głęboko, jak Gary Oldman zamieniony kiedyś w Churchilla.

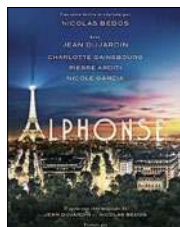
Opowieść dla niektórych kontrowersyjna: podważa legendę Mosze Dajana, ukazując go jako ministra niekompetentnego i przechodzącego nerwowe załamanie.

Z kolei ci, którzy wspierają Palestyńczyków, w sporze z Izraelem uznają go za izraelską propagandę. Są tu rzeczy oczywiste: odpowiedzialność przywódcy za decyzje kosztujące życie tysięcy żołnierzy, spory na szczytach władzy, upór samej Goldy Meir. Wciąż aktualnie brzmią słowa o Rosjanach jako o utraپieniu całego świata oraz o „nieświętym przymierzu” Arabów i Rosjan. No i podkreślona zostaje kwestia, z której Amerykanie nie wyciągnęli wniosku, interwenując później w Iraku: wygranie wojny to dopiero początek, trzeba jeszcze wiedzieć, jak wygrać pokój.

Golda Meir w interpretacji Helen Mirren pozostaje enigmą, najciekawsze są sceny, w których rozmawia z amerykańskim sekretarzem stanu Henrym Kissingerem (w tej roli całkiem udanie wypada Liev Schreiber),

zwłaszcza wizyta Kissingera w domu Meir. W wielu miejscach reżyser ratuje się fotografiami i zdjęciami archiwalnymi, ale to nie przeszkadza w oglądaniu. Pozostaje jednak uczucie niedosytu: może powinien to być miniseria z bardziej pogłębionymi portretami psychologicznymi głównych graczy. (Szczególnie ciekawe wydają się osoby z kręgu izraelskiego wywiadu).

Film pokazywany najpierw na festiwalu w Berlinie, wszedł do amerykańskich kin w sierpniu i potraktowany został raczej jako ciekawostka biograficzno-historyczna. Do streamingu trafia w chwili, gdy trwa kolejna wojna Hamasu przeciw Izraelowi, a politycy i generałowie w Tel Awiwie spierają się o to, kto zawinił – bo Izrael znów dał się zaskoczyć. ©©



NOWE SERIALE: „ALPHONSE”

Przeżywający kryzys wieku średniego safandula (Jean Dujardin) odkrywa, że jego ojciec zarabiał na życie jako kochanek do wynajęcia. Aby ratować rodzinne finanse, sam zostaje żigolakiem. Smutna komedia pełna mizantropii: ani kobiety, ani mężczyźni nie wypadają tu zbyt sympatycznie.

Obsada świetna: oprócz Dujardina m.in. Pierre Arditi i Charlotte Gainsbourg. Miała być wielka premiera Amazona, ale serial trafił do streamingu bez reklamy, w cieniu oskarżeń reżysera Nicolasa Bedosa o gwałt i molestowanie. ©© **Piotr Gociek**
• sezon 1 „Alphonse”; Francja 2023

prime video

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 6, cz. 1 „The Crown”; Wielka Brytania/USA 2023
- sezon 2 „Julia”; USA 2023
- sezon 1 „Monarch: Legacy of Monsters”; USA 2023



Cień zombiaka

KINO

Zdarzają się produkcje, które są zajmujące tylko przez pierwsze pół godziny, a później staczają się w bezdenną przepaść. Tutaj odwrotnie: przez 35 minut miałem wrażenie, że przez pomyłkę oglądam film klasy C, sprokuirowany przez amatora (który przypadkiem nazywa się tak samo jak laureat Oscara z 2012 r.) w obsadzie złożonej z naturšczyków, skuszonych perspektywą darmowej wyžerki. Szczęśliwie potem następuje restart. Hazanavicius nie od dziś uprawia kino autotematyczne, lecz tym razem przeszedł samego siebie. Wymyślił reŝysera, który zwykł pracować szybko i tanio, teraz jednak podejmuje się misji karkołomnej: ma nakręcić (w jednym ujęciu) półgodzinny remake japońskiej

fabuły o żywych trupach. Margines błędu jest zerowy, gdyż krwawy spektakl będzie emitowany na żywo. Pastisz amerykańskich slasherów? Satory na cynizm producentów i głupotę konsumentów? Nie tylko. Francuz pokazuje ludzi szołbizu bez znieczulenia – ze wszystkimi słabościami („nie ma małych ról, są tylko mali aktorzy”) – a także z podziwu godnym talentem do improwizacji tudzież gotowością do poświęceń, gdy sprawa dochodzi do triarii. Wolno mniemać, że przynajmniej część wpadek i katastrof, których doświadczyła ekipa realizująca niewydarzony projekt „Z” wydarzyła się w realu. Powiedzmy to wprost: żywe trupy przynoszą pecha! ©©

Wiesław Chełminiak



★★★★★
REŢ. MICHEL
HAZANAVICIUS
„CIEĆCIE!”
 („COUPEZ!”)
FRANCJA 2022

wyst. Romain Duris,
Bérénice Bejo, Matilda
Anna Ingrid Lutz



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

CHŁOPIEC Z JESZIWY

HBO max



★★★★★
REŢ. BARBRA
STREISAND
„JENTŁ”
 („YENTL”)
USA/WIELKA
BRYTANIA 1983

wyst. Barbra Streisand, Mandy Patinkin,
Amy Irving

Wiedza jest środkiem, a życie celem. Jentł, mieszkanka wschodnioeuropejskiego sztetlu, jeszcze tego nie rozumie, więc zamiast podszkolić się w umiejętnościach kucharskich, w męskim przebraniu studiuj Talmud. Czterdzieści lat temu „Jentł” mógł wydać się echem „Skrzypka na dachu”, gdyż adaptatorzy zamiast rozwinąć potencjał zawarty w opowiadaniu Singera, wybrali bezpieczną formułę melodramatu w oprawie musicalu. Według amerykańskich standardów mamy do czynienia z kinem autorskim. Streisand mianowała się producentem, reŝyserem i zagrała rolę tytułową (choć była 20 lat starsza od bohaterki). Wokalnego talentu nie sposób gwiazdzie odmówić, ale feministyczne poprawki w scenariuszu tudzież bombastyczny finał odebrały filmowi urok bajki o kolorowym życiu ortodoksów, w której czeska Praga udaje Lublin, a Źatec Bychawę. Ewentualny remake zapewne będzie romantyczną komedią z wyeksponowanymi wątkami LGBTQ+. ©©

BIAŁY BRAT WINNETOU

arte



★★★★★
REŢ. ANDREAS
WAGNER
„LEX BARKER.
OD TARZANA
DO PLAYBOYA”
NIEMCY 2023

Przedziwna kariera. Nowojorczyk z dobrego domu, wykształcony i niegłupi, wojenny weteran, został gwiazdą kina i symbolem seksu. Ale tylko w Europie, bo w ojczyźnie nie traktowano go poważnie. Co tu kryć, prezentował aktorstwo anachroniczne, był jak ożywiony posąg. Prywatnie grał Piotrusia Pana i bon vivanta. Dla Włochów, a potem Niemców ten niebieskooki piękniś stał się archetypem Amerykanina o stalowej woli i wysokim morale. Pojawił się w 86 filmach, jednak sławy nie dał mu epizod w „Słodkim życiu” Felliniego, lecz ocierające się o kicz ekranizacje powieści Karola Maya. Westernowe stereotypy w romantycznym anturazie urzekły miliony Niemców i nie tylko. Lexa Barkera trudno porównywać do Clint Eastwooda. Zmarł przedwcześnie, w poczuciu zawodowej i osobistej klęski. Na szczęście szlachetny Old Shatterhand, wzór męskości galopujący na koniu przez jugosłowiańską prerię, będzie żył wiecznie. ©©

Wiesław Chełminiak

GRA TYGODNIA: „SUPER MARIO BROS. WONDER”

Bez dwóch zdań „Wonder” będzie wymieniany nie tylko jako jedna z najlepszych odsłon gier z Mario, ale jako jedna z najlepszych platformówek 2D/2,5D w ogóle. Brak gardłowego terminu i niemal nieograniczony budżet sprawiły, że dostaliśmy grę w swej

kategorii niemal idealną. Projektanci wspięli się na wyżyny kreatywności. Urozmaiconym poziomom dorównują grafika, klimat i fantastyczne audio. Zróżnicowane pod względem trudności plansze dostępne już na starcie, by od początku do końca dobrze bawili



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

się i młodszy, i starsi. Bravo, Nintendo! Świetna robota. ©© **Radosław Wojtas**
• **Gatunek:** platformówka
• **Platforma:** Nintendo Switch
• **Producent, dystrybutor PL:** Nintendo, ConQuest Entertainment

MOJA PÓŁKA

Wszystko **przeszłe** będzie trwało

KRZYSZTOF
MASŁOŃ

Wyjątkowo uważny i rzetelny obserwator naszej rzeczywistości, Wojciech Chmielewski – autor m.in. powieści „Belweder gryzie w rękę” i „Jeziora Dargin” – swój prozatorski kunszt ujawnia jednak najpełniej w krótszych formach, opowiadaniach, czego dowodzi wydany właśnie zbiór zatytułowany „Obcy diabeł”.

Te realistyczne opowiadania w prezentowanym zestawie ukazują swoje drugie dno, równie ważne są w nich bowiem teraźniejszość i przeszłość. I to nie tylko ta całkiem niedawna, przywołująca osobiste wspomnienia i doświadczenia, jak w „Rondzie ONZ”, w którym narrator powraca pamięcią do lat szkolnych, wywołując postać zakatowanego przez esbecję ucznia, Emila Barchańskiego: „Jego zwłoki wyłowiono w takim miejscu, jakby wcześniej płynął pod prąd. Bo miejsce, w którym rzekomo wszedł do wody, znajdowało się dobrych parę kilometrów w dół rzeki [...]”. W jaki sposób tłukli Emila? We dwóch czy we trzech? Podawali go sobie jak piłkę i bili. Kim są dziś ci ludzie? Dzięki naszej pokojowej transformacji żyją spokojnie, wychodzą na spacer z pieskami, szczotkują perskie koty, spłacają kredyty za swoje dzieci, leczą się na korzonki, narzekają na rządzących. Zresztą to wszystko już nie jest takie ważne. Wolni ludzie żyją w wolnym kraju. A wtedy była inna sytuacja i wszystko na ten temat. Cieszymy się, naprawdę cieszymy się, że morderca chodził dziś z wnuśią na spacer do Łazienek, kiedy słońko tak mocno grzeje. Albo na sanki w taki jak dziś zimowy dzień. Tylko w naszym kraju, w naszej Polsce to wszystko jest możliwe, bo żyjemy we wspólnym domu, po sąsiedzku i w zgodzie”.



★★★★★
**WOJCIECH
CHMIELEWSKI**
„OBCE DIABŁE.”
31 OPOWIADAŃ”
PIW, WARSZAWA
2023



FOT. MARCIN KUBIK

W innych opowiadaniach objawia się nagle zagłada getta warszawskiego albo znów istna baśniowość dawnej Warszawy, bo w jakiejś mierze właśnie to miasto jest nadrzędnym bohaterem prozy Chmielewskiego, który wzorem swojego wielkiego poprzednika, Marka Nowakowskiego, co rusz przypomina, że nie jest znikąd. A w tym naszym mieście – możemy być tego pewni – „wszystko przeszłe będzie trwało”.

Porusza Chmielewski tematy drażliwe, portretując ludzi byle jakich, często upodlonych i zdegenerowanych. Niekiedy budzą nie wyłącznie obrzydzenie i pogardę pomieszaną z litością, bo nieodparcie śmieszny, a nie tylko przerażający jest wywód alkoholika z „Ulicy Stalowej”: „Z kolegą wyliczyliśmy, że jakby codziennie pół litra wypić, to niszczy się tyle komórek, że można pić przez dwadzieścia lat, a tyle jest tych milionów, że do końca życia starczy. Jakby ośmiu Chińczyków co pięć minut do przepaści się rzucało, o i tak do końca świata by ich starczyło...”

W tym wszystkim słyszy się tym donioślejsze, im bardziej ściszone, do granic możliwości, wołanie do i o Boga. Niekiedy trudno je nawet wyartykułować.

Kiedy młoda bohaterka „Domu błogosławionej Anieli” wyznaje rodzicom, że myśląc o przyszłości, chciałaby, po prostu, mieć rodzinę i żyć po chrześcijańsku, słyszy od ojca: „Czy ty wiesz, że te wszystkie głupoty, które wygadują w szkołach niedokształceni katecheci, pokutują potem w waszych głowach, w głowach młodzieży i jesteśmy jako społeczeństwo pośmiewiskiem dla świata? Ciemnogród – ostatnie słowo wypowiedział głośno”.

Trzydzieści opowiadań pochodzących z pięciu zbiorów opublikowanych przez Wojciecha Chmielewskiego od 2006 r. złożyło się na wydany teraz wybór. Trzydzieste pierwsze – „Zeszyt znaleziony na Solnej” – zamykające książkę, w wersji papierowej ukazuje się po raz pierwszy. Puentuje ono „Obcego diabła”, w tyleż okrutny, ile karykaturalny sposób ukazujący rozpad małżeństwa i nieudaną próbę stworzenia nowego związku. Jakub Beczek w postłowie, nawiązując do tytułu opowiadania, postrzega je jako dopełnienie innego, wcześniejszego – „Fantazji o Chłodnej”, nazywając Solną widmową ulicą, która jakoby zniknęła z mapy Warszawy wraz z gettem.

Nie do końca to prawda. Figurowała ona jeszcze w spisie stołecznych ulic w roku 1955, znikając dopiero w roku następnym, a to w związku z wytyczeniem Trasy N-S, prostopadłej do opiewanej w wierszach i piosenkach Trasy W-Z. W mowie warszawskiej nazwa funkcjonowała jeszcze długo, sam pamiętam, że mama zabierała mnie na zakupy dokonywane – jak mówiła – na Solnej właśnie. Jakoś nowego patrona jednej z ważniejszych ulic miasta, które powstały – Juliana Marchlewskiego – opornie przyswajano... A od 1990 r. mamy w tym miejscu aleję Jana Pawła II. ©©



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Rozbitkowie

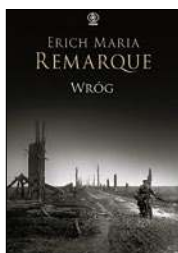
Tytułowe opowiadanie zbioru „Wróg” było początkiem kariery Ericha Marii Remarque’a w amerykańskiej prasie, ukazało się w piśmie „Collier’s” już po premierze filmu „Na zachodzie bez zmian” Lewisa Milestone’a (1930). Cały tom, zawierający 10 krótkich tekstów, opublikowany został w Niemczech w roku 1931, dwa lata po najsłynniejszej powieści Remarque’a. Te opowieści o pierwszej wojnie światowej (nikt wtedy jeszcze nie wiedział, że będziemy je numerować) mogą z początku robić wrażenie wprawek czy epizodów, które wypadły z „Na zachodzie bez zmian”, ale gdybyśmy tak je potraktowali, stałoby się to z krzywdą i dla autora, i dla opowiadań.

Niemal sto lat od napisania wojenne przypowieści Remarque’a nie straciły nic ze swojej siły oddziaływania, składają się w pięknie napisaną, smutną książkę, która przypomina raz jeszcze, dlaczego pisarz stał się wojującym pacyfistą (taki zresztą tytuł nosił zbiór esejów i wywiadów, który ukazał się kilkanaście lat po jego śmierci). We „Wrogu” broń czyni z bohaterów potwory: „Pierwotnie nie byli wrogami; stawali się nimi, dopiero gdy dawano im broń do ręki”. Proroczo przewi-

duje Remarque erę, w której staniami się nieważnymi pyłkami w potężnych arsenałach, odnotowując, że już podczas pierwszej wojny światowej bywały chwile, że „ludzie praktycznie nie byli już do niczego potrzebni. Broń z jednej strony w bezsensownym amoku miotła pociski w broń po drugiej stronie”.

Bohaterowie tych opowieści są rozbitkami. Także ci, którzy nie walczyli – jak choćby dziewczyna z „Dziejów miłości Annette”, która w wieku 17 lat utraciła na froncie swego 19-letniego męża – całe jej życie minęło w cieniu utraconego, nieistniejącego małżeństwa, w cieniu, który ostatecznie doprowadził ją na skraj szaleństwa. Faulknerowskie w duchu opowiadanie „W drodze”, zamykające zbiór, to arcydzieło noweli-styki, doskonałe zamknięcie serii przypowieści o tych, którzy nie potrafili znaleźć sobie miejsca po kataklizmie. Rzadkie są chwile, w których (jak w opowiadaniu „Śniło

mi się w nocy”) pozwala sobie Remarque na nadzieję: „Czułem, że coś się dokonało i że to było dobre, wiedziałem też znowu, że poza wojną i zniszczeniem jest jeszcze coś i że to coś wróci”. Ale dla większości rozbitków nadziei nie ma. Wiedzą o tym weterani każdej z wojen. ©©



★★★★★
ERICH MARIA REMARQUE
„WRÓG”
REBIS 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Halucynacyjna, gotycka powieść, która wywarła olbrzymi wpływ na pisarzy XIX stulecia, z Edgarem Allanem Poe czy Henrym Jamesem włącznie. Wznowienie w twardej oprawie i z posłowiem Karola Samsela.



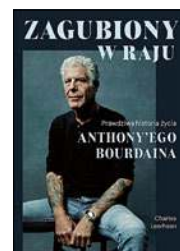
ANN RADCLIFFE
„TAJEMNICE ZAMKU UDOLPHO”
PIW

Rok polski w gawędzie: zbiór erudycyjnych opowieści rozpiętych między stuleciami, między literaturą a historią, wspomnieniem i anegdotą. Układa się w arcyciekawą opowieść o polskim losie.



JAN MAJCHROWSKI
„PRZECIW UZBROJONYM ANALFABETOM”
ZYSK I S-KA

Szef kuchni, podróżnik, telewizyjna osobowość, autor świetnych książek – człowiek sukcesu, który okazał się głęboko nieszczęśliwy w swoim spełnieniu, aż do samobójczej śmierci. Życie Anthony’ego Bourdaina.



CHARLES LEERHSEN
„ZAGUBIONY W RAJU”
G.W. FOKSAL

Mistrz kryminału tym razem zamiast kreować mody, podąża za jedną z nich, czyniąc najważniejsze postacie twardymi kobietami. Na szczęście pisarskiej zręczności w swoim „Poland noir” nie zatracił. ©©



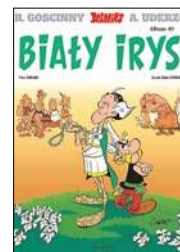
MAREK KRAJEWSKI
„OSTRA”
ZNAK

recenzuje Piotr Gociek

KOMIKS TYGODNIA:

„BIAŁY IRYS”

Jubileuszowy tom słynnej serii, której autorami są Gosciny i Uderzo, a którą od 2013 r. rysuje Didier Conrad. Kolejny raz zmienił się scenarzysta; dotąd nowe albumy pisał Jean-Yves Ferri, teraz zastąpił go Fabrice Caro (autor m.in. powieści „Weselny toast” zekranizowanej przez Laurenta Tirarda). „Biały irys” to nowa metoda



FABRICE CARO, DIDIER CONRAD
„ASTERIX I OBELIX: BIAŁY IRYS”,
T. 40
EGMONT 2023

motywowania Rzymian do walki (nie chcą już brać łupnia od dzielnych Galów). Czy można im się dziwić?

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

Nie tylko narzędzia wojny

Utworzone w 1879 r. krakowskie muzeum miało być instytucją poświęconą wyłącznie sztuce. Wołą Polaków stało się inaczej. Mieszkańców dawnych ziem Rzeczypospolitej poruszył fakt utworzenia placówki muzealnej, zaczęli słać więc dary, w tym broń i umundurowanie. Tak zaczęła się rodzić kolekcja militariów, która dziś jest jedną z największych i najciekawszych w kraju.



FOT. PARYK IZERSKI/MIK

Muzeum Książąt Czartoryskich zaprezentowało nową odsłonę wystawy dawnej broni i umundurowania z kolekcji Muzeum Narodowego w Krakowie. Zebrane na niej najcenniejsze obiekty polskiego, europejskiego i orientalnego uzbrojenia od ok. 1000 r. do połowy XIX w. nie są wyłącznie podróżą przez historię uzbrojenia. „Wystawa spróbuje odpowiedzieć na niełatwe pytania o rolę tego typu historycznych zbiorów w muzeum sztuki oraz zakresu jej oddziaływania na społeczeństwo i kulturę na przestrzeni ostatnich kilku wieków. Dawne militaria bowiem to nie tylko narzędzie służące wojnie” – piszą organizatorzy. ©

GDZIE? Kraków, Muzeum Książąt Czartoryskich
KIEDY? wystawa stała



FOT. ELIZABETH PENDERECKI COLLECTION

EUFONIE

W programie bogatym w arcydzieła koncerty festiwalu muzycznego Eufonie znalazła się także wystawa poświęcona znakom ideograficznym obecnym w zapisie „Kosmogonii” Krzysztofa Pendereckiego. „Ekspozycja autorstwa Zygmunta Piotrowskiego – piszą organizatorzy – zawierać będzie sygnowane przez Krzysztofa Pendereckiego grafiki wykonywane techniką akwaforty, przedstawiające zapis znaków stosowanych przez Mistrza w rękopisie utworu, oraz fragmenty manuskryptu drukowane na płótnie”. Wystawa czynna od 16 listopada, festiwal startuje dzień później. ©

GDZIE? Filharmonia Narodowa
KIEDY? do 3 grudnia



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Tańcząc o Oscara

Chłopi” to pierwszy polski film od 19 lat, którego ścieżka dźwiękowa powalczy o Oscara w kategorii „Best Original Score”.

Łukasz „L.U.C.” Rostkowski zaprosił do nagrań prawie stu muzyków. Usłyszemy na płycie m.in. Kayah, Ralpa Kamińskiego, Bełę Komoszyńską, duet Kwiat Jabłoni, a także kurpiowską śpiewaczkę Apolonie Nowak czy zespoły ludowe Dagadana, Lor, Laboratorium Pieśni, Sutari i Tęgie Chłopy. Ponieważ muzyka została nagrana na autentycznych ludowych instrumentach, nie dziwi udział w sesjach Marii Pomianowskiej. Ważna odnotowania jest również obecność ukraińskiego chóru Vyriy i białoruskiego dudziarza Vitala Voronaua.

Kolejnym ukłonem w stronę tradycji jest stworzenie tekstów na podstawie cytatów z „Chłopów”.

W efekcie otrzymaliśmy płytę złożoną z 24. utworów i piosenek trwających od 50 sekund do pięciu minut. Nie jest to jednak płyta etnograficzna. L.U.C., trzymając się folkowych założeń, twórczo miesza brzmienia pochodzące z różnych rejonów. W drugiej części albumu pojawiają się utwory symfoniczne i rozimprowizowane (fantastyczna „Bitwa”). Poruszająca „Śmierć”, oparta na współbrzmieniu męskiego chóru i kościelnych organów, przywołuje na myśl klimat muzyki Philipa Glassa z filmu „Koyaanisqatsi”. Jako całość „Chłopi” L.U.C.-a są albumem naprawdę wyjątkowym. ©



★★★★★
**L.U.C. & REBEL
BABEL FILM
ORCHESTRA
„CHŁOPI”
AGORA**



★★★★★
**KIM NOWAK
„MY”
MYSTIC**

Po 11 latach powrócił garażowy zespół Michała Sobolewskiego i braci Waglewskich. Czterdziestolatkiwie zateknieli za prostym, emocjonalnym graniem i nostalgicznymi wspominkami z podwórek lat 90. Ważne, że słychać w nagraniach ich radość z grania.



★★★★★
**DARIA ZAWIAŁOW
„DZIEWCZYNA POP”
SONY**

Przyjemny pop-rock świetnie wykonany i nagrany. Daria jako świeża 30-latką, jak jej starsze koleżanki w tym wieku, uroczą cierpi po zdradzie. Przy okazji podróżuje po świecie i wymienia ulubionych wykonawców oraz ważne filmy. Następny rozdział powinien być o twardej singielce.

Na ślepych torze

FOT. KRZYSZTOF BIELIŃSKI



Grzegorz Kondrasiuk

Opera Narodowa poprzez zamówienie kompozytorskie realizuje zbożną misję pomnażania dziedzictwa narodowego, a ostatnio przyczyniła się do powstania dzieła pt. „Ślepy tor”

pytanie o przyszłość Europy pochodzi od grupy terrorystów z jakiegoś bynajmniej niezachodniego kraju. Odpowiedzią tą są autodestrukcyjność (postać wytrwałego samobójcy jako protagonisty tego antydramatu) oraz terrorystyczna przemoc – zniszczenie porządku, który nie potrafi się już obronić. Buksuje w miejscu, mieląc konserwatywne czy postępowe fantazmaty, śmiejąc bigoterią albo humanistycznymi, równościowymi, ekologicznymi i feministycznymi wyznaniami wiary.

Libera nie boi się nie tylko wymierzania sprawiedliwości światu, lecz także banału codzienności. Właściwie to z niego utkana jest materia dialogów, co jest grą z konwencją opery o pretensjach do uniwersalizmu (nie oprę się pokusie cytatu jeszcze jednego zdania z rzeczonego listu przewodniego: „Ślepy tor» jest

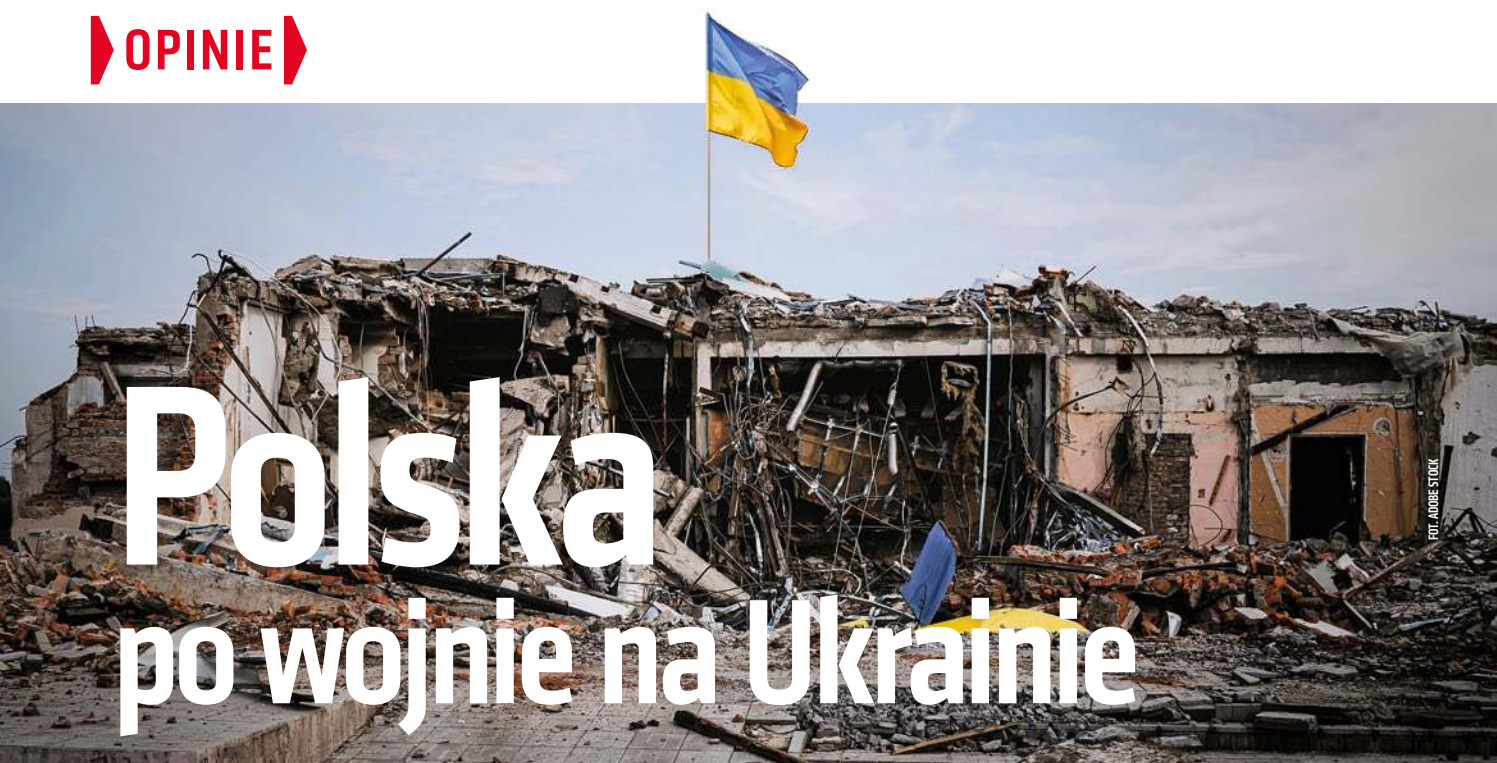
– muzycznym, teatralnym, dramaturgicznym, filozoficznym – pytaniem o nasze miejsce we współczesnej cywilizacji”). W zbyt, niestety, szeszczących papierem dialogach sporo mieli się ozorem, gada o niczym, narzeka, marudzi, opowiada o uciążliwościach, spóźnieniach na kolei, zepsutym automacie na napoje i bezsensie obowiązków świata już nie do zniesienia. Ten koncept się dość szybko wyczerpuje, bo prowadzi do zbyt oczywistych wniosków o mizerii naszej obecnej kondycji.

Tak samo odkrywczym są konstatacje o wyczerpaniu się mocy Starego Kontynentu – podkreślone jeszcze namalowanym w trzecim akcie graffiti. I tak możemy z oburzeniem, a może i melancholią popatrzeć sobie w finałowych minutach na napis nawołujący, żeby „J.... Starą Europę”. Pozostaje poczucie humoru, ale jest ono

specyficzne, bo wprost od Becketta („Co ty tutaj robisz? – pyta zawiadowca stacji człowieka przykutego do torów, a ten odpowiada: „Nie widzisz? Czekam na ekspres”). I tak dalej...

Reżyser Marek Weiss – żeby nie ograniczać się do funkcji ustawiacza sytuacji scenicznych, które bez przerwy przejawia i tautologizuje – obmyślił dwa sposoby dodania do pomysłów Libery inscenizacyjnego piętka. Nieco odleglejszy metafizyczny horyzont zabezpiecza niema postać starej kobiety, która siedzi z robotką ręczną na ławeczce na peronie – jakże głęboka i niezgrana to metafora! Oraz brechtowski z ducha finał, gdzie – nie będąc całkowicie spojlerował – pojawia się refleksja metateatralna, zadając zdumionej widowni jeszcze jedno pytanie: Czy brać na poważnie pesymistyczne miazmaty sztuki (tej przez duże Sz) czy jednak nie? Wybrałem możliwość numer dwa. ©©

TEATR WIELKI – OPERA NARODOWA
KRZYSZTOF MEYER „ŚLEPY TOR”
LIBRETTO: ANTONI LIBERA
REŻYSERIA: MAREK WEISS
CHOREOGRAFIA: IZADORA WEISS
DYRYGENT: ŁUKASZ BOROWICZ
PREMIERA: 14 PAŹDZIERNIKA 2023 R.



Polska po wojnie na Ukrainie



Lech Mażewski

Wojna nad Dnieprem powoli zmierza do zakończenia, przy czym mało wskazuje na zwycięstwo Ukrainy. Wielu obserwatorów podkreśla pogłębiający się impas na froncie, ale są tacy, którzy mówią nawet o zbliżającej się implozji armii dowodzonej przez gen. Walerija Załużnego. To nakazuje zastanowienie się nad sytuacją Polski, kiedy umilknie huk wystrzałów

Próba narzucenia siłą rosyjskich propozycji z 17 grudnia 2021 r. co do zakazu przystąpienia Ukrainy do NATO, wycofania obcych instalacji wojskowych z terenów państw przyjętych do paktu po upadku ZSRS oraz zawarcie nowego układu o architekturze bezpieczeństwa w Europie zakończyła się niepowodzeniem i nic nie wskazuje, aby na razie miało się to zmienić. Czy tak samo będzie, jeśli do wojny we wschodniej Europie dołączy przedłużający się konflikt na

Bliskim Wschodzie, a następnie wybuchną starcia na Dalekim Wschodzie nie tylko o Tajwan, lecz także odnowieniu ulegną działania zbrojne na Półwyspie Koreańskim – tego nikt z nas nie wie. W każdej chwili zmagania militarne mogą rozgorzeć na wszystkich krańcach Euroazji, przybliżając ukształtowanie się nowego ładu międzynarodowego, w którym USA utracą zapewne pozycję imperatora mundi.

Gdyby za jakiś czas miało być dyskutowane coś na kształt rosyjskich propozycji z połowy grudnia 2021 r., czego nie da się wykluczyć, bo nie wiemy, jak skończą się zmagania o hegemonię nad światem, to powinno się to odbywać z naszym udziałem. A tego nie uzyskamy, pochopnie wchodząc (lub dając się wepchnąć) w rozkręcający się ciąg zbrojnych zmagania. Notabene wystarczyły dwa tygodnie wojny z Niemcami we wrześniu 1939 r., aby aparat państwa polskiego został zdruzgotany, a nasze armie (z wyjątkiem jednej) okrążone przez oddziały zwycięskiego Wehrmachtu.

Poza dyskusją jest, że najlepiej byłoby, gdyby można wrócić do sytuacji geopolitycznej, która powstała w północnej i wschodniej Europie w momencie upadku ZSRS. Pozablockowy pas państw od Finlandii i Szwecji, dalej republiki nadbałtyckie i Białoruś, aż do Mołdawii i Ukrainy przestał istnieć – z dużą szkodą dla nas. Rosja wtedy zostałaby daleko odsunięta na wschód od naszych granic i nie trzeba

by toczyć o to żadnej wojny. Wystarczyło stosować się do prostej zasady: primum non nocere. A i dziś choćby przedstawiciele Strategy and Future, starający się uchodzić za czołowych polskich geopolityków, nie są w stanie tego pojąć.

TRZY WARIANTY

Niewątpliwie to Stany Zjednoczone są dotychczas największym wygranym w wojnie na Wschodzie, bo tam nie tylko niszczone jest potencjał militarny i gospodarczy Rosji kosztem Ukrainy, bez angażowania wojsk amerykańskich, lecz także wzmacnia się północna flanką NATO o państwa dobrze przygotowane do działań militarnych. Aż nie chce się wierzyć, żeby spiritus movens tych wydarzeń nie byli waszyngtońscy strategowie.

Toczony od lutego 2022 r. konflikt na południowy wschód od naszych granic może zakończyć się w trojaki sposób: zwycięstwem Moskwy, sukcesem Kijowa i wreszcie starcie może mieć charakter nierozstrzygnięty. W pierwszym przypadku wojska rosyjskie stanęłyby nad Bugiem, czego nie byłoby, gdyby doszło do utrzymania pasa państw pozablockowych, z czym mieliśmy do czynienia w momencie upadku ZSRS. To rozwiązanie skrajnie niekorzystne dla nas. W drugiej sytuacji Ukraina, być może wracając nawet do granic sprzed 2014 r., odgrywałaby rolę regionalnego ośrodka siły,

a Polska rzeczywiście stałaby się sługą narodu ukraińskiego, jak chciał tego były rzecznik polskiego MSZ. Obecnie jest oczywiste, że do tego nie dojdzie. Jednak trudno byłoby w tym dostrzec jakikolwiek interes Warszawy, tym bardziej że interesy Polski i Ukrainy są konfliktowe.

Bez wątpienia najlepszym rozwiązaniem dla nas byłoby, aby wojna nad Dnieprem miała charakter nierozstrzygnięty, przypominając nieco sposób zakończenia konfliktu koreańskiego w 1953 r. Ukraina zachowałaby co prawda suwerenność wobec Rosji, pozostając jednak całkowicie zależna od państw zachodnich, głównie od USA, będąc jednocześnie uszczuplona terytorialnie i z wielkimi stratami zarówno ludzkimi, jak i materialnymi. Również Rosja nie byłaby w stanie zaliczyć tej wojny do swoich największych sukcesów, gdyż znacznie pomniejszony zostałby jej potencjał, a to z kolei powodowałoby, że przestawałaby, przynajmniej na jakiś czas, być zagrożeniem dla Polski. W rezultacie nie mogłoby być mowy, aby Kijów odgrywał rolę regionalnego ośrodka siły, na co zanosilo się w momencie uzyskania przez Ukrainę niepodległości w 1991 r., to miejsce należałoby do Warszawy. Nie mamy na to żadnego wpływu, ale wydaje się, że wypadki biegna właśnie w tym kierunku.

WŁASNA POLITYKA

Pisałem już gdzie indziej, że aby była możliwa jakakolwiek polska polityka, musimy przeciwstawić się próbie federalizacji UE forsowanej głównie przez Niemcy (acz i Francja opowiada się za tego rodzaju rozwiązaniem). Bez dalszego istnienia państwa polskiego, a nie rodzaju unijnego protektoratu, nie da się uprawiać żadnej polityki. Utrzymanie własnego państwa – nawet z tym ograniczonym zakresem suwerenności, który obecnie ono posiada – jest warunkiem absolutnie niezbędnym, aby można było mówić o istnieniu jakiegokolwiek, nie mówiąc o liczącej się, polityki polskiej.

Nadal dysponując państwem, a nie rodzajem protektoratu w ramach sfederalizowanej UE, będziemy mogli przystąpić do sformułowania własnej Ostpolitik, co powinno być naszym zasadniczym celem po zakończeniu wojny na Wschodzie. Nawijając tu nieco do zasad niemieckiej Ostpolitik, która uwieńczona została w 1990 r. po ponad 20 latach konsekwentnych

Po zakończeniu wojny na Ukrainie powinna nam przyświecać jedynie chęć realizacji polskiej racji stanu

zabiegów zgodą ZSRS na wcielenie NRD do RFN, aczkolwiek nam będzie szło o coś innego. Nie w tym rzecz, aby opuścić NATO, chociaż z członkostwem w UE już tak nie musi być, czy walczyć z dominacją amerykańską w Europie, ale realizować swoje cele polityczne, podtrzymując współpracę zarówno z USA, jak i RFN na płaszczyźnie gospodarczej – choć niekiedy będą mogły pojawiać się konflikty, przechodzące w rodzaj „szorstkiej przyjaźni”. Oczywiście byłby też sprzeciw wobec prób ingerencji w nasze sprawy wewnętrzne zarówno ze strony Waszyngtonu, jak i Berlina, co w tej chwili często pozostaje bez żadnej reakcji ze strony Polski. Czego moglibyśmy oczekiwać od naszej Ostpolitik?

Jest jasne, że powinniśmy prowadzić wymianę gospodarczą ze wszystkimi państwami, które znajdują się na Wschodzie, a także dbać o położenie naszej mniejszości na tamtych terenach. Ponadto bezwzględnie konieczne byłoby wsparcie dla istnienia możliwie niezależnej Białorusi, ktokolwiek by sprawował władzę w Mińsku. Należałoby przychylnie odnosić się do wszelkich dążeń Białorusi, mających na celu poluzowanie istniejących zależności od Moskwy. O ile chodzi o Ukrainę, o tyle naprawdę powinno nas interesować jedynie to, aby to państwo zachowało niezależność od Rosji – bez względu na to, jak ostatecznie będą ukształtowane granice między Kijowem a Moskwą. I wreszcie w przypadku Rosji to obecność Polski w NATO, bliskie stosunki militarne z USA i przede wszystkim wzmacnianie własnych sił zbrojnych są wystarczającymi gwarancjami bezpieczeństwa i powinny zapewnić nam powodzenie w momencie ewentualnego konfliktu zbrojnego.

TYLKO WŁASNY INTERES PAŃSTWOWY

Nasza Ostpolitik nie może być ograniczona wyłącznie do zbrojeń czy opowieści o konieczności walki z Moskwą za wszelką cenę i w każdych okolicz-

nościach, tak nie byłoby nawet w przypadku zwycięstwa Rosji nad Ukrainą, na co się nie zanosilo. Jeśli jednak wojna będzie miała charakter nierozstrzygnięty, co jest wielce prawdopodobne, to bez względu na stanowisko USA czy Niemiec powinniśmy spróbować sformułować i realizować Ostpolitik zgodną z naszymi interesami. Dlaczego nie mielibyśmy spróbować uprawiania tego rodzaju polityki, kiedy opadnie kurz bitewny? Z faktu, że w latach 2015–2023 niczego takiego nawet nie usiłowano robić, nic nie wynika. Przecież główny animator nieudanej próby geopolitycznej przebudowy Wschodu w 1920 r. doprowadził 12 lat później do zawarcia traktatu o nieagresji między Warszawą a Moskwą. Dostrzeżenie tego jest jednak poza politycznymi możliwościami aktualnych spadkobierców Józefa Piłsudskiego.

Polityka realizowana przez Donalda Tuska w latach 2007–2014 wobec Rosji zakończyła się niepowodzeniem nie dlatego, że euroazjatycki kolos pozostawał ciągle przysłowiowym „imperium zła”, ale głównie dlatego, że nie kierowano się polskim interesem, chcąc spełnić wymagania poprawności politycznej dominującej w UE, sprowadzające się w rzeczywistości do próby wypchnięcia USA z Europy w imię ustanowienia niemieckiego Grossraumu. Rozwiązaniu takiemu sprzyjała Rosja, licząc, że to ona będzie ostatecznym beneficjentem tego geopolitycznego przewrotu w północnej Euroazji. Z całą pewnością nie o to chodziłoby tym razem.

Po zakończeniu wojny na Ukrainie powinna nam przyświecać jedynie chęć realizacji polskiej racji stanu, a więc odwołania się do politycznego umysłu, a nie pogrążania w patriotycznych emocjach, wysługiwania obcym interesom czy zakleszczenia w fantazjach ideologicznych, czego z kolei nie da się osiągnąć bez uwolnienia od syndromu „choroby na Moskała”. Dla niektórych może być to zbyt minimalistyczne stanowisko, pozbawione elementu walki o kształt przyszłego globalnego ładu międzynarodowego, jakbyśmy mogli mieć na to jakikolwiek wpływ, ale mając na uwadze własny potencjał i uwzględniając przy tym perspektywę kolejnych wojen wybuchających w odległych krańcach Euroazji – wcale tak nie jest.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest doktorem habilitowanym, ustrojoznawcą.

Referendum karpi?



W poprzednim wydaniu „Do Rzeczy” (nr 45/2023) ukazał się ciekawy artykuł Rafała A. Ziemkiewicza o przyspieszającej



Jerzy Karwelis

federalizacji Europy. Tezy dotyczące powodów i konsekwencji tego momentu wydają się ze wszech miar słuszne. Autor jednak wysuwa na końcu tekstu wniosek o przeprowadzenie w tej sprawie referendum i spytania Polaków, czy takiej przyszłości UE chcą (to przypomina o referendum, które się właśnie odbyło wraz z wyborami parlamentarnymi i w którym takie kluczowe pytanie nie zostało przez PiS postawione).

Wydaje mi się, że pomysł na referendum jest raczej taktyczny, by wytworzyć pewien jednorodny temat, momentum polityczne, w którym Polacy będą mogli się zero-jedynkowo opowiedzieć. To niebezpieczne wkładanie wszystkich jajek do jednego koszyka. Zaczniemy od analizy sytuacji, która jest podobna do Ziemkiewiczowskiej, jednak prowadzi do innych niż referendalne wniosków.

KOLEJNY KONIEC ŚWIATA

Pojawiła się bowiem (kolejna) data kolejnego końca dotychczasowej formuły Unii. Mamy sporo tych „kolejności”, bo proces federalizacji UE (po fiasku wejścia na rympał, jakim była próba narodowych głosowań za wspólną unijną konstytucją) został taktycznie rozłożony na powolne procesy. Woda w akwarium federalizacji zaczęła być podgrzewana stopniowo, by suwerenna żaba nie zorientowała się, o co chodzi. Reakcja na poparzenie z nieudaną próbą konstytucji europejskiej dała pouczającą lekcję, z której nauczyciele podgrzewacze wyciągnęli wnioski, by gotować żabę wolniej. Jednak dochodzi już do kluczowych rozstrzygnięć, bo decyzje dotyczące proponowanych zmian w traktatach mają zapasć jeszcze w listopadzie. Wtedy suwerenność krajów członkowskich zostanie sprowadzona do, i tak naruszanego od lat, minimum. Moment jest kluczowy, bo to przejście jest graniczne, gdyż nieodwracalne. Alternatywą byłby jedynie

Z referendum proponowanym przez Rafała A. Ziemkiewicza jest jak ze starą zasadą amerykańskich prawników: na rozprawie nie zadawaj świadkowi pytania, jeśli nie wiesz, jak odpowie

exit, który – nawet w przypadku zasobnej Wielkiej Brytanii – był spektaklem tarzania jej w smole utrudnień procesu rozstania. Wiadomo – wejść w małżeństwo jest stosunkowo łatwo, proces rozwodowy zaś to traumatyczny podział majątku i sierot po nieudanym związku. Zwłaszcza gdy strona przeciwna ma w rękę nasze weksle.

Pojawia się – słuszną skądinąd merytorycznie – narracją, że to już inna Unia i że trzeba by zrobić ponowne referendum akcesyjne, bo to inny twór niż ten, do którego przystępowaliśmy. No i rozpętała się dyskusja, która może być promilowym przykładem tego, co by się działo, gdyby doszło do samego referendum, nie mówiąc już o polexicie, który mógłby być ewentualnym efektem realizacji woli ludu.

Zwolennicy Unii argumentują na dwa sposoby: pierwszym jest kwestia ruiny, w którą byśmy popadli, gdybyśmy się z Unii ewakuowali, drugim zaś jest argument odwrotny – proszę, spróbujcie z referendum, chojraki, a naród i tak poprze uczestnictwo w (nowej) Unii.

CZEMU KONIECZNIE W UNII?

Zajmijmy się pierwszą grupą argumentów pt. „Katastrofa”. Po pierwsze, jest to wskazywanie na zero-jedynkowość wyboru, czyli... szantaż. Mamy taki europejski PO-PiS, czyli jak nie jedno, to drugie. Jak nie Bruksela (czytaj – Berlin), to Białoruś. Ten argument jak „ruska onuca” ucina możliwość wszelkiej dyskusji i o to chyba chodzi. Jednak ja znam kilka europejskich krajów, które nie są w Unii, kilka, które nie mają euro i jakoś sobie radzą. Powie ktoś, że taka Szwajcaria sobie może na

to pozwolić, bo jest bogata. Jednak – jak widać – ona nie jest bogata dlatego, że się kiedyś zapisała do Unii. My, co prawda, jesteśmy na dorobku dzięki podłączeniu do europejskiego rynku, ale – poza oczywistą niechęcią i utrudnianiem tego procesu ze strony Brukseli – taka współpraca wciąż jest możliwa, można też znaleźć inne rynki. Proces rozwodowy, jak pisałem, to proces bolesny dla obu stron, alternatywą jest zaszywanie się w worku z europejskim trupem, który już zielenieje.

Kolejny argument jest związany z naturą polskiej duszy. Bez porządkującego wektora Unii Polacy sobie nie poradzą. Ciągłe swary, walki by zanikły, gdyby dla spokoju pobytu w wyznaczonych unijnych ramach Polska mogłaby się zrzec nieudanej, jak widać, suwerenności. Ot, byłibyśmy jakimś tam stanem wielkiego organizmu (United States of Europe albo Związek Socjalistycznych Republik Europejskich, jak piszą złośliwie pragmatycy) z wyznaczoną rolą, pod porządkującym politycznym protektorem niemieckim. Projekt III RP uległby twórczej dekonstrukcji, jako nieudany i na wyrzost. Taka znana w psychologii dezintegracja pozytywna. I byłoby fajnie. Pytanie tylko – komu? Na pewno polskim strażnikom tego dealu. A co z resztą? Główny faktor polskiego wzrostu, czyli małe i średnie firmy, przetrwałby tylko w ramach kooperacji europejskiej, nie pracowałby na polskie PKB, chyba że jako malutka część marży zagwarantowanej dla montowni, którą w obrocie europejskim stał się nasz kraj.

Mamy też argumenty formalne – lud się już wypowiedział w referendum, że chce należeć do Unii, i potwierdza to



polemika DO RZECZY

CZY GŁOSOWAĆ ZA FEDERALIZACJĄ UE **OPINIE**

(wydaje się, że rewolucyjna, acz moim zdaniem pragmatyczna) teza, że suweren nie łączy obu rzeczy jako sprzecznych.

PRZYCHODZĄ RACHUNKI

Wydaje się, że nasze skutki uczestnictwa w Unii dokonują teraz pewnej mijanki, polegającej na tym, że rodmuchiwane dotychczas jednostronne pożytki z uczestnictwa kończą swój bieg. Teraz przychodzi kolej na płacenie rachunków za nasze członkostwo. Znaczą się – po balu. Czyli będziemy świadkami dochodzenia do społecznej świadomości konkretnych kosztów bycia długoletnim członkiem, głównie z powodu kosztów zielonego szaleństwa. Koszty te dotąd były ukrywane. PiS nie chciał pokazywać tego z powodów konieczności tłumaczenia się z tego, dlaczego swoimi zgodami do tego doprowadził. Opozycja siedziała z tym cicho. Bo po co ostrzegać swego przyszłego zwolennika, że lezie w pułapkę, którą przygotował PO-PiS, a zatrzśnie Tusk? Zwiększone koszty energii zostały odkładane poprzez przykrywanie tarczami, konieczne podwyżki zaś tłumaczono lekiem na wszystko – Putinem.

Teraz przyjdą prawdziwe rachunki, które Tusk ma nadzieję przykryć pieniędzmi z KPO, ale w takie cuda może wierzyć tylko ten, kto nie zna struktury tego funduszu, gdzie pieniądze są znaczone – do wydania głównie na zieloność i tęczość. W kieszeni Polaków od tego nie przybędzie, napasą się dostawcy wiatraków (z zagranicy, dodam) i zielono-tęczowe bojówki ukryte pod płaszczykiem NGO. Zresztą, gdy się popatrzy na strukturę wydatków z KPO krajów, które zaznały tego szczyścia, to widać, że kasa jest, ale ograniczenia z jej wydawaniem sprawiają, że wiele państw środków nie wykorzystuje.

Wiadomo, jest wiele formalnych przeszkód, by ta federalizacja nie poszła tak lekko i szybko. Głosowania w UE (tu zobaczymy w listopadzie polskie stanowisko, ciekawe którego rządu), ratyfikacje przez parlamenty narodowe też da się obejść, że to tylko zmiana istniejących traktatów, nie zaś nowy akt. Ale my tu o narracji. A więc te powyższe argumenty za pozostaniem usłyszymy, jak będziemy się dobijali o referendum w sprawie uczestnictwa w tym nowej-starej Unii. I to samo usłyszymy, gdyby jakimś cudem

miało do niego dojść. I nie chodzi o to, by przewidywać narrację, ale by przewidzieć wynik takiego referendum. A wydaje się, że może on być taki, że naród zaakceptuje propozycję przekształcenia Europy w federację pod niemieckim przywództwem, z prezydentem, którego wybierają sobie elity. Bo kto z państwa głosował za Ursulą von der Leyen?

KARPIE MILLERA

I może być tak, jak wspomniał kiedyś memogeny Miller, dziś europoseł, że wzywający do referendum będą jak karpie domagające się przyspieszenia świąt Bożego Narodzenia. Wyjdzie suweren, na złość lub w niewiedzy, lub z antypolską premedytacją zagłosuje za i będzie pozamiatane. A bez referendum dano by sobie trochę więcej czasu na opór, montaż silnej i międzynarodowej przeciwwagi w stosunku do mainstreamu europejskiej lewicy. Polska sama nie wyjdzie z Unii, wyjdzie z niej tylko wtedy, gdy ta się rozpadnie. A właściwie wróci do źródeł swoich założycieli – organizmu budującego swą siłę na wolnych przepływach ludzi, pracy i kapitału, przy pełnej suwerenności państw członkowskich. I to powinien być cel walki – powrót do źródeł. Teraz mamy zabawę we wszystko oprócz gospodarki, która została zredukowana do biurokratycznej regulacji dostępu do rynku europejskiego, jednocześnie zabijając jego wewnętrzną i zewnętrzną konkurencyjność.

Należy się Polsce solidna debata na temat korzyści z tego referendum, która mogłaby stać się jednoczącą platformą dla niemogącej się otrząsnąć po wyborach prawicy. Ale ta zajmuje się obecnie łże-rozliczeniami i zrzucaaniem winy na innych, w tym na suwerena. W końcu z tym referendum proponowanym przez Ziemkiewicza jest jak ze starą zasadą amerykańskich prawników: na rozprawie nie zadawaj świadkowi pytania, jeśli nie wiesz, jak odpowie. A więc kolejność powinna być moim zdaniem inna – poważna kampania przed eurowyborami, dobry ich rezultat, analiza ich wyników, również co do innych krajów, montaż mocnej kampanii w Polsce, w końcu – jeśli już – referendum. I czekać, bo z Unią trzeba jak z krową – dać jej żyć i wypuścić na lodowisko. I sama się...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Koniec Rzeczypospolitej Autorytetów

Można by przypuszczać, że zwycięstwo Donalda Tuska oznacza triumf salonu, a zarazem restaurację projektu III RP. Nic bardziej mylnego. Po pierwsze, PiS jest nadal najpopularniejszą partią w Polsce; po drugie, Tusk powraca do władzy tylko dzięki silnej pozycji Trzeciej Drogi – formacji, która wbrew nakazom „Gazety Wyborczej” nie zgodziła się na projekt jednej listy; po trzecie wreszcie, salon III RP, salon autorytetów, nie miał żadnego wpływu na sukces opozycji. Wprost przeciwnie, takie osoby jak Adam Michnik, Krystyna Janda czy Tomasz Lis mogły tylko zaszkodzić Platformie Obywatelskiej. Najlepszym przykładem niedawny film Agnieszki Holland, która z pozycji autorytetu chciała pouczać Polaków, a odniosła skutek wprost odwrotny do zamierzonego, napędzając kampanię PiS.

Owszem, Kaczyński oddaje władzę, ale to wcale nie znaczy, że Polska zaraz cofnie się do czasów sprzed 2015 r.



Jan Fiedorczuk

Dwie kadencje PiS stanowiły walec, który przejechał po Polsce, domykając pewien etap w historii III RP. Lewicowo-liberalny salon odniósł pyrrusowe zwycięstwo – do władzy co prawda wróciła PO, ale same elity mogą jedynie marzyć o odzyskaniu swej moralnej hegemonii sprzed 2015 r. Po ośmiu latach Kaczyńskiego u władzy niektórych zmian już nie sposób cofnąć

Zmiany społeczne są zbyt głębokie, by to było możliwe. Dwie kadencje PiS całkowicie zmieniły Polskę.

OŚWIECONE AUTORYTETY

W 2015 r. Bartłomiej Sienkiewicz udzielił głośnego wywiadu „Kulturze Liberalnej”, w którym stwierdził, że osiem lat rządów PO było czasem „beprzykładowego rozwoju”, gdy Polsce udało się przełamać

„typowy dla głębokich peryferii” układ obowiązujący od XVIII w. Jak podkreślał były szef MSW, „oświeceni reformatorzy” od setek lat próbowali zmodernizować Rzeczpospolitą, jednak ich propozycje były odrzucane przez społeczeństwo. Dopiero Platformie oraz elitom III RP udało się przełamać ten zaklęty krąg.

Przeświadczenie, że elity muszą się mować z Polakami, legło u ideologicznych



dialnego monopolu, który ukształtował się w latach 90. Ataki na Pawła Zyzaka za pisanie o Wałęsie, rugowanie znaczenia Anny Walentynowicz, próba zaszufladkowania Zbigniewa Herberta jako czubka i oszołoma czy przebranie Jarosława Marka Rymkiewicza w strój faszysty i „ideologa skinów” – to tylko pierwsze z brzegu przykłady pokazujące, jak salon traktował swych przeciwników.

OBURZENIE KONFEDERACJA

Wzrost poparcia dla Konfederacji, która przez krótki czas walczyła nawet o pozycję trzeciej siły na polskiej scenie politycznej, został przywitany przez lewicowo-liberalne salony dokładnie tak samo, jak zwycięstwo PiS w 2015 r. – najpierw wyparciem, a następnie świętym oburzeniem i obrażaniem wyborców. Z sobie tylko przynależną subtelnością salon III RP przyjął od razu najcięższe działa w swym arsenale, zarzucając politykom prawicowej formacji faszystowskie skłonności. Mówiąc Leo Straussem, zastosowano klasyczne *reductio ad Hitlerum*. Dość znamienita była przedwyborcza seria twitterowych wpisów prof. Wojciecha Sadurskiego, który początkowo stwierdził, że skoro nadchodzące wybory będą wyborami „o wszystko”, to opozycja powinna „zatkać nos” i wejść w koalicję z Konfederacją. Ogrom oburzenia, który wywołał ten pomysł, zmusił popularnego wykładowcę do szybkiej korekty swych poglądów i złożenia publicznej samokrytyki.

Pojawienie się Konfederacji w poprzedniej kadencji Sejmu jest jednym z wielu symptomów upadku elit. Od niemal dekady obserwujemy kolejne kryzysy okrągłostołowego status quo. Najciekawsze jest jednak, że gromy, które są od ośmiu lat ciskane przez „oświeconych reformatorów” na szeroko rozumianą prawicę, nikogo nie przekonały – wprost przeciwnie, im mocniejsze anatemy rzucane pod adresem współczesnych „karłów reakcji”, tym wyraźniej widać, że salon III RP już nie ma żadnej mocy perswazyjnej. Tomasz Lis przestrzega, a młodzież dalej głosuje na Konfederację; Krystyna Janda poucza, a wyborcy dalej są nieskorzy do masowego wsparcia Donalda Tuska; nawet sama Agnieszka Holland kręci film, a obywatele dalej – po dwóch kadencjach – głosują na PiS.

Pierwsze symptomy tej zmiany w polskim społeczeństwie pojawiły się jeszcze przed dojściem PiS do władzy. To w 2014 r. Janusz Korwin-Mikke okazał się czarnym koniem eurowyborów, powracając do mainstreamowej polityki po całych latach niebytu. Jeszcze dotkliwszy musiał być dla salonów oddolny kult Żołnierzy Wyklętych, który mniej więcej w tym okresie zaczął nabierać na sile. To wtedy młodzi ludzie zaczęli oddolnie organizować obchody narodowych wydarzeń, skrzykiwać się na patriotycznych zbiórkach, zakładać, bez pomocy aparatu państwa, think tanki, kluby i organizacje. Setki kółek narodowych, klubów korwinistycznych, organizacji republikańskich – to wszystko świadczyło, że autorytety III RP poniosły dotkliwą porażkę. Nie wykształcili następców.

Jeśli spojrzymy na poparcie dla PiS, to też zobaczymy, że od 2005 r. ono sukcesywnie rosło. Nawet gdy partia Kaczyńskiego przegrywała wybory, to poparcie w liczbach bezwzględnych stale się zwiększało. I teraz, po dwóch kadencjach, serii wpadek i afer, gdy społeczeństwo powinno być w naturalny sposób zmęczone władzą, PiS kolejny raz uzyskał najwyższy wynik w kraju (aczkolwiek nieznacznie mniejszy niż w 2019 r.). Do tego na prawo od Kaczyńskiego nieoczekiwanie wyrosła jeszcze bardziej „radikalna” alternatywa, która cieszy się wysokim poparciem zwłaszcza wśród młodszych wyborców. Oświecone elity mogły zdobyć władzę polityczną i medialną, ale ich wpływ na społeczeństwo był umiarkowany i z biegiem lat ograniczył się do grupy ludzi i tak już przekonanych do projektu III RP – do pokolenia 50- i 60-latków, którzy w dorosłość wchodził w latach 80. i 90. i których wyobraźnię najpierw formatowała „Gazeta Wyborcza”, a następnie TVN, Onet czy TOK FM.

OJKOFOBIA STOSOWANA

Czemu elity III RP zawiodły? Czemu nikogo nie obchodzi, co do powiedzenia mają Adam Michnik, prof. Magdaleny Środa albo Agnieszka Holland, ale prawdziwe tłumy walą na spotkania ze Sławomirem Mentzenem?

Rolą elity jest przewodzenie społeczeństwu i nawet jeżeli to społeczeństwo jest przez nią krytykowane, to jedynie z troski o przyszłość wspólnoty. Tymczasem autorytety III RP zapomniały o tej

podstaw III RP. Profesor Zdzisław Krasnodębski w swojej pracy „Demokracja periferii” trafnie wskazał, że o ile klasyczny liberalizm zachodnioeuropejski kształtował się w oparciu o brak zaufania względem państwa, o tyle w Polsce po przemianach ustrojowych tradycja liberalna uformowała się na braku zaufania względem samego społeczeństwa. Lud trzeba kontrolować, bo inaczej odrodzą się demony nacjonalizmu, szowinizmu i ksenofobii. Jeszcze w 2011 r. Adam Michnik przyznawał w rozmowie z rosyjskimi mediami, że po przemianach ustrojowych obawiał się, że w Polsce dojdzie do antyrosyjskich pogromów. Ta myśl, że Polacy de facto jedynie czekają, aby chwycić za widły i pognać Żydów/Rosjan/Niemców, paraliżowała elity i prowadziła do prostej konstatacji – ten naród trzeba ucywilizować.

Istotą tamtego systemu nie było to, czy rządziły nominalna prawica czy lewica, tylko czy uzyskiwała akceptację „oświeconych reformatorów” oraz me-

FOT. WOLICIEH STRAŻYK/REPORTER

■ zasadzie, uznając, że to naród jest dla nich, a nie oni dla narodu. A skoro w ich mniemaniu Polacy do nich nie dorośli, to pozostało im jedynie się obrazić. Krystyna Janda, która stwierdziła, że nie odczuwa potrzeby komunikowania się ze społeczeństwem, jest najlepszą egzemplifikacją tegoż zjawiska, ale podobnie zachowywali się wszyscy pupile salonu. Jerzy Stuhr, Agnieszka Holland, Daniel Olbrychski itd. – wielu autentycznie wybitnych przedstawicieli świata kultury porażce ich ulubionej partii potrafiło jedynie obrażać społeczeństwo. Celebryci telewizyjni ogłaszali, że po zwycięstwie PiS emigrują z Polski, by pod palmami rozmyślać o konstytucji, celebryci polityczni pielgrzymowali do Brukseli z prośbą o interwencję, a celebryci kultury zaczęli udawadniać Polakom, że są głupim, ksenofobicznym narodem.

To zjawisko było doskonale widoczne w polskiej kinematografii ostatnich lat, bo przecież ojkofobiczny charakter świata kultury to nie tylko niedawna „Zielona granica”. Wcześniejszy film Holland, „Pokot” (na podstawie książki Olgi Tokarczuk), dowodził, że Polacy czerpią przyjemność z maltretowania zwierząt; „Twarz” Szumowskiej portretowała Polaków jako zdziczały, agresywny motłoch; kolejne, coraz słabsze pod względem artystycznym, filmy Smarzowskiego ukazywały społeczeństwo jako zbieraninę degeneratów, pedofilów, pijaków i złodziei, osiągając apogeum w filmach „Kler” oraz drugim „Weselu”; „Pokłosie” Pasikowskiego dowodziło natomiast, że Polacy to antysemita gotowi w XXI w. ukrzyżować kogoś czyszczącego żydowskie groby.

Szczególnie ten ostatni przykład jest znamieny, gdyż film wzorowany był na postaci Zbigniewa Romaniuka, który w latach 80. zajął się renowacją macew. Problem w tym, że o ile filmowy odpowiednik Romaniuka został brutalnie zamordowany przez zwyrodniałców z zapadłej, polskiej wsi, o tyle Romaniuk „prawdziwy” został... przewodniczącym Rady Miasta Brańsk.

Równolegle obserwujemy upadek mitu, jakoby autorytety III RP reprezentowały wyższą kulturę. Profesor Jan Hartman, który swobodnie rzuca mięsem na prawo i lewo, jest zapewne najbardziej wymowną ilustracją tego procesu

chamienia „ludzi na poziomie”, jednak podobne przykłady można mnożyć. Dość przypomnieć czas tzw. Strajku Kobiet, gdy największe media jak Onet czy „Gazeta Wyborcza” udzielały swych łamów intelektualistom i dziennikarzom, by bronili wulgarnej formy, którą przyjęły protesty. Tuzy intelektualne i najbardziej szanowani artyści, którzy wieszali psy na Andrzej Lepperze, a na widok Marszu Niepodległości łapali się za głowę, nagle, na pstryknięcie palcem, stanęli na baczność przed Martą Lempart.

Innymi słowy, elity III RP zawiodły, bo same zrezygnowały ze swojej roli przewodzenia wspólnocie na rzecz kibicowania konkretnemu obozowi politycznemu.

DOMKNIECIE ETAPU

Dwie kadencje PiS przeorały oblicze III RP. Nie tylko udowodniły, że prawica może przejąć stery władzy, lecz także unaoczyli, że sam projekt III RP się wyczerpał – wyczerpał się model, który funkcjonował od 1989 do 2015 r., gdy głos autorytetów był bezdyskusyjnie słuchany, a wszelkie krótkie chwile triumfu konserwatystów stanowiły jedynie pewną anomalię.

Po ostatnich latach powrót do status quo ante jest już niemożliwy. Obie kadencje PiS zmieniły oblicze polskiego ustroju politycznego

Dzisiaj, po rządach Kaczyńskiego, nie sposób mówić o anomalii. PiS i Konfederacja, ciesząc się łącznym poparciem ponad 40 proc. wyborców, stanowią obecnie polityczny mainstream, a to oznacza, że autorytety i elity poniosły klęskę. Wybory wygrał ich pupil, ale nie dzięki nim. Tusk raczej wygrał wybory pomimo autorytetów III RP czy wręcz – wbrew nim. Wszystko, przed czym ostrzegał salon przez lata, się ziściło. Im mocniej krzyczeli, tym wyraźniej widać było ich niemoc.

Po ostatnich latach powrót do status quo ante jest już niemożliwy. Obie kadencje PiS zmieniły oblicze polskiego ustroju

politycznego – obalenie konsensusu aborcyjnego oraz rewolucja w sądownictwie to dwa najbardziej oczywiste przykłady dalekosiężnych, fundamentalnych zmian, do których doprowadzono. Zmieniło się jednak również samo społeczeństwo, czego przykładem jest konflikt Polski z UE w ostatnich latach – za czasów świetności autorytetów wystarczyłoby, że Bruksela raz by huknęła na polski lud, by wymóc posłuszeństwo.

Być może historycy ocenią kiedyś, że dwie kadencje Kaczyńskiego to linia demarkacyjna kończąca projekt III RP. Nowy etap w dziejach Polski, który się właśnie rozpoczyna, oczywiście nie oznacza, że rodzi się Polska prawicowa. Badania najmłodszych pokoleń wyraźnie pokazują, że zanika centrowy elektorat, a przybywa wyborców o zadeklarowanych poglądach postępowych i konserwatywnych. Ale nawet jeżeli spojrzymy na młodych lewicowców, to mądrości salonu są dla nich skansenem rodem z lat 90. Leszek Balcerowicz to dla nich „kapitalistyczny wyzyskiwacz”, a Adam Michnik to niemalże reaktorista broniący Jana Pawła II. Poglądy młodych lewicowców i liberałów kształtują się bardziej pod wpływem ideologicznych trendów z Zachodu, propagowanych przez popkulturę, niż przez przebrzmiałe elity III RP. Widać to nawet na przykładzie kampanii Donalda Tuska, który robił ukłony nie w stronę salonu III RP (wszak czołowi celebryci PO na ostatniej prostej wyścigu wyborczego zostali wycofani w cień), tylko właśnie młodego pokolenia lewicy, powtarzając slogany, jakoby mieszkanki „było prawem, nie towarem”, a aborcja powinna być na życzenie.

Odchodzi zatem pokolenie wychowane na Balcerowiczu i Geremku, na Miłoszu i Michniku, odchodzi pokolenie „Gazety Wyborczej” i TVN, pokolenie „ludzi na poziomie”. Tym samym odchodzi sama „Rzeczpospolita Autorytetów”.

Bez względu na to, czy w najbliższych latach do głosu dojdą siły prawicy czy lewicy, to salon III RP wydaje się być na przegranej pozycji. Siłą inercji przetrwa jeszcze kilka lat, jednak tolerowany będzie w mainstreamie na tyle, na ile ideologicznie ulegnie młodszemu lewicowo-liberalnym kolegom. Sam już nie ma siły, by narzucać komukolwiek jakieś zasady.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

Cuchnące pieniądze

Rzymski cesarz Wespazjan na uwagi, że opodatkowanie miejskich szaletów nie przystoi powadze jego urzędu, miał odpowiedzieć: „Pecunia non olet”, czyli pieniądź nie cuchnie. W istocie nie, ale wiąże się to m.in. z nielegalnymi, wręcz cuchnącymi praktykami finansowania partii i organizacji politycznych, co jest zjawiskiem bardzo w świecie rozpowszechnionym.

Nie ma wątpliwości, że mistrzami w przepływie takich pieniędzy na finansowanie własnych przedsięwzięć byli komuniści. Podczas rewolucji sowieckiej 1917 r. stałą praktyką było doszczętne łupienie zwłaszcza cerkwi i kościołów z wszelkich precjozów, ponieważ bolszewicy potrzebowali gotówki na rozszerzającą się działalność i krzewienie rewolucji światowej.

W związku z tym zasiliła obficie „bratnie partie”, które powstawały właśnie w tym celu w różnych krajach świata. Odrodzona Polska, powstająca z popiołów po pierwszej wojnie światowej, była dla nich państwem frontowym, wyjściem na zrewoltowaną Europę. Dlatego na finansowanie Komunistycznej Partii Robotniczej Polski (KPRP – wkrótce KPP) funduszy nie brakowało. Ponadto oprócz zasilania agentur przez Sowietów musiały one same troszczyć się o „byt”, czego wyrazem było zezwolenie na dokonywanie spektakularnych akcji finansowych. Sprowadzało się to do napadów na bardziej

mających obywateli, co często połączone było z krwawymi ofiarami. Wystarczy zapoznać się np. z partyjnym życiorysem „funka” (funkcjonariusza Kominternu) Mendla Kossoja vel Wacława Komara.

Z czasem wypracowane zostały inne metody – czyli nielegalne przetrzymywanie funduszy z Sowietów do II RP przez niezbyt dokładnie pilnowaną granicę. Powstała w ten sposób pewna specjalizacja najbardziej zaufanych kurierów i kurerek, przetrzymywanych przez granicę ze sprawozdaniem i z informacjami wywiadowczymi. W drodze powrotnej zabierali gotówkę na bieżącą działalność komuny. Niektórzy z nich jednak wpadali na granice i podczas przeszukań i dokładnych rewizji ujawniane były przeniesione przez nich „depozyty”.

Taki los spotkał m.in. towarzyszkę Belę Frenkiel ze Lwowa (żonę Józefa Goldberga, później bardziej znanego jako „Józef Różański” z MBP, słynącego z wyjątkowego sadyzmu). Bela, według wspomnień innego funkusa Ensela Stupa, przenosiła banknoty tysiąc dolarowe (!)... „w intymnym miejscu”. W tym sensie były to cuchnące pieniądze. Co ciekawe, po przeszukaniu i ujawnieniu tych zwłoków zostały one oddane ich posiadaczce!

Znajomości w międzynarodowych kręgach bankowych pozwalały wymieniać takie nominaty (które przecież nie były w powszechnym obiegu) na złote polskie. ©©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Organizacja Bojowa PPS

W 1904 r. Rosję ogarnęło rewolucyjne wrzenie, radykalizacji mas robotniczych towarzyszyły strajki i demonstracje uliczne na niespotykaną wcześniej skalę. Interweniowały policja i wojsko, padali zabici i ranni. Imperium Romanowów pogrążyło się w chaosie rewolucyjnym, co kierownictwo PPS początkowo ignorowało. Lekceważenie wydarzeń groziło jednak wyeliminowaniem partii z życia politycznego, co podkreślali młodzi działacze. Dla nich zresztą najważniejszą sprawą była rewolucja społeczna, a sprawa niepodległości Polski schodziła na plan dalszy. Niebawem miało stać się to przyczyną rozłamu w PPS.

„Młodzi” i „starzy” socjaliści w jednym byli zgodni – demonstracjom organizowanym przez partię należało zapewnić ochronę. Jeszcze w maju 1904 r. w Warszawie powstały pierwsze grupy bojowe (Bronisław Berger i Walery Sławek). Bojownicy nie byli jeszcze uzbrojeni w broń palną (posiadali ciężkie laski), jednakże był to załączek przyszłej organizacji bojowej. Jej debiut (już z bronią palną) nastąpił w niedzielę, 13 listopada 1904 r., na placu Grzybowskim w Warszawie. Podczas demonstracji doszło do bezładnej strzelaniny – zginęło jej sześciu uczestników, straty policji i wojska nie są znane. Początek trudno

uznać za udany, było zbyt wiele improwizacji, bojownicy nie potrafili poddać się dyscyplinie, brakowało scentralizowanego dowodzenia. Nie przestrzegano również zasad konspiracji i niebawem policja carska przeprowadziła skuteczne aresztowania.

W październiku 1905 r. szefem Wydziału Spiskowo-Bojowego PPS został Józef Piłsudski. Na jego polecenie powstała w Krakowie szkoła bojowa (Władysław Jaxa-Rożen pseudonim Barnaba). Kilku tygodniowe kursy (wzięło w nich udział ok. 100 osób) miały przygotować kadry dla Organizacji Bojowej PPS. Do programu wprowadzono naukę o broni, zasadach dywersji, terenoznawstwo, wynajmowano prywatne strzelnice na zajęcia praktyczne. Na specjalne polecenie Piłsudskiego w programie pojawiła się musztra, nadając szkole zdecydowanie wojskowy charakter.

Podczas rewolucji lat 1904 i 1905 Komendant uniknął jednak bliskich kontaktów z działaczami rosyjskimi. Popierał natomiast współpracę z socjalistami innych narodowości carskiego państwa, obawiał się bowiem, że zwycięstwo rewolucji rosyjskiej niczego nie zmieni w sytuacji Polski. Zwycięzcy przeobrażą się w imperialistów, a nowa Rosja stanie się jeszcze gorszym prześladowcą. I jak okazało się w przyszłości, miał całkowitą rację... ©©



Z prof. Jakubem Politem, historykiem,
autorem książki „Polityka zagraniczna Republiki Chińskiej 1911–1949”
rozmawia Tomasz D. Kolanek

Technokraci i dyplomaci



Prezydent Czang Kaj-szek (w środku) i Mao Zedong
(z prawej) z ambasadorem USA w Chinach Patrickiem
J. Hurleyem, 1945 r. FOT. UNIVERSAL HISTORY ARCHIVE/GETTY IMAGES

TOMASZ D. KOLANEK: Czym była i czym jest Republika Chińska? Pytam, ponieważ Chiny są kojarzone albo jako cesarstwo, albo jako państwo komunistyczne, ale niemal nigdy jako republika.

PROF. JAKUB POLIT: To, co pan powiedział, jest bardzo znamienne, ponieważ istnieje tendencja, żeby o Republice Chińskiej zapominać. Prosty przykład, który jest bardziej znany, niż na to zasługuje: w dziele Henry'ego Kissingera „O Chinach” pierwsza część to rozmaite wyimki autora na temat cesarstwa, a druga część to opis Chińskiej Republiki Ludowej. Ani słowa o Republice Chińskiej, która była – a w pewnym sensie dalej jest, tylko że nie traktatowym – sojusznikiem USA.

Jest kilka powodów tego rodzaju stereotypu, a pierwszym mogą paradoksalnie być wyrzuty sumienia. Sposób, w jaki Republika Chińska zeszła może nie z tego świata, ale z kontynentu Azji, bo trzeba pamiętać, że przetrwała dalej na Tajwanie, to efekt opuszczenia jej przez zachodnich aliantów, przede wszystkim przez Stany Zjednoczone.

Kolejny powód to chęć zapomnienia. Nie tak dawno znany autor holenderskiego pochodzenia Frank Dikotter napisał niewielkich rozmiarów dzieło pt. „Era otwartości” („The Age of Openness”), w którym zwrócił uwagę, że wszystko, czym obecnie szczyti się ChRL jako przełomem zapoczątkowanym po śmierci Mao Zedonga, a więc swobodnym napływem kapitału, pluralizmem kulturalnym, różnego rodzaju inicjatywami potrafiącymi wybujać niemal spod ziemi etc., już było. Jego zdaniem takim kosmopolitycznym, otwartym na świat, burzliwie rozwijającym się – także w sferze intelektualnej – krajem była Republika Chińska.

Republika Chińska to Chiny, ale znajdujące się pod pewnym wpływem myśli zachodniej, w tym chrześcijańskiej. To kraj dokonujący rozmaitych eksperymentów z przyswojeniem zachodniej myśli politycznej, a o tym chciałoby się dziś jak najszybciej zapomnieć.

Czytając pana książkę pt. „Polityka zagraniczna Republiki Chińskiej 1911–1949”, odniosłem wrażenie, że ten kraj, to państwo powstało przez przypadek. Czy tak właśnie było? A może to jakaś nieuchronna konieczność dziejowa i monarchia musiała przekształcić się w republikę?

To dobre pytanie, ale chyba przede wszystkim dla filozofów. Odpowiem pytaniem: Czy państwo polskie w roku 1918 powstało przez przypadek?

Z jednej strony można powiedzieć, że tak, ponieważ warunkiem był niebywały zbieg okoliczności, czyli klęska wszystkich mocarstw zaborczych, czego sobie nikt wcześniej nie wyobrażał. Zarazem jednak nieprzypadkowo, bo naród polski dążył do przywrócenia niepodległości.

Można więc powiedzieć, że aczkolwiek w początku XX w. absolutnie nikt nie spodziewał się, że najstarsza z istniejących na świecie monarchii przekształci się w najmłodszą na świecie republikę, w zasadzie pierwszą republikę w Azji, to jednak pewne wydarzenia, które miały miejsce w Chinach po roku 1908, po śmierci cesarzowej wdowy Cixi będącej ostatnim prawdziwym suwerenem na chińskim tronie, nieuchronnie wiodły w stronę takiego rozwiązania. Innymi słowy: nie było to absolutnie nieuchronne, ale w pewnym momencie gra wydarzeń doprowadziła do takiego zwrotu, że już wrócić do punktu wyjścia się nie dało.

Dlaczego w ogóle podjął pan tytułowy temat swojej najnowszej książki? Przecież lata 1911–1949, ale wcześniej i później również, to niekończąca się wojna domowa w Chinach, to kolejne wojny zewnętrzne rozgrywane na terytorium Chin, to nieustanna walka o władzę. Czy w takich warunkach jest w ogóle miejsce na politykę zagraniczną?

Formułując to pytanie, zawarł pan w nim, choć pewnie bezwiednie, odpowiedź. Powiem szczerze, że frapował mnie ten fenomen, dlatego że rzeczywiście wydawałoby się, iż Chiny były państwem właściwie jedynie z nazwy. Nie posiadały one np. rządu centralnego, a jeżeli nie posiada się rządu centralnego, tylko istnieje kilka ośrodków, które ową politykę próbują prowadzić, to w takim razie nie może być mowy o polityce zagranicznej, gdyż jest to ex definitione niemożliwe.

Właśnie dlatego mamy do czynienia ze swego rodzaju fenomenem, który zresztą dostrzegł recenzent wydawniczy mojej książki, prof. Jakub Wojtkowiak. Wskazał on, że zbiorowym bohaterem mojej

pracy jest zespół nowoczesnych dyplomatów chińskich.

Nowoczesnych?

Tak, ponieważ Chiny, które przodowały we wszystkich dziedzinach kultury i nauki w dawnych wiekach i tysiącletnich i które pretendują do wymyślenia rozmaitych, niemal wszystkich wynalazków naszego świata, nie miały czegoś takiego jak ministerstwo spraw zagranicznych. Prowadzeniem spraw zagranicznych w cesarskich Chinach zajmowały się rozmaite resorty rządu, a nie jeden urząd jako taki.

Nowoczesna polityka zagraniczna to dopiero wiek XX, to dopiero rozpoczęcie pracy w Chinach przez absolwentów zachodnich uniwersytetów, wówczas ludzi bardzo młodych, którzy albo byli z wyznania chrześcijanami, albo zetknęli się z nauką chrześcijańską, bo często kończyli uniwersytety prowadzone przez misjonarzy. Z powodu wieku nie można ich było zatrudnić w cesarstwie chińskim, ponieważ wówczas mieli lat naście i dopiero po dojściu do władzy Yuan Shikaia jako pierwszego prezydenta Republiki Chińskiej mogli rozwinąć swoje skrzydła. Właściwie do katastrofy Republiki Chińskiej na kontynencie, czyli do roku 1949, ludzie ci nie tylko nie zeszli z tego świata, lecz także w większości nie zdążyli nawet porządnie się zestarzeć.

Była to ekipa swoistych technokratów albo – mówiąc bardziej górnolotnie – patriotów mówiących, że będą bronić chińskiej sprawy, jakkolwiek ona by była. Byli to ludzie, którzy służyli kolejnym zmieniającym się u steru w Pekinie reżimom. Byli oni pozostawiani na stanowiskach przez

obejmujących periodycznie władzę dyktatorów, przede wszystkim generałów, ponieważ nie było innych kompetentnych ludzi.

Mało tego! Kiedy pojawiały się alternatywne ośrodki władzy, kiedy na pewien czas wyrósł na południu odrębny od pekińskiego rząd w Kantonie, a potem w Wuhanie nastąpiło coś nieprawdopodobnego. Niektórzy przedstawiciele tej grupy zwanej czasami w historiografii (z powodu miejsca swojego wykształcenia) grupą anglo-amerykańską nie tylko byli zapraszani do prowadzenia tam resortu spraw zagranicznych,



JAKUB POLIT
„POLITYKA
ZAGRANICZNA
REPUBLIKI
CHIŃSKIEJ
1911–1949”
ARCANA 2023

■ lecz także – co jest chyba kuriozum jedynym w dziejach świata – podczas konferencji międzynarodowych rozmaite rządy zwalczające się na lądzie samych Chin potrafiły się porozumieć i wysyłały za granicę zwartą i zjednoczoną ekipę dyplomatów. Dlaczego? Właśnie dlatego, że była ona złożona z tych samych ludzi, którzy niejako zamieniali się rolami. Ale też istniała pewna bariera ostateczna, której ci ludzie przekroczyć nie tyle nie potrafili, ile nie chcieli, a mianowicie rządy komunistów chińskich. W roku 1949 pojawił się w Chinach reżim, na którego służbę pójść nie zamierzali, nie pozwalało im na to sumienie. Rozpoczęła się zupełnie nowa epoka także w dziejach chińskiej polityki zagranicznej.

W „Polityce zagranicznej...” kilkakrotnie zwraca pan uwagę, że to właśnie w czasie Republiki Chińskiej Państwo Środka na 100 proc., a nie tylko częściowo zakończyło epokę izolacjonizmu i otworzyło się na świat...

Z całą pewnością. Odrzucono przede wszystkim kompleks Państwa Środka, polegający na tym, że w zasadzie prawdziwym państwem jest tylko państwo chińskie, a wszystkie inne twory polityczne znajdujące się na zewnątrz są barbarzyńcami, z którymi należy rozmawiać wyłącznie w ściśle określony i zhierarchizowany sposób. Tutaj rzeczywiście Chińczycy mieli bardzo trudną barierę do przekroczenia. Trzeba pamiętać bowiem, że w Europie już od czasów antycznej Grecji istniał model wielości politycznych bytów, które mogły się niszczyć i wyniszczać podczas wojen, ale w sytuacjach idealnych, np. w Olimpii, były sobie równe. Tak samo było w średniowiecznej Res Publica Christiana, gdzie wszyscy królowie nie tylko tytułowali się braćmi, lecz także twierdzili, że każdy z nich jest cesarzem w swoim królestwie, a więc istnieje suwerenna równość podmiotów rozmaitej władzy.

W Chinach tego nie było i przede wszystkim stąd wynikała całkowita ich niezdolność do konfrontacji ze światem zewnętrznym, który okazał się niespodziewanie silny.

Tutaj rzeczywiście wspomniana grupa dyplomatów musiała przystępować do gry w zupełnie nowej sytuacji. Nie tylko nie było w niej mowy o żadnej dominacji, ale chodziło o wyjście z podporządkowania. Udało im się tego dokonać. A przecież

W 1911 r. Chiny wchodziły do gry jako republika, będąc nawet formalnie krajem niesuwerennym, z obcymi wojskami stacjonującymi na swoim terytorium

w roku 1911 Chiny wchodziły do gry jako republika, będąc nawet formalnie krajem niesuwerennym, ze znaczną częścią miast posiadających rządzone przez cudzoziemców dzielnice, z obcymi wojskami stacjonującymi na swoim terytorium. W 1949 r. były usuwane z kontynentu jako teoretycznie supermocarstwo posiadające w Organizacji Narodów Zjednoczonych prawo weta i stałe miejsce jako nominalny współwłodarczy naszego globu.

W roku 1924 Kuomintang zawarł sojusz z Komunistyczną Partią Chin, a stało się to na wyraźne żądanie ZSRS. Jak na to patrzeć? Czy Republika Chińska szukała sojusznika? A może chińscy dyplomaci wówczas wierzyli w komunizm?

Od razu sprostowanie. W roku 1924 Kuomintang nie jest partią rządzącą Republiką Chińską. Jest to partia znajdująca się wówczas w opozycji i kontrolująca właściwie tylko miasto Kanton. W kraju, w którym wrze wojna domowa, jest to jedna ze stron w tejże wojnie.

W roku 1924 ZSRS utrzymuje oficjalne, teoretycznie bardzo poprawne, stosunki z rządem w Pekinie, w którym Kuomintang w ogóle nie jest obecny. Sojusz, o którym pan mówi, bardzo ważna zresztą rzecz, to nie jest sojusz formalno-państwowy między dwoma ośrodkami władzy. Jest to układ niejako prywatny, firmowany przez Komintern, a nie przez państwo sowieckie. Jest to porozumienie między Sun Yatsenem – przywódcą Kuomintangu – oraz człowiekiem znanym z historii Polski – Adolfem Joffem, który kilka lat wcześniej podpisał w Rydze traktat pokojowy z Polską.

O co chodziło Sowietaom?

To nie jest do końca jasne. Oprócz tego, że na pewno m.in. chodziło o spowodowanie fermentu w Chinach i o wsparcie tamtejszych żywiołów komunistycznych, skądinąd niezmiernie słabych, chodziło im także o „podłożenie

świni” Brytyjczykom, którzy uważani byli za głównego przeciwnika Sowieców, a którzy w Chinach byli najsilniejszym mocarstwem. Wreszcie najprawdopodobniej chodziło także o uzyskanie bazy sowieckiej w Chinach Południowych.

Doszło jednak do uruchomienia lawiny wydarzeń, która nie dała się zatrzymać. Już po śmierci Sun Yatsena armia, którą stworzył Kuomintang, zresztą przy pomocy sowieckich doradców, startując ze skrajnego południa Chin, przemierzyła cały kontynent, kończąc swój marsz na dalekiej północy, czyli w Pekinie, bo nazwa Pekin oznacza „Północna stolica”.

Chiny zostały wówczas po raz pierwszy od ponad 10 lat zjednoczone, ale już nie jako przyjaciel ZSRS. Albowiem w trakcie tej długiej ekspedycji między komunistami a Kuomintangiem doszło do dramatycznego zerwania.

Zerwania i czystki Czang Kaj-szeka...

Tak. Czang Kaj-szek stał się nie od razu następcą Sun Yatsena. To jest znowu bardzo szczególna sprawa, ponieważ szczególnym organizmem był Związek Sowiecki, gdzie z jednej strony rząd, czyli Rada Komisarzy Ludowych, formalnie rozmawiał z innymi rządami jako ze swoimi kolegami, wymieniał rozmaite dokumenty na bazie absolutnej równości, ale z drugiej strony formował i firmował swego rodzaju osobliwy twór, wywołany już Komintern, czyli Międzynarodówkę Komunistyczną, za pomocą którego chciał obalić te same rządy, z którymi utrzymywał partnerskie stosunki.

Czang Kaj-szek, który stawał się w tym czasie faktycznym szefem Republiki Chińskiej, gotów był utrzymywać nie tylko przyjazne, lecz także sojusznicze stosunki z państwem sowieckim. Ale nie chciał tolerować u siebie partii, która byłaby koniem trojańskim Kominternu. Krótko mówiąc: chciał on traktatować z Sowiecami nieco podobnie jak wiele lat później prezydent Egiptu Gamal Abdel Naser, który, owszem, wykorzystywał sojusz z ZSRS przeciwko Amerykanom czy Izraelczykom, ale własnych komunistów wtrącał do więzień i przekazywał w ręce katów. Okazało się jednak, że w latach 20. tak rzeczy traktować nie było można. Jeżeli ktoś dobrał się do skóry komunistów, to zasługiwał ze strony ZSRS tylko na najbardziej żarliwą nienawiść.

A jak wyglądała sztuka dyplomacji Republiki Chińskiej z innymi państwami? Chodzi mi tu przede wszystkim o te kraje, które przed powstaniem republiki, mówiąc najdelikatniej, panoszyły się po Państwie Środka i chciały z niego jak najwięcej wycisnąć.

Zaskakująco dobrze, aczkolwiek trzeba tutaj uczynić pewne zastrzeżenie. W dziejach Chin lata 1927–1928, czyli przejęcie władzy jak Kuomintang, stanowią taką samą cezurę czasową jak w dziejach II RP zamach majowy. Można byłoby mówić, że jest to inne państwo, np. II Republika Chińska. Ponieważ jednak politykę zagraniczną prowadziło nadal grono wspomnianych wcześniej technokratów, którzy występowali przed zagranicą, nawet używając swoich zachodnich, chrześcijańskich imion, np. minister Koo używał imienia Wellington, wobec tego na zewnątrz ta różnica nie była taka drastyczna i to przejęcie władzy przez rewolucjonistów z partii Sun Yatsena nie było takie przełomowe.

Republika Chińska pod rządami Ciang Kaj-szeka zamierzała rozmontować kurtelę mocarstw legalnymi środkami, bardzo powoli. Można to porównać do reformy rolnej dokonywanej jednocześnie w Polsce międzywojennej, gdzie oddawano ziemię rolnikom, spłacając pewną część jej własności dotychczasowym właścicielom, ale na warunkach bezwzględnej własności notarialnej. W Chinach chodziło o to, żeby mocarstwa wycofały się z Chin, zachowując twarz, a jednocześnie najformalniej na papierze i z pieczętkami przyznając Chińczykom wszelkiego rodzaju utracone dawniej przywileje. Trzeba podkreślić, że to się udało. Do wybuchu wojny z Japonią w roku 1937 Zachód niemal całkowicie wycofał się z ładu Chin. Dawne koncesje zniknęły z dwoma wyjątkami: Hongkongu i dzielnicy międzynarodowej w Szanghaju, a i prawdopodobnie te wyjątki zostałyby zlikwidowane, gdyby nie najazd japoński. Innymi słowy: potrafiono zachować dobre, a nawet bardzo dobre stosunki z Wielką Brytanią – głównym potentatem w Chinach i głównym inwestorem oraz patronem handlowym; ze Stanami Zjednoczonymi; z Francją; z mniejszymi, a liczącymi się na Dalekim Wschodzie państwami jak Holandia, która władała ogromnym Archipelagiem Sundajskim; jak Belgia; jak Portugalia, która władała enklawą Makau i wieloma innymi. Były jednak dwa wy-

jątki, które otaczały Chiny niczym Scylla i Charybda i które zagrażały ich przetrwaniu jako państwa suwerennego. Chodzi o ZSRS i imperium japońskie. Tutaj nawet najbardziej nieprawdopodobne dyplomatyczne piruety nie mogły rekompensować słabości militarnej i gospodarczej państwa.

Dlaczego? Nie można było zawrzeć jakiegos sojuszu? Podpisać jakiegos gwarancji bezpieczeństwa bądź jakże popularnego w tamtym czasie paktu o nieagresji?

Tutaj nasuwają się – choć być może powierzchowne – paralele między położeniem ówczesnego państwa polskiego a położeniem Republiki Chińskiej. Nie chodzi o to, że istnieje jakieś tajemne pokrewieństwo genetyczno-umysłowe między Polakami a Chińczykami, ale z powodu znanego powiedzenia Tukidydesa o powtarzalności pewnych wydarzeń historycznych.

Rzeczywiście w latach 30. Chiny usiłowały podpisać układy z Moskwą i Tokio. Przywrócono stosunki dyploma-

kwesii w czasie. Natomiast ceną za prawdziwą przyjaźń, za prawdziwy sojusz byłoby zwasalizowanie i z tego sobie dobrze zdawano sprawę. Podobnie jak w wypadku II RP postanowiono uciec się z jednej strony do dyplomatycznego żonglowania, a z drugiej ratunku poszukiwano w związkach z mocarstwami dalszymi, przede wszystkim anglosaskimi oraz Francją.

Ale przecież niecałe ćwierć wieku wcześniej Rosjanie dostali „baty” w wojnie z Japonią. Dlaczego w związku z tym Tokio zdecydowało się zaatakować Chiny, a nie ZSRS? Japonia nie wiedziała, że ZSRS szykuje się do wojny na zachodzie, a nie na wschodzie?

Ma pan rację, ale niestety myśli pan logicznie, a logika nie zawsze jest najlepszym kluczem do polityki. Można odpowiedzieć pytaniem na pytanie: Dlaczego Londyn i Paryż, widząc, co się działo z państwami najeżdżanymi przez Niemców, nie udzieliły we własnym interesie pomocy Polsce w 1939 r.?

Wracając na twardy grunt faktów: o kierunku polityki zagranicznej Japonii decydowały wówczas rozmaite frakcje. Nigdy nie było pewne, co uczyni rząd w Tokio i kto właściwie w tym kraju rządzi. Istniało stronnictwo domagające się przede wszystkim wojny z ZSRS oraz zbliżenia z Republiką Chińską, ale zostało ono rozgromione po próbie przejęcia władzy w roku 1936. Nie stało się ostatecznie tak, że to jakaś konkretna polityka przesądziła o inwazji na Chiny, tylko doprowadził do tego zbiór swego rodzaju przypadków. Można powiedzieć, że jeżeli ktoś bawił się zapałkami w pobliżu prochu, to fakt, że tego akurat dnia wybuchł pożar, był przypadkiem. Niemniej: jeśli zabawa trwała nieustannie 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, to stawało się pewne, że wybuch musiał nastąpić. Tak się rzeczywiście stało. Chińczycy uwielbiają cyfrowe kalambury. W dniu potrójnej siódemki – 7 lipca 1937 r. – wybuchła wojna, która miała przynieść zagładę Republiki Chińskiej. Komuniści wymierzili tylko cios dobijający.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

W 1935 r. nastąpiło zbliżenie z Japonią. Wyspiarskie cesarstwo stało się jednym z pierwszych krajów, który podniósł swoje przedstawicielstwo w Chinach do rangi ambasady

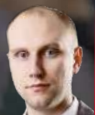
tyczne z Kremlen zerwane z powodu antykomunistycznej czystki. Potem doprowadzono nawet do podpisania paktu o przyjaźni i nieagresji w roku 1937.

Nieco wcześniej, w roku 1935, nastąpiło zbliżenie z Japonią. Wyspiarskie cesarstwo stało się jednym z pierwszych krajów, który podniósł swoje przedstawicielstwo w Chinach do rangi ambasady.

Prawie się udało, ale – jak wiadomo – „prawie się udało” oznacza, że się nie udało. Powód był podobny jak w wypadku II RP – nie można się było naprawdę przyjaźnić z tymi dwoma mocarstwami jednocześnie. Zbliżenie z jednym wywoływało dąsy drugiego. Owszem, balansowanie pozwalało straszyć raz jednego, raz drugiego, ale było to tylko odłożenie samej



prof. Jakub Polit – historyk, pracownik Instytutu Historii UJ, zajmujący się historią powszechną XX w., zwłaszcza historią Chin i Japonii.



Z dr. Wojciechem Szewką, znawcą stosunków międzynarodowych na Bliskim Wschodzie rozmawia Piotr Włoczyk

Wielki plan ajatollahów

PIOTR WŁOCZYK: Iran marzył o takim rozwoju wydarzeń na Bliskim Wschodzie?

DR WOJCIECH SZEWKO: Wątpię, by Iran był zadowolony z tego, co się tam dzieje. Jego bezcenne zasoby na Bliskim Wschodzie, przede wszystkim Hezbollah, są obecnie zagrożone. Iran postawiony jest w tej chwili pod ścianą. Z jednej strony nie może być zupełnie bierny, ponieważ w ten sposób traci wiarygodność jako arcywróg Izraela, ale z drugiej strony nie może sobie w tym momencie pozwolić na wywołanie wojny, szczególnie gdy w regionie znalazły się potężne siły amerykańskie.

Musimy rozumieć, że atak z 7 października nie był akcją kierowaną przez Iran, tylko Hamas. W ten sposób Hamas zmusił wszystkie państwa i organizacje na Bliskim Wschodzie do zajęcia wyrażonego stanowiska wobec tego konfliktu. To nie jest komfortowa sytuacja dla nikogo w regionie.

Iran trzyma Hezbollah na smyczy na czarną godzinę?

Tak. Nie po to Irańczycy budowali w Libanie zdolności do prowadzenia wojny z Izraelem na dużą skalę – szacuje się, że Hezbollah ma ok. 150 tys. rakiet – żeby teraz zużyć to wszystko w „przedstawieniu” zorganizowanym przez Hamas. Tym bardziej że Hamas to zupełnie inny odłam świata islamu – jest to przecież organizacja sunnicka, część Bractwa Muzułmańskiego, której bliżej jest do Al-Kaidy niż do szyickiego Hezbollahu. A ten ostatni uważa wręcz wspomniane organizacje sunnickie za swoich naturalnych wrogów. Oczywiście w pewnych sytuacjach, chwilowo, mogą oni ze sobą współpracować, ale generalnie to jednak są wrogowie. Hamas był wprawdzie beneficjentem irańskiej pomocy wojskowej, ale tylko jako przeciwnik Izraela. To nie jest organizacja kierowana przez Iran, tak jak Hezbollah

czy Huti w Jemenie. Nawiasem mówiąc, jeszcze do niedawna Hamas był wrogiem Iranu i żołnierze Hamasu walczyli z Irańczykami pod Aleppo.

Ale jednak Hezbollah ostrzeliwuje północ Izraela...

Obecne ataki w wykonaniu szyickich milicji to jedynie symbolika, „kurtuazyjny ostrzał”. Iran oczywiście chciałby wojny z Izraelem, ale na własnych warunkach, na pewno nie teraz, gdy Amerykanie podciągnęli na Bliski Wschód potężne siły.

Ostatnie, długo wyczekiwane przemówienie przywódcy Hezbollahu, Hasana Nasr Allaha, zaskoczyło ekspertów?

Raczej nie. Jeszcze przed tym przemówieniem postawiłem tezę, że Hezbollah przystąpi do wojny jedynie w dwóch przypadkach: jeśli zostanie tak zaatakowany, że nie będzie miał wyjścia – Bejrut zostanie zbombardowany albo Izrael przeprowadzi

Ajatollah Ali Chamenei, Najwyższy Przywódca Islamskiej Republiki Iranu, powiedział na spotkaniu ze studentami, że państwa islamskie nie powinny współpracować gospodarczo z Izraelem

FOT. SALAMPPIX/ABACA/PAP



Anonimowi urzędnicy izraelscy tłumaczą w amerykańskiej prasie, że w doktrynie izraelskiej prawdziwym wrogiem jest Hezbollah. I w związku z tym niemal wszystkie siły, również wywiadowcze, skierowane są na północ. Hamas nigdy nie był brany pod uwagę jako egzystencjalne zagrożenie. Hamas to zaledwie 5–10 tys. bojowników, tymczasem Hezbollah to armia licząca ok. 100 tys. żołnierzy.

Teraz słyszymy też głosy z Izraela, że hamasowców przedarło się nie tysiąc, ale dwa tysiące i że w ogóle stało za tym rosyjskie GRU. Dla Mosadu przegrać z GRU nie jest aż takim wstydem. Gorzej wygląda przegrana z samym Hamasem, przypuszczającym zmasowany atak z enklawy kontrolowanej w 100 proc. – jak to się mogło wydawać – przez Izrael...

Czyli nie ma co szukać w tym drugiego dna?

Wszystko wskazuje na to, że za Hamasem nikt inny nie stał. To była szalenie ważna akcja dla przyszłości tej organizacji, swego rodzaju akt założycielski, choć Hamas ma już ponad 30 lat. W pierwszej intifadzie hamasowcy nie wzięli udziału; od zawsze byli oskarżani o to, że są agenturą Izraela, co zresztą jest prawdą, bo to Izraelczycy stworzyli Hamas jako przeciwwagę dla Fatahu. Z taką „renomą” trudno być legendą ruchów narodowo-wyzwoleńczych i zyskać respekt na Bliskim Wschodzie. Wszystkim wydawało się, że hamasowcy bardziej zajmują się walką z Fatahem niż z Izraelem. Atakiem z 7 października przebili jednak wszystko, co zrobiły na Bliskim Wschodzie inne organizacje terrorystyczne. Hamas awansował z terrorystycznej ligi okręgowej do ekstraklasy.

Nie ma też co wskazywać palcem na Iran?

Dzięki atakowi Hamasu zamrożone zostało bardzo istotne porozumienie Izraela z Arabią Saudyjską.

Iran sam znormalizował niedawno swoje stosunki z Arabią Saudyjską i teraz najważniejszym celem jego polityki zagranicznej jest taka normalizacja stosunków z USA, która doprowadziła by do wznowienia układu atomowego i odmrożenia kilkudziesięciu miliardów dolarów. Dzięki tym pieniądзом Iran będzie mógł prowadzić prawdziwą politykę zagraniczną i realizować cele, na których naprawdę mu zależy.

Czyli?

Iran potrzebuje tych odmrożonych miliardów oraz zniesienia embarga na sprzedaż ropy, by wspierać trzy państwa, które znajdują się w jego orbicie: Irak, Syrię i Liban. Stworzenie takiego „pasa szyckiego”, ciągnącego się od Iranu do Morza Śródziemnego, oznaczałoby powstanie czegoś na kształt imperium, gdzie Iran byłby spiritus movens. Nie zapominajmy też o flance południowej, czyli Jemenie, gdzie Iran ma potężne wpływy. Stworzenie takiego układu pozwoliłoby Teheranowi na wpływanie właściwie na cały Bliski Wschód i kontrolowanie ogromnych zasobów ropy naftowej, co oddziaływałoby na cały świat.

Ale żeby zdobyć środki konieczne do zbudowania tego regionalnego układu, Iran musiałby zrezygnować z bomby atomowej.

W kontekście ostatnich wydarzeń w Gazie Irańczycy mogą się nad tym dwa razy zastanowić. Widać, że Izraela nie odstrasza przed stosowaniem siły żadne konwencje i układy, tylko strach przed bombą atomową. Pytanie, jaką kalkulację przeprowadzi tu Iran. Mamy małą próbkę tego, co Iran potrafił zdziałać, gdy Obama odmroził mu na chwilę pieniądze. Wojna w Syrii została wygrana właściwie dzięki Iranowi, to samo z wojną w Jemenie. Konflikt w Iraku z Państwem Islamskim został wygrany nie dzięki – lub nie tylko dzięki – Amerykanom, lecz właśnie dzięki Iranowi. Ajatollahowie pokazali, że potrafią całkiem sporo, nawet bez broni atomowej.

A dziś przyglądają się temu, jak ogromna część świata odwraca się od Izraela i USA. Mamy już koalicję 140 krajów, które otwarcie występują na forum ONZ przeciw polityce izraelskiej wobec Palestyńczyków. Iran nic nie musi tu robić, wszystko dzieje się teraz „samo”.

Czyli jednak Iran nie jest zainteresowany tym, by ta najnowsza odsłona konfliktu skończyła się jak najzybciej?

Tylko że przedłużanie się konfliktu niesie też ze sobą zagrożenia, a Iran na pewno nie chce się dać wciągnąć w wojnę. To Izrael byłby najbardziej zainteresowany wciągnięciem Iranu do konfliktu, ponieważ może się teraz oprzeć na wojskach USA. Właśnie pojawił się na Bliskim Wschodzie trzeci amerykański lotniskowiec,

zamach na kierownictwo Hezbollahu – albo jeśli Izrael zaatakuje Iran.

Wspólnie Iran i Hezbollah są w stanie zagrozić Izraelowi w sposób poważny, ale osobno już nie. Hezbollah nigdy nie zgodziłby się na rolę „podwykonawcy” Hamasu, który realizuje scenariusz napisany przez kogoś innego.

Izraelczycy odetchnęli z ulgą?

Nie do końca, ponieważ Nasr Allah zachował się jak rasowy polityk. Komplementował Hamas, gratulował skutków tej akcji i choć nie ogłosił wojny z Izraelem, to jednak powiedział, że wszystkie opcje są na stole. Czyli nie wykluczył ataku na Izrael. I w ten sposób znaczna część armii izraelskiej jest wciąż związana na północy.

Kto tak naprawdę stał za tym świetnie przygotowanym i przeprowadzonym atakiem hamasowców?

podpłynął też okręt podwodny US Navy z pociskami nuklearnymi. To jest unikalny moment dla Izraela. Do tej pory Izrael zawsze słyszał, że Ameryka nie pomoże mu w bombardowaniu Iranu i że tak ryzykowną akcją musiałby przeprowadzić sam. Teraz może być inaczej. Izrael może myśleć o rozpoczęciu wojny z Iranem i zniszczeniu go przy pomocy Amerykanów.

Recep Erdoğan w wyjątkowo ostrych słowach atakuje ostatnio Izrael, ale nie szczędzi też krytyki pod adresem Amerykanów. O co chodzi Turkom?

Dla Turcji ten konflikt oznacza pewną szansę. Wobec bierności państw arabskich, z tą swoją antyamerykańską retoryką, Erdoğan może w wariantcie minimum uzyskać amerykańską pomoc wojskową i modernizację F-16 – żeby w końcu przestał tak mówić. Natomiast w wariantcie maksimum Turcja może wprowadzić swoje wojska do Strefy Gazy. Erdoğan chciałby się zapisać jako przywódca, który rozwiązał ten kryzys.

Turcy jako wojska stabilizacyjne w Gazie? To nie jest prośbienie się o kłopoty?

Turcja jest sponsorem Bractwa Muzułmańskiego, czyli Hamasu. Dla Turków byłoby to powrót na ich stare ziemie. Turcy wprost deklarują: gdy Osmanowie rządili Palestyną, nie było konfliktu między Żydami i Arabami. Taki ruch wpisywałby się w turecką doktrynę odbudowy imperium, tylko pytanie, co powiedzieliby na to Izraelczycy...

Turcy mogą mieć pewność, że zapanują nad Hamasem?

Turecka armia nie jest armią europejską. Turcy na pewno znaleźliby „argumenty”, żeby Hamas ich słuchał. Przypomnę tylko, że Turcja interweniowała już w Libii. Po stronie tureckiej działa tam kilkadziesiąt grup dżihadu. Nie dość, że Turcy zatrzymali Rosjan i Egipcjan na przedmieściach Trypolisu, to jeszcze wojska tureckie były w stanie zapanować nad tymi wszystkimi dżihadystami.

Dalsza eskalacja tego konfliktu na pewno nie jest na rękę Egipcjanom, którzy graniczą przecież ze Strefą Gazy.

Egipt jest przerażony. Może być przecież zmuszony przyjąć uchodźców z Gazy. Być może Egipcjanom udałoby się utrzymać 100 tys. uciekinierów, ale

na pewno nie 2 mln! Poza tym Hamas to Bractwo Muzułmańskie, czyli śmiertelny wróg prezydenta Sisiego.

Nietrudno zrozumieć, dlaczego prezydent Egiptu i król Jordanii wyraźnie powiedzieli, że próba wyrzucenia Palestyńczyków do ich krajów będzie przekroczeniem czerwonej linii.

W Jordanii ten problem byłby jeszcze większy, ponieważ jest to mniej ludne państwo. A i tak 30 proc. mieszkańców tego kraju to uchodźcy. Przerzucenie tam 3 mln Palestyńczyków z Zachodniego Brzegu oznaczałoby, że uchodźcy stanowiliby w Jordanii większość mieszkańców. Jordania od dawna chce zresztą, żeby te 3 mln Palestyńczyków, którzy żyją na jej terytorium, mogło w końcu wrócić na Zachodni Brzeg.

Jak się zakończy ten konflikt? Izrael wyrzuci Palestyńczyków poza granice?

Izrael bardzo chciałby takiego rozwiązania. Pytanie, czy pozwoli na to Amerykanie.

Takie powolne wypychanie Palestyńczyków poza granice, czyli metoda faktów dokonanych, może się Izraelowi udać. Jeżeli Izrael będzie bombardował Gazę do skutku, obracając całe to terytorium w ruinę, to czy Palestyńczycy będą mieli inny wybór? Będą musieli uciekać na drugą stronę granicy. Co zrobią Egipt i Jordania, jeżeli zostanie przekroczona ta czerwona linia? Zaatakują Izrael? Bardzo mało prawdopodobne. Obawiam się, że Izrael będzie miał tu wielką pokusę, by wypychać Palestyńczyków z Gazy w stronę Egiptu. A potem zrobić to samo na Zachodnim Brzegu, by Palestyńczycy przenieśli się do Jordanii.

Na razie jednak Zachodni Brzeg jest względnie spokojny. Fatah robi, co może, by nie doszło tam do eskalacji.

Wystarczy, że Izrael przyjmie ustawę legalizującą osiedla na Zachodnim Brzegu lub ekstremiści żydowscy wyrzucą Palestyńczyków z Jerozolimy i zajmą Wzgórze Świątynne, co zresztą w swoim programie ma partia Ocma Jehudit (Żydowska Siła), której liderem jest minister bezpieczeństwa wewnętrznego Izraela, Itamar Ben-Gwir. Takie działania doprowadziłyby do wrzenia na Zachodnim Brzegu. Państwa arabskie mogłyby oczywiście próbować zapobiec temu i zagrozić Izraelowi, gdyby

wspólnie wystąpiły. Ale przecież nie zrobią tego – swoje robią izraelska bomba atomowa i wsparcie USA.

To jedna wersja rozwiązania jednopaństwowego. Ale jest też druga, która już przed 7 października miała swoich zwolenników na izraelskiej prawicy.

Choćby wspomniana Ocma Jehudit postuluje rozwiązanie jednopaństwowe, w myśl którego Strefa Gazy i Zachodni Brzeg zostałyby oficjalnie wchłonięte przez Izrael, a mieszkający tam Palestyńczycy byłiby pozbawieni wszelkich praw politycznych. Czyli po prostu pełen apartheid.

Kto najbardziej zyskuje na najnowszej odsłonie konfliktu izraelsko-palestyńskiego?

Dwa państwa: Rosja i Chiny. W przypadku tego pierwszego chodzi nie tylko o odciążenie uwagi od Ukrainy. W tej chwili, wobec tak zdecydowanego poparcia Izraela przez administrację Bidena, jest bardziej niż pewne, że Trump wygra. Bardzo wielu wyborców demokratów wspiera Palestyńczyków i nie wyobraża sobie, żeby wobec tego głosować jeszcze raz na Bidena. Wiemy też, że Trump deklaruje odciecie pomocy dla Ukrainy.

Chińczycy także liczą na to, że Ameryka ugrzęźnie na Bliskim Wschodzie, a przede wszystkim w ich interesie jest wykopanie rowu między Arabami a Amerykanami. I to się właśnie dzieje.

Ameryka opowiada się za 9 mln Izraelczyków, a Chiny stoją murem za ponad 200 mln muzułmanów z Bliskiego Wschodu...

No właśnie. USA nie realizują obecnie na Bliskim Wschodzie swojego interesu narodowego. W tym momencie tak jednoznaczne i bezwarunkowe popieranie Izraela jest dla amerykańskiej polityki zagranicznej obciążeniem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Doktor Wojciech Szewko

jest wykładowcą Centrum Badań nad Terroryzmem Collegium Civitas, znawcą stosunków międzynarodowych na Bliskim Wschodzie oraz dżihadu islamiistycznego, autorem popularnego kanału na YouTube „Na Wschód od Bliskiego Wschodu”.

Tęczowy marsz w Kijowie
w 2018 r.

FOT. STR/NURPHOTO/GETTY IMAGES

Sojusz tęczowo-banderowski

Tytuł zawiera aluzję do sytuacji w Rosji. Na przełomie lat 80. i 90. XX w. związał się egzotyczny alians komunistów z jednej oraz monarchistów, nacjonalistów i neofaszystów z drugiej strony. Wspólnym mianownikiem obu – teoretycznie skrajnie sobie odległych – środowisk była chęć uratowania imperium przed upadkiem. Nieważne – czerwonego, białego czy brunatnego, ważne, że potężnego militarnie i ogromnego terytorialnie. Nieważne – ZSRS czy Rosji. Do historii to przymierze przeszło pod nazwą sojusz czerwono-brunatny. Choć początkowo miał on charakter marginalny, to ostatecznie mocno wpłynął na kształt polityczny, a przede wszystkim ideologiczny współczesnej Rosji, która



Maciej Pieczyński

Kult OUN i UPA połączony z poparciem dla ruchu LGBT. Skrajny nacjonalizm pożeniony z feminizmem. A to wszystko podgrzane powierzchownym, za to bardzo intensywnym zauroczeniem Unią Europejską. Dominująca na Ukrainie ideologia ma charakter synkretyczny

jest miksem tradycji sowieckich i carskich.

Pisząc o sojuszu tęczowo-brunatnym na Ukrainie, w żaden sposób nie zamierzam zrównywać pod względem moralnym państwa ofiary agresji z państwem agresorem. To oczywiste, kto jest kim. Niemniej podobieństwa wydają się

oczywiste. W państwie ofierze, podobnie jak w państwie agresorze, dominujący jest światopogląd o charakterze synkretycznym. Światopogląd łączący skrajne postacie lewicy i prawicy. Jeśli w Rosji mamy do czynienia z sojuszem czerwono-brunatnym, to, analogicznie,

■ w wypadku Ukrainy uzasadnione wydaje się mówienie o sojuszu tęczywo-banderowskim albo nawet wprost, z tylko niewielką dozą publicystycznej przesady, o sojuszu tęczywo-brunatnym.

FEMINIZM I DUCH UPA

Ten ideologiczny synkretyzm trudno zrozumieć w Polsce, gdzie podziały są dość czytelne. Czy można sobie np. wyobrazić postępową feministkę, która broni Żołnierzy Wyklętych? Uwielbianą przez lewicowe salony Olgę Tokarczuk publicznie oddającą cześć i chwałę bohaterom podziemia antykomunistycznego, którzy umierali bynajmniej nie za wejście do Unii Europejskiej czy za konwencję stambulską, tylko za niepodległość ojczyzny? Nieszczególnie. Tymczasem analogiczny mikś pozornie sprzecznych postaw możemy dostrzec u Oksany Zabuzko, którą z niewielką tylko dozą przesady można nazwać ukraińską Olgą Tokarczuk. Obie wybitne pisarki są zresztą przyjaciółkami.

Powieść „Badania terenowe nad ukraińskim seksem” Oksany Zabuzko, wydana w 1996 r., została uznana za pierwszy manifest ukraińskiego feminizmu. „Na froncie są trzy tysiące kobiet, a kolejny tysiąc to rezerwistki gotowe zastąpić swoje siostry w razie potrzeby. Równość między kobietami i mężczyznami rodzi się na froncie i jest podlana kobiecą krwią” – mówiła Zabuzko podczas inauguracji międzynarodowego Kongresu Kobiet, który odbył się pod koniec ubiegłego roku w Brukseli. Jak relacjonują „Wysokie Obcasy”, pisarka podkreślała, że dziś na Ukrainie „niedopuszczalne już są seksistowskie komentarze na ulicy, bo wszyscy wiedzą, że kobiety walczą. To samo dotyczy osób ze społeczności LGBT, które również poszły na front”.

Ta sama Oksana Zabuzko uważa za bohatera narodowego Ukrainy Romana Szuchewycza. W 2016 r., w 66. rocznicę jego śmierci, opublikowała na Facebooku obszerny wpis okolicznościowy. Przy okazji z dumą wspominała, jak to gniew ludu w 2014 r. nie pozwolił, aby w Odesie zwyciężył „rosyjski świat”. Nie dodała przy tym, że podczas ulicznych starć ukraińscy patrioci zagnali do odeskiego Domu Związków Zawodowych kilkudziesięciu prokremlowskich aktywistów, którzy spłonęli tam żywcem. Oczywiście takimi brutalnymi metodami Ukraina broniła

swojej integralności terytorialnej. Jednak lewicowa wrażliwość raczej nakazywałaby potępienie zbrodni. Tak czy inaczej, Zabuzko stwierdziła, że „duch głównodowodzącego UPA unosi się nad Odessą” i jej strzeże, co w tym kontekście może zabrzmieć niejednoznacznie.

Zdaniem pisarki człowiek, który stworzył „najpotężniejszą armię oporu w Europie”, jest „idealnym hollywoodzkim bohaterem”. Nie, nie chodzi o żadnego z dowódców Armii Krajowej. Zabuzko za największą partyzantkę (w domyśle: walczącą z okupacją niemiecką i sowiecką) uznała banderowską UPA pod dowództwem Szuchewycza. O swoim bohaterze napisała tak: „Niech nas dalej chroni. I Odessę, i wszystkich nas – całą [...] Ukrainę. Historia XX w. pozostawiła nam niewielu geniuszy – tych, którzy potrafili zrealizować swoją misję. Roman Szuchewycz jest właśnie jednym z tych niewielu – tych, którzy samodzielnie

Spory światopoglądowe nigdy nad Dnieprem nie miały tak poważnego i pogłębionego charakteru jak chociażby w Polsce. Stąd też możliwy stał się synkretyzm ideologiczny

zmienili bieg historii. Nie tylko ukraińskiej. Gdy go zrozumiemy, nauczymy się zwyciężać”.

Oczywiście Zabuzko chwali UPA nie za ludobójstwo na Wołyniu (przyznaje, że Ukraińcy zabijali Polaków, ale dodaje przy tym, iż obie strony miały krew na rękach), tylko za powojenną walkę z Sowietami. Wciąż jednak mówimy o lewicowo-liberalnej intelektualistce, która odcina się od nacjonalizmu i nazywa siebie feministką oraz humanistką. Czy można sobie wyobrazić, że Olga Tokarczuk lub jakkolwiek inny wybitny polski pisarz o podobnej proveniencji ideologicznej wychwalał Romualda Rajsa „Burego” albo chociażby mniej kontrowersyjne postaci, takie jak Łupaszka, „Inka” czy nawet Witold Pilecki? Czy można sobie wyobrazić, by ta strona sporu światopoglądowego w Polsce

broniła własnego narodu przed zarzutami o zbrodnie wojenne i stawiała na piedestał tych, którym się te zbrodnie przypisuje?

Zabuzko ironicznie zauważa też, jak w latach 90. w Odessie postkomuniści musieli wybierać pomiędzy nazwą ulicy Europejskiej oraz Szuchewycza (obie nienawistne dla Moskwy). To dylemat symboliczny. Dla wielu współczesnych intelektualistów, polityków, liderów opinii nad Dnieprem proeuropejskość (czy szerzej: prozachodność) i sympatia do UPA nie tylko się nie wykluczają, lecz także wręcz wzajemnie się dopełniają. Banderowcy walczyli po wojnie z przeważającymi siłami sowieckiego wroga. Byli więc słabszą mniejszością, godną współczucia. W taki oto sposób na Ukrainie broni się upowców z pozycji lewicowych. Co zaś do prounijnego neobanderyzmu, czołową postacią tego nurtu jest były prezydent Petro Poroszenko, a obecnie lider partii o symptomatycznej nazwie Solidarność Europejska. Za jego kadencji partyzantom UPA i działaczom OUN przyznano status bojowników, walczących o niepodległość kraju. Wprowadzono też przepisy, przewidujące kary za lekceważenie weteranów oraz za negowanie celowości ich walki. Odpowiednią ustawę złożył w parlamencie Jurij Szuchewycz, syn Romana.

UKRAIŃSKIE NIEZROZUMIENIE

W programie partii Poroszenki nie ma ani słowa poparcia dla lewicowo-liberalnej ideologii, dominującej wśród elit Brukseli, Berlina czy Paryża. Wśród wartości, którym hołduje partia, wymienione są godność, patriotyzm, odpowiedzialność, demokracja i sprawiedliwość. Głównym zaś jej celem jest wejście Ukrainy do UE i NATO. I to jest kluczowa kwestia, pozwalająca zrozumieć podstawy „sojuszu tęczywo-brunatnego”. Partia Poroszenki, podobnie jak absolutna większość obecnej sceny politycznej, jest produktem rewolucji Euromajdanu. Jesienią 2013 r. Ukraińcy wyszli na ulice, aby zaprotęstować przeciwko rezygnacji z kursu na integrację z UE. Jedno z najważniejszych haseł rewolucji brzmiało: „Ukraina to Europa”. Przy czym raczej brakowało szczegółowej i pogłębionej wiedzy, czym mianowicie jest ta Europa. Sądząc po programach politycznych i głoszonych poglądach części ugrupowań, brakuje do tej pory. Ukraińcy chcieli żyć jak na Zachodzie,

zarabiać jak na Zachodzie i korzystać ze wsparcia – w tym również militarnego – Zachodu. Spory światopoglądowe nigdy nad Dnieprem nie miały tak poważnego i pogłębionego charakteru jak chociażby w Polsce. Stąd też możliwy stał się synkretyzm ideologiczny.

Podobnie jak Rosjanie Ukraińcy przeżyli w pewnym sensie śmierć „dwóch bogów” – najpierw komunizm zabił prawosławie, a później zajął jego miejsce, stając się quasi-religią, by w końcu zużyć się i umrzeć. W świecie, w którym wyczerpały się wszelkie światopoglądy, można nimi dowolnie i wedle potrzeb żonglować. Pozostają jednak pewne stałe punkty orientacyjne. W Rosji jest to imperializm – dobre jest wszystko to, co służy zachowaniu wielkiego, silnego i ekspansywnego państwa. Na Ukrainie przeciwnie – anty-imperializm. Czyli dobre jest wszystko to, co służy wyrwaniu się z oków rosyjskiego panowania. Banderowski nacjonalizm – bo UPA dało przykład „heroicznej” walki z Moskwą. Wejście do UE i NATO – bo kurs prozachodni nie tylko pozwala uniezależnić się od Rosji, lecz także daje nadzieję na materialnie lepsze życie.

Ukraińskie społeczeństwo w swej masie wciąż jest dość konserwatywne, a jednocześnie pronijne, co wynika z niezrozumienia, czym jest Unia. Dlatego kolejni ukraińscy przywódcy bez większego żalu ulegają presji Zachodu, licząc w zamian na jego pomoc. Podpisanie umowy stowarzyszeniowej z UE i zniesienie obowiązku wizowego Kijów uzyskał dzięki temu, że w 2015 r. wprowadził zakaz dyskryminacji ze względu na orientację seksualną i tożsamość płciową. Po inwazji rosyjskiej ratyfikował konwencję stambulską po wielu latach zwlekania. Od 2018 r. działa na Ukrainie organizacja, wspierająca żołnierzy LGBT, którzy szczególnie po 24 lutego 2022 r. z dumą prezentują w mediach swój patriotyzm. Rzecznikiem Obrony Terytorialnej został amerykański transseksualista Sarah Ashton-Cirillo (dawniej John Cirillo). Powstają kolejne projekty ustaw i petycje w sprawie związków partnerskich, często uzasadniane z pozycji patriotycznych (jako wsparcie dla homoseksualistów walczących na froncie i ich partnerów). Kolejni pomajdanowi prezydenci ulegali tym tendencjom, ale się nie cieszyli. Ani Poroszenko, ani Zełenski nie przyjęli np. zaproszenia na marsz

równości. Zełenski nazwał małżeństwa homoseksualne niekonstytucyjnymi, ale poparł ideę związków partnerskich.

A jednocześnie te wszystkie ustępstwa wobec Zachodu nie dotyczą w żadnym wypadku rozliczeń z ciemnymi kartami swojej historii. Swego czasu, jeszcze w epoce wojny hybrydowej, Kongres USA zabronił dostarczania broni dla pułku „Azow”, a w Izbie Reprezentantów pojawił się pomysł, aby wpisać oddział na listę organizacji terrorystycznych. Amerykanom nie przeszkadzało jednak wybielanie nacjonalistycznych zbrodniarzy, tylko kontrowersje dotyczące współczesnych neonazistowskich sympatii.

Od czasu do czasu przeciwko kultowi Bandery czy Szuchewycza, oprócz Polski, protestują środowiska żydowskie. Skandal związany z uhonorowaniem w Kanadzie, na oczach Zełenskiego, weterana SS-Galizien też nie zmusił Kijowa do posypania głowy popiołem. Bardziej niż ukraiński prezydent kajał się Justin Trudeau, a media nad Dnieprem w dużej części wręcz usprawiedliwiały nazistowskich kolaborantów, argumentując, że walczyli za ojczyznę, a poza tym w Norimberdze niczego im nie zarzucono.

Nawet szylid SS nie wszystkim na Ukrainie przeszkadza. Zachodowi generalnie też nie, więc Kijów, farbując się na tęczowo, nie usuwa brunatnych barw ze swojego wizerunku. Co więcej, chlubi się nimi. Zdaniem wielu komentatorów wojna miała sprawić, że Bandere i Szuchewycza zdetronizują współcześni bohaterowie. Popularni, znani często także osobiście zwykłym Ukraińcom, a do tego wolni od kontrowersji, obciążających ich poprzedników. Te nadzieje okazały się płonne.

ROSJA WSPIERA BANDERYZACJĘ

Paradoksalnie banderyzacji sprzyja dziś Rosja. Na Ukrainie spory wokół OUN i UPA najczęściej wynikały nie tyle z różnic w ocenie Wołynia (o którym ukraińska opinia publiczna z reguły albo nie wie nic, albo wie tyle, że był to jeden z epizodów wojny polsko-ukraińskiej, w której to Polska była agresorem), ile z odmiennego stosunku do Rosji i ZSRS. Jeśli kogoś bolał kult nacjonalistów, to rosyjskojęzycznych mieszkańców południa i wschodu kraju, którzy byli rodzinnie związani z administracją sowiecką i albo mieli w rodzinie ofiary banderowców, albo sami, pod

wpływem sowieckiej propagandy, wychowali się w nienawiści do banderowców. Ponadto wielu Ukraińców służyło w Armii Czerwonej. Nawet jeśli wcielano ich siłą, to ani oni, ani ich potomkowie nie muszą paść sympatią do UPA.

Jednak po 24 lutego 2022 r., kiedy wschód i południe Ukrainy padły ofiarą już nie hybrydowej, ale pełnowymiarowej agresji Moskwy, sytuacja się zmieniła. Sentyment do wszystkiego, co sowieckie bądź rosyjskie, bezpowrotnie się ulotniło. A z braku lepszych wzorców i przy powierzchownej, ukształtowanej przez propagandę (dawniej sowiecką, dziś ukraińską) wiedzy na temat historii, „idealnymi” bohaterami nawet dla rosyjskojęzycznych stali się Bandera i Szuchewycz. Ich spuścizna stała się aktualna nie tylko pod kątem samej walki z Moskwą o niepodległość. Na czasie jest również skrajny nacjonalizm, czego dowodem radykalna derusyfikacja przestrzeni publicznej i kultury czy walka z ukraińską Cerkwią Prawosławną (Patriarchatu Moskiewskiego). Ta ostatnia ma charakter bardziej nacjonalistyczny właśnie niż antyklerykalny. Jednocześnie bowiem państwo wspiera związki wyznaniowe, jednoznacznie odcinające się od Moskwy. Bandera i Szuchewycz stali się beneficjentami derusyfikacji. Nazwy ulic czy pomniki, związane z kulturą rosyjską, ustępują miejsca upamiętnieniom, poświęconym „bohaterom” OUN czy UPA. Dzieje się tak również na wschodzie kraju.

Na razie nikt poza niekonsekwentną w tym żądaniu Polską nie postawił Ukrainie ultimatum: albo Europa, albo Bandera. Być może Zachód, śladem ukraińskich intelektualistów, uwierzył w bajkę o UPA jako uciśnionej mniejszości. „Wschód Ukrainy staje się banderowski” – obieścił triumfalnie jakiś czas temu Serhij Taran. Komentarz znanego politologa przedrukował portal związanej z obozem Poroszenki telewizji Espresso. Skąd taka diagnoza? Stąd mianowicie, że ponad 90 proc. Ukraińców opowiada się za wejściem do UE, 80 proc. zaś – za wejściem do NATO. Również na wschodzie kraju. A skoro ktoś na Ukrainie jest zwolennikiem integracji z Zachodem, to automatycznie jest też wielbicielem OUN i UPA, czyli proeuropejskim, światłym, tolerancyjnym, nacjonalistycznym, progresywnym, feministycznym, tęczowo-brunatnym ukraińskim patriotą. Logiczne, prawda?

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



FOT. ADRIAN STOK

DOSTAŁ W PREZENCIE GRANAT I ZGINĄŁ

Okazuje się, że na Ukrainie można dostać gorszy prezent niż ten, z którego polski szef policji wystrzelił w kominie. Otóż adiutant głównodowodzącego Sił Zbrojnych Ukrainy Walerija Załużnego, mjr Hennadij Czastiakow, dostał na swoje urodziny wiele prezentów, w tym m.in. kilka granatów. Jeden z granatów solenizant pokazał swojemu 13-letniemu synowi, a gdy mu go odbierał, przypadkowo wyciągnął miał zawleczkę. Granat eksplodował, major zginął, a jego syn został ranny.

DWIE MAMY JEDNEGO DZIECKA

In vitro dla homoseksualnych par to już za mało. Dwie kobiety w związku mogą teraz „dzielić doświadczenie macierzyństwa”. Hiszpańskie media doniosły o dwóch paniach – Estefanii i Azaharze – które „wspólnie” powiły syna Dereka. Lekarze połączyli komórki jednej z pań z nasieniem z banku dawców w Sewilli i umieścili je w specjalnej kapsułce. Tę na cztery dni wprowadzili pod szyjkę macicy drugiej z pań. Gdy w kapsułce uformował się zarodek, umieszczono go w ciele dawczyni komórek.

GRZYWNA ZA „EKSTREMISTYCZNY PARASOL”

Życie w prawdziwym reżimie nie jest łatwe. W Mińsku na Białorusi milicjanci zatrzymali na ulicy ciężarną kobietę. Powodem był parasol. I nic nie pomogło tłumaczenie, że pada

deszcz. Parasol miał bowiem kolory takie, jakie ma flaga niepodległej Białorusi. Milicja uznała, że kobieta „w celu publicznego wyrażenia swoich nastawień społeczno-politycznych szła z biało-czerwono-białym parasolem, demonstrując go obywatelom”. Sąd uznał kobietę winną wykroczenia, nakazał jej zapłatę grzywny w kwocie odpowiadającej 2,3 tys. zł. Nakazał też zniszczyć parasol.

ZŁODZIEJE ZŁOTEGO SEDESU

Policja zatrzymała cztery osoby w sprawie zdumiewającej kradzieży z 2019 r. Wówczas to z londyńskiego Blenheim Palace zniknęła sedes wykonany z 18-karatowego złota. Była to instalacja artystyczna „Ameryka” wykonana przez artystę Maurizia Cattellana – ale zwiedzający wystawę mogli z rzeźby skorzystać jak ze zwykłego sedesu. Rzeźba, którą skradziono, warta była ok. 25 mln zł. Mimo ujęcia złodziei sedesu nadal nie odnaleziono. Prawdopodobnie został przetopiony. ©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Małżeństwo się opłaca

Znają państwo ten dowcip? Żona mówi do męża: – Ubóstwiam cię! – Mówi się zubażam – odpowiada zirytowany małżonek. Wiem, wiem... Ja też uważam, że to seksistowskie, a do tego wcale nie jest śmieszne. Dzięki amerykańskim naukowcom wiem również, że przytoczona odpowiedź męża jest po prostu sprzeczna z prawdą.

Z najnowszych badań wynika bowiem, że bycie singlem zwyczajnie się nie opłaca. I to zarówno kobietom, jak i mężczyznom. Naprawdę! I chociaż nie jest to najbardziej romantyczne spostrzeżenie, to fakty

mówią same za siebie: mediana zarobków żonatych mężczyzn w USA wynosiła 57 tys. dol. Tymczasem na konta samotnych samców wpływało rocznie marne 35,6 tys. dol.

W przypadku kobiet badacze zauważyli mniejszą różnicę, ale w tym przypadku również małżeństwo okazało się opłacalne: mediana zarobków mężatek wynosiła 40 tys. dol., podczas gdy singielki zarabiała 32 tys. dol. Podobne wyniki przynosiły również wcześniejsze badania.

Na tym kończą się jednak twarde dane. Możliwych wyjaśnień jest za wiele. Naukowcy wierzą np., że żo-

naci mężczyźni po prostu bardziej się starają, aby utrzymać rodzinę, stąd dbają też o sukces finansowy (to tzw. efekt małżeństwa). Poza tym zameżnię kobiety i żonaci mężczyźni, szukając dobrze płatnej pracy, mogą pozwolić sobie na bycie bardziej wybrednym w doborze ofert, ponieważ mogą żyć z pensji małżonka/małżonki.

Jest też oczywiście możliwe, że słabo zarabiający mężczyźni są mniej atrakcyjni dla kobiet i dlatego pozostają samotni. Albo że żonaci faceci po kilku latach związku biorą po prostu więcej nadgodzin. I znów te stereotypy... ©



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Czyja dziura budżetowa?

Rusza spór – i będzie to spór na spory – o to, kto jest prawdziwym twórcą gigantycznej dziury budżetowej, która pojawiła się w budżecie naszego państwa czy raczej – jak chcą niektórzy, dając w ten sposób do zrozumienia, że jest ona aż tak ogromna – dziury budżetowej, która wprost pochłonęła budżet naszego państwa – niczym wielgachna czarna dziura.

I spór ten będzie narastał, ponieważ zwycięska koalicja rządząca, która tak pali się do objęcia władzy, w końcu – jeśli ją obejmie – na kogoś będzie musiała zrzucić winę za to, że nie da rady sfinansować wszystkich swoich obietnic przedwyborczych. A złożyła ich tak wiele, że do ich wypełnienia nie starczyłoby pewnie i dwóch takich dziur budżetowych jak obecna.

A z kolei przegranej koalicji rządzącej, która stara się zachować władzę, lecz już dobrze wie, że jej nie zachowa, a więc też nie musi się już gimnastykować, by napożyczyć kolejnej fury pieniędzy dla zrealizowania góry swych starych obietnic, powiększonej o górę swych nowych obietnic, nie pozostaje nic innego niż zapewniać, że zostawia finanse publiczne Polski we wprost doskonałym stanie, podwojenie zaś przez nią długu Polski – z ok. 900 mld zł do ponad 1,7 bln zł – to betka. A wymyślona przez nowo powstającą koalicję dziura Morawieckiego jest po prostu dziurą Tuska,

czyli właśnie tymi pieniędzmi, które premier Morawiecki „zawsze potrafił znaleźć”, a których premier Tusk „nigdy znaleźć nie potrafił”.

Śledztwo w sprawie rozmiarów dziury ruszyło z kopyta i zwolennicy nowego rządu już wiedzą, że Morawiecki zostawia Polskę na koniec 2023 r. z dziurą budżetową – dziurą Morawieckiego właśnie – w wysokości „rekordowo rekordowych”, „niesłychanych” i „absolutnie bezapelacyjnie największych” w ponad 1050-letniej historii Polski 192 mld zł.

Iw dodatku dziurę tę tak sprytnie zamaskował, że na zewnątrz widać ledwie jej jedną połowę, bo drugą ukrył w pozabudżetowych, wyjętych spod kontroli Sejmu i Senatu funduszach, których pozakładał ile wlezie. A projekt budżetu na 2024 r. zaminował jeszcze większą dziurą budżetową, sięgającą aż niebotycznych 277 mld zł.

No i oczywiście, jak to u nas w zwyczaju – cała para idzie w gwizdek. Zamiast wykorzystać spór o dziurę Morawieckiego do zajęcia się jego istotą i wielką dziurę budżetową raz na zawsze zlikwidować, prawnie zakazując jej odtwarzania, zamiast polikwidować fundusze pozabudżetowe i nie dopuścić do zaciągania przez rząd długów, nad którymi Sejm i Senat nie sprawują kontroli, to u nas się o tym tylko gada. I gada, i gada, i gada. I gada.

A potem dalej robi się to samo. ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Monika Strzępka: sukces Trzaskowskiego

Nie posiadasz emanacji, które są potrzebne do uprawiania tego zawodu”, „Ja nie chcę być mamusią, która ma 46 cyków i każdego wykarmi. Już nie”, „Ja nie wiem, z jakiego ty źródła czerpiesz. Być może my czerpiemy z innych źródeł”, „Bycie w teatrze, w którym nie będziesz grał, będzie złe dla ciebie energetycznie”.

Takie wyjaśnienia miał usłyszeć wyrzucany z pracy aktor Michał Klawiter w czasie rozmowy z Moniką Strzępką, dyrektor Teatru Dramatycznego w Warszawie, mianowaną na to stanowisko przez Rafała Trzaskowskiego we wrześniu 2022 r. Rozmowa miała miejsce w „waginie”, jak całkiem oficjalnie nowa pani dyrektor ochrzciła swój gabinet.

Otym, jak wygląda funkcjonowanie miejskiej instytucji kultury pod kierownictwem nawiedzonej, kompletnie oszalałej waginistki feministki, mogliśmy przeczytać w niewiarygodnym wręcz tekście Krystyny Romanowskiej na portalu Onet. Gdyby nie to, że autorką jest doświadczona dziennikarka, można by uznać, że to jakieś zmyślenia albo fragmenty scenariusza komedii o wielbielkach Wielkiej Złotej Waginy. Z tym że taka komedia raczej nie miałaby

szansy powstać – politoprawni cenzorzy by do tego nie dopuścili.

To, co opisuje Romanowska, cytując aktorów i innych pracowników teatru – wielu z nich wymagało specjalistycznej pomocy psychologicznej – jest niesamowite. To opowieść o chaosie instytucjonalnym, a także całkowitym chaosie umysłowym u osoby, której powierzono kierowanie zespołem ludzi. Ludzie ci, co w pewien sposób zabawne, jasno mówią, że, owszem, mają lewicowe zapatrywania, ale Strzępka zachowuje się „jak komunistka” i zrobiła z Teatru Dramatycznego instytucję stricte przemocową.

Można by tych aktorów przewrotnie spytać, czy w takim razie wolą pracować z nawiedzoną lewaczką, która do foyer teatru wprowadza rzeźbę wielkiej waginy i okadza budynek szafliwą, czy może jednak gotowi byłiby zmusić się do pracy z konserwatystą, który przy swoich poglądach byłby przede wszystkim normalny.

Nie można przy tym zapominać, że odpowiedzialność polityczną za tę kuriozalną nominację, nad którą pieczę powinien chyba roztoczyć psychiatra, ponosi prezydent Warszawy. ©©

Dedolaryzacja, której nie



Jakub Wozinski

Im bardziej państwa chcące obalić dyktat USA w zakresie walutowym odgrają się, że już niebawem obalą dominację dolara, tym mniej wskazuje na to, że kiedykolwiek się im to uda

Jeśli kwestii zrzucenia dolarowego jarzma poświęca się kolejne spotkania grupy państw z bloku BRICS, to z pewnością nie można jej lekceważyć. Piętnasty już szczyt zorganizowany w tym roku w Johannesburgu stał pod znakiem rozmów poświęconych temu, w jaki sposób współpracujące ze sobą państwa mogłyby zwiększyć zakres wzajemnych rozliczeń z pominięciem dolara oraz stworzyć architekturę zupełnie nowego systemu finansowego. Rosyjskie media przekonywały nawet, że 24 sierpnia, czyli ostatniego dnia szczytu, miała zostać zaprezentowana zupełnie nowa, wspólna waluta państw członkowskich bloku. Tego rodzaju rewelacje okazały się oczywiście fake newsem, niemniej jednak przemawiająca za pośrednictwem

internetowego łącza Władimir Putin mówił buńczucznie o „nieodwracalnym procesie dedolaryzacji”.

WOJNA PSYCHOLOGICZNA

Retoryka wieszcząca rychły upadek amerykańskiej waluty stała się w ostatnim czasie jednym z głównych elementów wojny psychologicznej toczonej przez największe mocarstwa świata. Nie będąc w stanie zaszkodzić sobie w bezpośrednim starciu na polu bitwy, przeciwnicy starają się przynajmniej nastraszyć drugą stronę wizją destrukcji jej gospodarczych fundamentów. Stany Zjednoczone wraz z całym Zachodem wdrażają więc politykę „decouplingu”, choć pełne zerwanie gospodarczych więzów z Chinami jest dziś zwyczajnie niemożliwe. Środkiem odwetowym

Państwa Środka i jego sojuszników jest natomiast budowanie coraz rozleglejszej sieci międzynarodowych rozliczeń pomijających dolara, jednakże i w tym wypadku do zrzucenia dolara z tronu brakuje jeszcze bardzo, bardzo wiele.

Czysto teoretycznie rosnący w siłę blok państw BRICS można by rozpatrywać w kategoriach śmiertelnego zagrożenia dla amerykańskiej waluty. Miniony szczyt zakończył się nawet wystosowaniem oficjalnego zaproszenia do członkostwa dla Egiptu, Iranu, Arabii Saudyjskiej, Argentyny, Etiopii oraz Zjednoczonych Emiratów Arabskich. Po rozszerzeniu łączny PKB całej grupy ma osiągnąć ok. 30,8 bln dol., co będzie stanowiło 29,3 proc. całego światowego PKB. A jakby tego było mało, chęć przystąpienia wyraża obecnie nawet



FOT. ADRIAN STOK

40 państw z całego świata. Za jakiś czas może się więc okazać, że grono kontestatorów systemu dolarowego będzie kontrolowało tak samo dużą część światowej gospodarki jak cały Zachód.

Ilość nie zastąpi jednak nigdy jakości. Z tym zaś już sam bazowy BRICS ma ewidentne kłopoty. Tegoroczny gospodarz szczytu, Republika Południowej Afryki, jest z pewnością liczącym się krajem jak na warunki afrykańskie, lecz od kilkunastu lat cierpi z powodu poważnego kryzysu energetycznego, który z prowadzenia działalności gospodarczej uczynił wręcz hazardowe przedsięwzięcie. W kraju tym więcej jest dni, w których występują długotrwałe przerwy w dostawach prądu, niż tych, w których wszystko działa bez zakłóceń. W czasach,

gdy cały świat dyskutuje o walutach cyfrowych banków centralnych, w RPA nawet w bankach rządzi wciąż gotówka. Doprawdy trudno sobie wyobrazić, w jaki sposób kraj ten miałby być jednym z fundamentów jakkolwiek pojętego nowego ładu finansowego.

OSTRZEŻENIE UDZIELONE W RUPIACH

Równie wiele znaków zapytania pojawia się przy Rosji, która napaścią na Ukrainę doprowadziła do gwałtownej destabilizacji swoich finansów i w znacznej mierze przestawiła się na gospodarkę nakazowo-rozdziałczą. Na dodatek, porzuciwszy dolary w rozliczeniach z Indiami, Rosjanie od dłuższego czasu gromadzą nadwyżki rupii (szacowane obecnie na nawet 39 mld dol.), z którymi zwykajnie nie mają co zrobić. Wiosną sam Siergiej Ławrow przyznał, że Rosja ma z hinduską walutą duży problem, ponieważ nie jest zainteresowana importem z Indii ponad obecną kwotę wynoszącą ok. 6–7 mld dol. rocznie. Ostatecznie Hindusi zaproponowali niedawno Rosjanom specjalny program inwestycyjny, tak aby byli w stanie spożytkować zgromadzone środki, ale na Kremlu – delikatnie mówiąc – nikt nie jest z tego powodu szczęśliwy.

Uwięzienie rosyjskiego kapitału w rupiach pokazało tym samym najlepiej wszystkie ograniczenia związane z pochopnym porzuceniem dolara. Rosja nie miałaby problemu z rosnącym stosem dolarów pozyskanych ze sprzedaży ropy naftowej do Indii właśnie dlatego, że mogłaby je w dowolnej chwili wykorzystać praktycznie na całym świecie. Rupie nie mają takiej właściwości, ponieważ Indie utrzymują wysoki deficyt w obrocie handlowym, a na dodatek stosują daleko idące ograniczenia w zakresie wymiany swojej waluty na środki pieniężne innych krajów.

Mimo że Rosja i Indie współpracują w blasku fleszy w ramach BRICS, spór o uwięzienie w rupiach kapitał położył się cieniem na ich relacjach, a na dodatek ukazał, jak bardzo kruchy jest cały projekt dedolaryzacji. Odgrazający się dolarowi Kreml musiał przyjąć do wiadomości nie tylko to, że jego 39 mld dol. jest praktycznie nie do odzyskania, lecz także że udzielona została mu lekcja ekonomii w zakresie dominacji dolara.

Pozycja amerykańskiej waluty wynika bowiem nie tylko z samego bogactwa USA, lecz także z tego, że podlega ona swobodnemu obiegowi na całym globie. Nikt, kto nabędzie dolary w ramach dowolnej transakcji, nie żyje w lęku, że będzie miał z nich pożytek, wyłącznie jeśli spełni ściśle określone przez amerykański rząd warunki. Amerykanie nie stosują kontroli przepływów kapitałowych i hołdując zasadzie pecunia non olet, pozwalają na to, aby w ich kraju za inwestować mógł każdy, nawet odgrazający się dolarowemu imperium członek BRICS. Sporym wyjątkiem od tej zasady są oczywiście m.in. nałożone w ubiegłym roku sankcje przeciwko Rosji, lecz nie naruszyły one bynajmniej zaufania do amerykańskiej waluty.

WALUTOWA WIEŻA BABEL

Zderzając się co jakiś czas z bolesną dla nich dominacją dolara, członkowie grupy BRICS sugerują, że odpowiedzią na nią mogłaby być wspólna waluta bloku. Brazylijski prezydent Luiz Inacio Lula da Silva wezwał w Johannesburgu do jej utworzenia, wskazując, że „zwiększyłaby liczbę opcji płatnościowych i zmniejszyłaby podatność na zagrożenia”. Z kolei wiceprzewodniczący rosyjskiej Dumy Państwowej dywagował na temat zabezpieczenia nowego środka płatniczego złotem, surowcami lub nawet metalami ziem rzadkich.

Mimo że zakotwiczenie walut w metalach szlachetnych byłoby dla ludzkości jak najbardziej korzystne, państwa z grupy BRICS wydają się kiepskim kandydatem, jeśli chodzi o osiągnięcie tego celu. Utworzenie unii walutowej to piekielnie trudne zadanie, a w szczególności gdy współtworzyć miałyby ją kraje o tak wielkiej potrzebie niezależności i położone w różnych miejscach globu. Dowodu na to dostarczyła europejska unia walutowa, która w zamierzeniach jej twórców również miała rzucić wyzwanie hegemonii dolara. Dziś widać już, że nawet gdy wspólną walutę tworzą wysokorozwinięte europejskie kraje posiadające bogate tradycje w zakresie prowadzenia odpowiedzialnej polityki budżetowej, cały projekt narażony jest na liczne niebezpieczeństwa. W praktyce euro istnieje dziś głównie dzięki temu, że Niemcy jako najbogatszy kraj z tradycyjnie dużymi nadwyżkami eksportu

■ i zbilansowanym budżetem przyjęły rolę gwaranta, który w zamian za zgodę na budowę państwa federalnego wzięł na siebie koszty opartej na deficytach polityki wielu pozostałych członków.

Gdyby BRICS miało wykształcić własną unię walutową, w rolę Niemiec musiałyby się wcielić Chiny, które jednak nie mają na to najmniejszej ochoty. Nie jest absolutnie przypadkiem to, że Xi Jinping ku powszechnemu zaskoczeniu zrezygnował z przybycia do Johannesburga, gdyż dał tym samym do zrozumienia, co myśli na temat wspólnej waluty. Jeśli Niemcy mają obecnie tak wielkie problemy z gwarantowaniem wydatków Włoch, Grecji, Hiszpanii czy Francji, to jak wiele środków wymagałoby żyrowanie za samą tylko Brazylię, której średni deficyt budżetowy z ostatniej dekady wynosi ok. 7–8 proc.? W tym świetle zupełnie nie dziwi to, że największymi zwolennikami unii walutowej w ramach BRICS są ci, którzy zyskaliby dzięki niej sposobność do jeszcze bardziej niezrównoważonych wydatków, oraz że do grupy dobija się m.in. horrendalnie zadłużona Argentyna.

ZMIANA TOŻSAMOŚCI

Osobną kwestię stanowi to, czy państwa grupy „BRIS” zaakceptowałyby dominację i przewodnictwo państwa na literę „C”. Równie nieprawdopodobne jest wciąż to, aby w imię unii walutowej Chiny rzekły się pełnej kontroli nad kursem juana, stanowiącym jeden z fundamentów ich dotychczasowego bezprecedensowego wzrostu.

W praktyce okazuje się więc, że największą szansę na przyspieszenie pożądanej przez tak wielu dedolaryzacji mają same Chiny, które jednak musiałyby najpierw... przestać być takimi Chinami, które znaleźmy do tej pory. Już od kilku lat w specjalnie wydzielonej pilotażowej strefie zlokalizowanej w Szanghaju testowana jest pełna wymienialność juana na inne światowe waluty, lecz jak dotąd jego efekty najwyraźniej nie zachęciły komunistów z Pekinu do podjęcia jakichkolwiek odważnych decyzji. Obieg chińskiej waluty poddany jest ścisłemu nadzorowi ze strony banku centralnego i specjalnego urzędu do spraw walutowych. Próba uczynienia z juana światowej waluty rezerwowej wymagałaby od Chin „pójścia na żywioł” i przyzwolenia na swobodną

jego wycenę. Państwo Środka z pewnością się na to nie zdecyduje, gdyż właśnie w oparciu o wszechobecną kontrolę kapitału zbudowało swoją obecną gospodarczą pozycję i konkurencyjność.

Pomimo tego warto jednak zauważyć, że Chiny są potencjalnie jednym z zaledwie kilku państw na świecie, które mogą w ogóle liczyć na detronizację dolara. Cały świat może korzystać z danej waluty

Kontestatorom dolara jako światowej waluty marzy się zastąpienie go nową walutą lub wieloma różnymi

jedynie wówczas, gdy przynależy ona do bardzo dużego kraju o bardzo rozbudowanej gospodarce korzystającej z wielkiej liczby środków pieniężnych. Oprócz USA i Unii Europejskiej takie kryteria spełniają co najwyżej Chiny i potencjalnie również Indie.

Najbardziej znamienne dla całej narracji o bliskim końcu dolara jako światowej waluty rezerwowej jest to, że w okresie, gdy państwa grupy BRICS zwoływały specjalny szczyt i zawarły wiele umów o wzajemnych rozliczeniach z pominięciem zachodnich środków płatniczych, dolar wspiął się właśnie na nowe szczyty popularności. Na giełdach walutowych aż 88 proc. wartości wszystkich transakcji dotyczyło w 2022 r. właśnie amerykańskiej waluty. W regulującym płatności międzynarodowe systemie SWIFT dolar osiągnął w lipcu rekordowe 46 proc. wszystkich transakcji. Tą samą dominację ujrzymy również m.in. w wartości długu zaciąganego na światowych rynkach.

Jedynym obszarem, w którym dedolaryzacja rzeczywiście się dokonuje, są rezerwy walutowe państw całego świata, choć i tak amerykańska waluta odpowiada wciąż za blisko 60 proc. całości. Banki centralne na całym świecie kupują coraz więcej złota, a wiele państw ostentacyjnie pozbyło się dolarów. To wciąż jednak zbyt mało, aby ogłaszać rewolucyjne zmiany.

Tezy o możliwej dedolaryzacji nie można oczywiście z definicji odrzucać,

jednakże z całym szacunkiem dla mocarstw zgrupowanych w BRICS większy wpływ na to mogą mieć same Stany Zjednoczone i ich nieroztropna polityka.

Mówi się niekiedy, że największym zagrożeniem dla dolara jest amerykański Departament Skarbu, który zafundował w ostatnich latach rekordowe deficyty. Państwa z grupy BRICS stanowią zaś dla Waszyngtonu największe zagrożenie nie tylko w obszarze finansowym, lecz także jako kontestatorzy obecnej architektury bezpieczeństwa międzynarodowego. Gdyby Rosji udało się zająć Ukrainę, a Chinom przejąć Tajwan, upadłby status Stanów Zjednoczonych jako głównego rozgrywającego światowej polityki i gwaranta bezpieczeństwa swoich sojuszników. Z tego właśnie powodu USA nie szczędzą dolarów na pomoc dla Ukrainy, gdyż stawka w grze jest znacznie większa niż tylko obrona interesów w regionie.

Kontestatorom dolara jako światowej waluty marzy się zastąpienie go nową walutą lub wieloma różnymi, lecz w rzeczywistości atakując dolara, zdają się bardziej walczyć z instytucją powszechnie akceptowanej w międzynarodowych rozliczeniach waluty. Buntownicy z grupy BRICS najwyraźniej nie w pełni rozumieją to, że przywileje przypadające z emisji dolara to nie tylko pochodna potęgi amerykańskiego imperium, lecz także w znacznej mierze efekt swobód, które mimo wszystko zapewniają światu Stany Zjednoczone. Tego rodzaju swobód Chiny czy Rosja nie są w stanie świata zapewnić, gdyż ich system władzy zasadniczo nie współgra z wolnością w nazbyt wielu obszarach.

Pomimo więc tego, że w mediach nie ma ostatnio tygodnia, w którym nie podawano by informacji o odejściu od dolara w rozliczeniach pomiędzy kolejnymi krajami (lub nawet utworzeniu specjalnych zespołów zadaniowych do spraw dedolaryzacji, jak w Indonezji), do skuteczności tych działań należy podchodzić z dużą dozą sceptycyzmu. Detronizacji króla chciałoby wielu, lecz on ma się wciąż dobrze i wysyła wciąż kolejne sygnały świadczące o potencjalnie jeszcze bardzo długim żywocie. Szybciej niż dolar upadnie co najmniej kilka walut państw grupy BRICS.

Abonament na życie



Jacek Przybylski

Na rynku przybywa przedmiotów i usług, które nie są już na sprzedaż. Można je jednak wynająć. Prenumeraty kupuje się już nie tylko na ulubiony tygodnik (nie muszę pisać który, prawda?). Zamiast zbierania szafy z płytami DVD lub Blu-ray od lat wystarczy już tylko miesięcznie lub rocznie zapłacić za dostęp do serwisów z filmami i serialami (np. Netflix, Amazon Prime Video, Apple TV, Disney+, HBO Max etc.), a także za możliwość słuchania ulubionej muzyki poprzez muzyczne serwisy streamingowe (np. Spotify, Tidal, Deezer, Apple Music). Również większości programów – zarówno pakietów biurowych, jak i programów antywirusowych, graficznych etc. – nie kupuje się już na nośnikach, a jedynie pobiera na dysk i opłaca miesięczny lub roczny abonament. Podobnie jak z grami komputerowymi.

W modelu subskrypcyjnym działają już też siłownie, a także sklepy (można zamówić regularne dostawy choćby takich produktów jak wino, kwiaty, miód, kosmetyki, maszynki do golenia, papier toaletowy, tusz do drukarki czy karma dla psów). Przybywa również firm, które przekonują, że abonament może być alternatywą dla posiadania produktów, które kiedyś każdy chciał mieć na własność, jak choćby samochodu. Auta w Polsce można już bez trudu wynająć na godziny, dni, miesiące lub lata.

Przedsiębiorcy oferujący usługi zgodne z filozofią „Everything-As-A-Service” lub „Anything-As-A-Servive” (ang. wszystko jako usługa) zdobywają nie tylko coraz większą popularność, lecz także coraz większe dochody i lojalność klientów. Z raportu firmy Zuora wynika, że wartość przychodów firm działających w modelu abonamentowym wzrosła w latach 2012–2020 o 435 proc. Wzrost ich przychodów był zaś od pięciu do ośmiu razy większy niż w przypadku spółek z indeksu S&P 500.

Według analityków UBS od 2020 do 2025 r. globalna wartość tzw. ekonomii subskrypcji ma zaś wzrosnąć z ok. 650 mld dol. aż do 1,5 bln dol. (tak właśnie: biliona – nie ma tu żadnego błędu w tłumaczeniu). Z kolei eksperci z McKinsey szacują zaś wielkość rynku subskrypcji na 1,7–3 bln dol. Te liczby robią wrażenie na menedżerach co-

Modele subskrypcyjne dominują już nie tylko w grach, programach komputerowych, serwisach muzycznych czy filmowych. Dzięki uiszczanej co miesiąc opłacie można zamówić kawę za 1,99 zł dziennie lub włączyć „uśpione” funkcje w samochodzie, np. odblokować adaptacyjne zawieszenie, odblokować tryb autonomicznej jazdy, a nawet zmniejszyć promień zawracania

raz większej liczby przedsiębiorstw. Z raportu „How to make money in the Membership Economy” – przeprowadzonego jeszcze przed wybuchem pandemii – wynikało, że aż 70 proc. przedstawicieli firm sądziło, że modele subskrypcyjne są przyszłością w ich sektorach. Pandemia zaś jeszcze przyspieszyła rozwój biznesów spod znaku „Anything-As-A-Service” (XaaS), zapewniając wielu firmom tak potrzebną w czasach kryzysu przewidywalność przychodów oraz wysoki poziom skalowalności biznesu.

PRENUMERATA NA... MOC SILNIKA

Na subskrypcjach coraz więcej zarabiają np. firmy motoryzacyjne. I nie chodzi tylko o możliwość wykupienia abonamentu na naprawy w danym okresie czy aktualizację map. W luksusowych autach niczym w telewizyjnym dekodery można odblokowywać dodatkowe funkcje premium, takie jak choćby zwiększenie mocy silnika czy podkręcenie czasu przyspieszenia. Amerykański oddział

Mercedesa zaproponował właścicielom elektrycznej limuzyny tej marki, że po opłaceniu abonamentu ich elektryczne modele będą od zera do 100 km/h przyspieszać o 0,8–1,0 s szybciej niż w standardzie. Jak to wygląda w praktyce? Otóż wystarczy wykupić prenumeratę, a żeby np. moc Mercedesa EQE 350 4Matic zwiększyła się natychmiast z 292 do 354 KM, a czas potrzebny do osiągnięcia setki na liczniku zmalał z 6 s do 5,1 s. W przypadku modelu EQE SUV 350 4Matic moc może wzrosnąć z 292 do 354 KM, a przyspieszenie zamiast 6,2 s wyniesie 5,2 s. W tym roku ceny podwyższenia mocy auta zaczynają się od 60 dol. netto miesięcznie (można też zaoszczędzić i kupić tę opcję od razu na rok za 600 dol. netto). W droższych modelach ceny za tę samą usługę wynoszą odpowiednio 90 i 900 dol. (równowartość 3750 zł). A to i tak promocja, bo gdy Mercedes wprowadzał tę usługę w zeszłym roku, za większą moc trzeba było płacić rocznie 1,2 tys. dol. (równowartość ok. 5 tys. zł). Z kolei na rynku chińskim

Mercedes oferuje klientom zakup abonamentu na zmniejszenie w elektrycznych limuzynach średnicy zawracania. Wystarczy wykupić roczną prenumeratę, a oprogramowanie auta przestawi się tak, aby średnica zawracania od razu zmalała z 11,9 m do 10,9 m. W Europie na razie ta funkcja dostępna jest jeszcze w ramach jednorazowej opłaty. Na stronie internetowej znajduje się sklep z „cyfrowymi dodatkami”, gdzie łatwo można dokupić np. Pakiet Zdalnego Sterowania, Pakiet Nawigacji czy dodatkowe zabezpieczenia auta, umożliwiające też szybsze odnalezienie pojazdu w razie kradzieży.

Subskrypcje w swoich modelach od kilku lat sprzedaje również Tesla. W aplikacji można włączyć np. Łączność Premium, dzięki której możliwa jest np. wizualizacja ruchu drogowego w czasie rzeczywistym lub widok z kamery na żywo. Trzeba też pamiętać, że standar-

dowa, wliczona w cenę zakupu pojazdu łącznie wygasa po ośmiu latach. Za odpowiednią cykliczną opłatą już od 2021 r. można w USA odblokować w wybranych modelach Tesli pakiet Full Self-Driving, czyli Pełną Zdolność do Samodzielnej Jazdy przy użyciu autopilota. Miesięczny abonament wynosi 199 dol. netto (ok. 830 zł netto) lub 99 dol. netto (ok. 413 zł) w zależności od tego, którą wersją autopilota już dysponuje dany właściciel danego pojazdu.

Na Starym Kontynencie w ramach usługi Connected Drive w samochodach BMW można miesięcznie płacić np. za zwiększenie bezpieczeństwa i wygody jazdy w nocy. Asystent świateł drogowych, który automatycznie je włącza i wyłącza, gdy wykryje inny pojazd, kosztuje miesięcznie od „40 zł brutto”, rocznie „380 zł” lub „570 zł” od razu za trzy lata. „Na czas nieokreślony”

można wykupić tę usługę za 840 zł, ale producent zastrzega, że abonament będzie ważny tak długo, jak długo spełnione są wymagania techniczne dla danego pojazdu. W sklepie z subskrypcjami tego producenta aut premium znaleźć można również prenumeratę na automatyczne parkowanie za 80 zł miesięcznie, a nawet na adaptacyjne zawieszenie sportowe M za 95 zł miesięcznie.

BMW eksperymentowało też z opłatą abonamentową na ogrzewanie przednich foteli oraz kierownicy. Aby jesienią i zimą było kierowcy cieplej, wystarczyło kliknąć odpowiednią opcję na stronie producenta i opłacić wybrany okres. Bawarczyści tłumaczą, że w ten sposób koncern daje swym klientom możliwość przetestowania wybranych opcji i włączenia tylko tych, które naprawdę chcą. Zresztą na liście tych, którzy zarabiają na subskrypcjach,

Jeśli ekonomia subskrypcji będzie się rozwijać w takim tempie, to może się okazać, że nie będziemy posiadać nic



są też takie marki jak Audi, Cadillac, Porsche, Toyota czy Volkswagen. Za dodatkową opłatę oferują one choćby funkcję rozpoznawania głosu czy zwiększenia bezpieczeństwa jazdy. Producenci twardo idą tą drogą, mimo że np. w sondażu Cox Automotive wśród osób, które zamierzają kupić auto w ciągu następnych dwóch lat, tylko 25 proc. wyraziło chęć płacenia subskrypcji, a 75 proc. wyraziło ostrą irytację tym, że nie dość, że muszą coraz więcej płacić za nowy samochód, to producenci chcą z nich jeszcze potem regularnie ściągać haracz za odblokowanie funkcji, które są już przecież w ich aucie.

SKOKOWY WZROST PRZYCHODÓW

Menedżerowie koncernów samochodowych liczą jednak na skokowy wzrost przychodów z subskrypcji. Na przykład General Motors, który już w 2021 r. zarobił na „prenumeratach” 2 mld dol.,

szacuje, że pod koniec dekady kwota ta wzrośnie do 25–30 mld dol. rocznie. Z badań GM wynika bowiem, że klienci są gotowi wydawać na subskrypcje ulepszające swoje auto ok. 135 dol. miesięcznie (ok. 562 zł).

Podobnie jest w świecie technologii. Zamiast kupować nowy smartfon, smartwatch czy tablet, można go po prostu wynająć. Firm oferujących tę usługę w Polsce jest bardzo wiele, do wyboru są więc zarówno najnowsze produkty z systemem iOS, jak i z Androidem. W zamian za miesięczną opłatę najczęściej można wymienić telefon na nowszy model co 18 miesięcy lub nawet co 12 miesięcy, a w cenę mieć już wliczone ubezpieczenie sprzętu od kradzieży lub uszkodzenia. Przeważnie można też wykupić produkt jeszcze w okresie najmu lub już po jego zakończeniu.

Na subskrypcjach zarabiają nie tylko sprzedawcy, lecz także producenci. Można więc np. kupić obrotową kamerę IP do monitorowania domu i zdalnie samemu ją obracać, gdy coś się dzieje, ale jeśli chce się, aby dany model automatycznie śledził wykryty obiekt, to w niektórych przypadkach trzeba już zdecydować się na miesięczny abonament. Podobnie jest z przechowywaniem nagrań w chmurze. Jeśli chce się mieć prosty zdalny dostęp do tego, co się dzieło przed domem, to trzeba wykupić subskrypcję.

KAWONAMENT I MECENAT NAD UŁEM

Z ubiegłorocznego raportu Deloitte Digital wynika, że najważniejszym czynnikiem decydującym o zakupie subskrypcji nie jest wcale wygoda, ale korzyść finansowa. Tak przynajmniej zadeklarowało 47 proc. ankietowanych klientów w Polsce. Autorzy raportu zwracają jednocześnie uwagę, że subskrypcje zwiększają lojalność już zdobytych klientów (41 proc. respondentów w Polsce skróciło czas przeznaczany na korzystanie z innych podobnych usług po zakupie subskrypcji), a także prowadzą do tego, że klienci zaczynają wydawać więcej pieniędzy na dany rodzaj produktów lub usług po zakupie subskrypcji (tak przynajmniej zadeklarowało 59 proc. polskich klientów).

Sieć Żabka od października ubiegłego roku umożliwia zakup „kawonamentu”.

Jedna płatność w miesiącu odblokowuje możliwość korzystania z tysiąca ekspresów w Polsce. Kawonament Max kosztuje 59,99 zł i umożliwia kupowanie dowolnie wybranej kawy lub czekolady każdego dnia przez 30 dni (jeden napój w subskrypcji kosztuje więc 1,99 zł). Kawonament Midi za 39,99 zł daje możliwość zakupu 15 kaw w ciągu 30 dni (cena jednej wynosi wówczas 2,67 zł) etc.

Na stronie Roisie.pl można z kolei wykupić swego rodzaju abonament na miód. Firma oferuje mecenat nad 15 tys. pszczoł za 50 zł miesięcznie – w ciągu 12 miesięcy trwania mecenas otrzyma wówczas 10 słoików miodu 750 g z częstotliwością co pół roku. Za 100 zł miesięcznie można objąć pieczę nad 30 tys. pszczoł (i dostać więcej miodu z większą częstotliwością), a w abonamencie za 200 zł można pochwalić się wypełnionym 60 tys. pszczoł, otrzymać jeszcze więcej miodu, a także nazwać wybrany przez siebie ul i otrzymywać serię zdjęć o zapylających podopiecznych.

DRENAŻ PORTFELI

Bez trudu można znaleźć abonament na wina, kwiaty, karmę dla psów i kotów czy skarpetki (im dłużej trwa abonament, tym większy rabat można otrzymać). Wiele firm promuje również rezygnację z kupowania ubrań i wynajmowanie potrzebnych kreacji w zależności od okazji.

Jeśli ekonomia subskrypcji będzie się rozwijać w zakładanym przez ekspertów tempie, to może się okazać, że w niedalekiej przyszłości nie będziemy mieli na własność niemal nic. Zarówno mieszkanie, telefon, jak i ubrania dostępne będą bowiem głównie w abonamencie. I chociaż zabrzmi jak typowy konserwatysta, to bardzo szybkie w ostatnich miesiącach podwyżki cen popularnych serwisów streamingowych (nawet o kilkadziesiąt procent w ciągu roku) sprawiły, że ja sam w ostatnich tygodniach mocno ograniczyłem liczbę subskrypcji. Po zsumowaniu drobnych kwot zbiera się bowiem całkiem konkretna liczba. Tym bardziej więc tak podstawowe rzeczy jak dom, samochód czy ubrania wolałbym ciągle posiadać na własność, nie ryzykując, że nagle ktoś zmieni zasady gry i każe oddać wszystko z wynajętymi na kwartał skarpetkami włącznie.



BMW i5 M60 xDRIVE

Wielka moc. Cicha moc. Czysta moc. Tak pokrótce można scharakteryzować najnowszą elektryczną sportową limuzynę marki BMW.

Nowa, pierwszy raz całkowicie elektryczna odsłona najpopularniejszej biznesowej limuzyny na świecie swoją premierę miała w październiku tego roku. Napęd eDrive o mocy 601 KM (słownie: sześciuset jeden) i maksymalnym momencie obrotowym wynoszącym 820 Nm pozwala rozpędzić elektryczną „piątkę” od zera do 100 km/h w zaledwie 3,8 s.

Mocy w tym modelu – jak to w samochodach klasy M – nie brakuje w żadnej sytuacji, którą można sobie wyobrazić na drodze. Ani przy dynamicznych startach pod światłami, ani podczas wyprzedzania na drogach krajowych czy szybkiego pokonywania

serpentyń, ani na autostradzie. Bo to jest wreszcie „elektryk”, który nie tylko nie boi się autostrad, lecz także – wręcz przeciwnie – jest stworzony na drogi bardzo szybkiego ruchu. Prędkość maksymalna w i5 M60 wynosi bowiem aż 260 km/h.

I chociaż przynajmniej, że aż tak szybko tą limuzyną nie jechałem, to przy prędkościach dozwolonych na polskich autostradach mogłem przetestować kolejną zaletę tego modelu: zasięg przy wysokich prędkościach. Dzięki opływowej sylwetce ze współczynnikiem aerodynamicznym wynoszącym zaledwie 0,23 Cx oraz ogromnej baterii BMW i5 M60 xDrive na jednym ładowaniu można przejechać nawet 580 km. Zasięg przy prędkościach autostradowych jest oczywiście istotnie mniejszy, ale podczas testu w zimne listopadowe dni udało mi się pokonać ekspresowymi prędkościami 359 km, a następnie

grzecznie zjechać na doładowanie. Jednocześnie komputer pokładowy informował mnie, że jeśli zdjąłbym nogę z gazu, to zasięg wzrósłby maksymalnie do 530 km, a gdybym przycisnął gaz jeszcze mocniej, to przejechałbym minimalnie 245 km.

Miło zaskakuje też czas ładowania akumulatora o pojemności 82,1 kWh. Pod ładowarkę podjechałem z rezerwą zaledwie 7 proc. baterii (i zasięgiem 29 km). Zaledwie po 10 minutach akumulator był już naładowany do 35 proc. (zasięg 143 km), a po 20 minutach bateria była naładowana w 56 proc. (co pozwoliłoby przejechać 227 km). Po 30 minutach ładowania akumulator był już uzupełniony w 82 proc., co komputer pokładowy przeliczył na zimowy zasięg wynoszący 335 km (mimo że temperatura na zewnątrz wynosiła ledwie kilka stopni na plusie). Dane dotyczą ładowarki o mocy 140 kW. A tymczasem energię można uzupełniać nawet na ładowarkach o mocy ponad 200 kW, co jeszcze skraca potrzebny na ładowanie czas.

Auto pokazuje pazur nie tylko na długich prostych, lecz także na ostrych zakrętach. Znakomity układ kierowniczy jest wyjątkowo precyzyjny, ale z prowadzeniem dadzą sobie radę nawet początkujący kierowcy (systemy kontroli pomogą wyeliminować podstawowe błędy). Jak przystało na luksusową limuzynę, we wnętrzu panują kunsztowny minimalizm z odrobiną sportowej awangardy.

Za sześćsetkonną elektryczną „piątkę” trzeba zapłacić co najmniej pół miliona zł. ☹☹

FOT. JAP

MIKROFON SENNHEISER PROFILE STREAMING SET

Bardzo dobra jakość dźwięku, intuicyjna obsługa oraz atrakcyjny stosunek ceny do jakości – to największe zalety mikrofonu niemieckiej firmy Sennheiser.

Testowany model stworzono z myślą o autorach internetowych streamingów i podcastów, piosenkarzach/gitarzystach amatorach oraz o miłośnikach zdalnych konferencji na Zoomie czy Teamsach, którym zależy na tym, aby szefowie i współpracownicy mieli wrażenie, że są razem z nimi w jednym pomieszczeniu. Może być też wykorzystywany przez publicystów i wszelkiej maści ekspertów do wchodzenia na antenę radiową bez konieczności opuszczania domowego biura.

Wzornictwo jest nowoczesne. Bardzo dobrze wykonany mikrofon jest wyposażony we wskaźniki LED. Najważniejsze w samej konstrukcji są zaś tak naprawdę dwa elementy: solidne składane, trzypunktowe ramię, które pozwala ustawić mikrofon w optymalnej odległości od źródła dźwięku (najlepiej nie więcej niż 15 cm) oraz wystarczająco długi, bo aż trzymetrowy kabel USB-C.

Zarówno konfiguracja, jak i obsługa są banalnie proste (choć regulacja łamanego wysięgnika może wymagać nieco siły). W zasadzie nawet kompletny



amator może po prostu podpiąć ten mikrofon do komputera i od razu zacząć z niego korzystać. Nie potrzeba instalować żadnego oprogramowania. Zarówno komputery z Windowsem, jak i macOS bez problemu identyfikują mikrofon jako źródło dźwięku.

Sennheiser Profile Streaming Set pozwala dostosować poziom mikrofonu, zbalansować dźwięk mikrofonu z dźwiękiem urządzenia, a także ustawić odpowiedni poziom odsłuchu w słuchawkach. Jest też niezbędny podczas nagrań lub połączeń na żywo przycisk wyciszenia, który jest wyraźnie oznakowany światłem LED (czerwony – mikrofon wyciszony, zielony – włączony).

Jakość dźwięku jest bardzo dobra. Mikrofon zapewnia naturalny dźwięk, który w nienachalny sposób podkreśla barwę głosu. Sprawnie radzi sobie również z tłumieniem dźwięków tła.

Wady? Szkoda, że w zestawie nie ma mikrofonowego pop filtra, który znacząco redukuje efekty wyraźnego wypowiedzianego spółgłoski wybuchowej i zmniejsza czas konieczny na postprodukcję (tym bardziej że w sklepach z elektroniką ceny takich gadżetów zaczynają się od niecałych 30 zł). Przydałoby się też pewnie w zestawie jakieś oprogramowanie z efektami dźwiękowymi. Poza tym trudno się do czegoś przyczepić.

Cena: 899 zł. ☹☹



JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Heca w Warszawie

Stolica Rzeczypospolitej dopiero pod koniec XVIII w. otrzymała stały amfiteatr przeznaczony do walk dzikich zwierząt. W 1776 r. na skrzyżowaniu dzisiejszych Brackiej i Chmielnej wzniesiono ogromny budynek z drewna nawiązujący układem do rzymskiego Koloseum. Widownia mogła

pomieścić 3 tys. osób, całość miała średnicę ok. 40 m. To wątpliwe cudo architektoniczne nazywało się z francuska Amfiteatrem i miało nawet dwie loże: górną, przeznaczoną dla wybitnych gości, i dolną – dla orkiestry.

Publiczność nazywała jednak miejsce Szczwalnią, gdyż w niedzielę lub święta urządzano tutaj krwawe widowiska z udziałem zwierząt, ale w użyciu poja-

wiała się też nazwa „Heca”, gdyż tym mianem określano niezwykle przedstawienia lub parady.

Od samego początku Heca służyła do urządzania krwawych widowisk, a przede wszystkim szczucia dzikich zwierząt, które uwalniano z klatek i wypuszczano na nie myśliwskie psy. Jej budowniczym był Efraim Schroeger, a właścicielem złotnik Ingermann, miłośnik takich zabaw; organizował je jeszcze dla króla Augusta III Sasa (który uwielbiał strzelać do zwierząt wypuszczanych z klatek,

a kiedy ich brakowało, brał na cel bezpieczne psy).

Heca miała prawie współczesną oprawę i reklamę godną dzisiejszych widowisk. Na bramie zawieszano afisze o nadchodzących atrakcjach. Po ulicach jeździli koni hecarze, zachęcający ludność do udziału w przedstawieniach.

Na początku działalności amfiteatr pękał w szwach, jednak wkrótce widowiska zbrzydły warszawiakom. Król Stanisław August Poniatowski ponoć wziął w nich udział tylko raz. Zniesmaczony, kazał zmienić zwierzęta, wypuszczając lisy i ogary; dopiero ich pościgi ubawiły władcę i obecnych na hecy dworaków. W relacjach cudzoziemców odwiedzających Szczwalnię bywał tutaj przede wszystkim tłumek pośledniego sortu. Dominował warszawski plebs – kowale, rzeźnicy, rzemieślnicy, żołnierze z garnizonu, uliczne dziewczki i studenci oraz oczywiście margines społeczny.

Odwiedzający amfiteatr ok. 1792 r. Joachim Christian Fryderyk Schulz pisał, że Heca warszawska cieszy się o połowę mniejszym zainteresowaniem mieszkańców niż jej odpowiednik w Wiedniu. Cóż, ludzie wieku oświecenia mieli wrażliwość zupełnie inną niż ich pradziadowie z XVII w. A tymczasem jeszcze za króla Władysława IV takie widowiska organizowano pod Zamkiem Królewskim w Warszawie. Jak 19 września 1637 r., kiedy przywieziono niedźwiedzie, konie, żubry, dziki i byki, na które wypuszczono psy. Widowisko skończyło się skandalem; pisał o tym Albrycht Stanisław Radziwiłł: „Zakończyło się niewczesnym śmiechem, z którym, gdy psy zagryzły niedźwiedzia, wyrwała się Wenera”. Wenera to

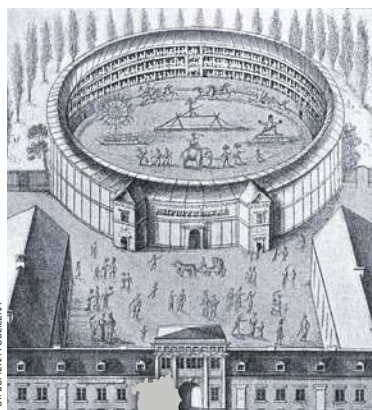
kochanka króla Jadwiga Łuszkowska, która pechowo odezwała się nie w porę i zwróciła na siebie uwagę królowej. Kiedy dworzanie uświadomili ją, kim naprawdę jest owa dama, stało się to przyczyną głębokiej niechęci Cecylii Renaty do metresy małżonka.

Heca zaczęła podupadać wraz z I Rzeczpospolitą. Jednak jej dalsze losy okazały się zaskakujące. Na początku XIX w. przejął ją artysta z Gospodarstwa Mołdawskiego Jordaki Kuparentko, linoskok, twórca dekoracji teatralnych, a przy okazji wynalazca i baloniarz. W 1806 r. zresztą przeżył wypadek – musiał skakać z balonu ze spadochronem własnego pomysłu. Nie zniechęciło go to jednak do urządzania kolejnych lotów – np. w 1808 r. W ogóle była to postać nietuzinkowa: właściciel kilku teatrów marionetek, a także gabinetów mechanicznych figur i teatru mechaniczno-optycznego.

Mołdavianin, który ostatecznie został właścicielem Szczwalni w 1821 r., zamienił ją w prawdziwy, stały cyrk, w którym urządzało się zarówno pokazy linoskoczków, akrobatów, tresowanych zwierząt, jak i balonów oraz fajerwerków. Dodatkowo prezentowano tam słonie i dzikie zwierzęta.

Heca przetrwała do upadku powstania listopadowego. W 1831 r. Kuparentko sprzedał amfiteatr; jednak z powodu coraz rzadszego używania i niedbałości kolejnych właścicieli Szczwalnia zaczęła się walić. Jej rolę przejęły inne przedsięwzięcia, jak cyrk Alberta Salomońskiego czy jeszcze większy – Cinisellich.

Ostatecznie została rozebrana w 1852 r. Dziś mniej więcej w tym miejscu w Warszawie mieszczą się Dom Handlowy Braci Jabłkowski i okoliczne kamienie. ©



FOT. DOMENA PUBLICZNA

RYS. OBA

• Warszawa

I RZECZYPOSPOLITA



ANNA POPEK Z D. CHRUIK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRUIK

SIOSTRY GOTUJĄ

Zupa mocy

Zupy są bardzo zdrowe, mają moc uzdrawiającą, a przy tym są sycące, rozgrzewające, dodają siły i wspierają organizm. Na Dalekim Wschodzie uważane są wręcz za lek na wiele dolegliwości. Według tradycji wschodniej „zupa mocy” to wolno gotowany wywar z mięsa i kości szpikowych oraz dużej ilości warzyw i ziół. Gotuje się ją nawet kilka dni. Do dziś podaje się ją nowożeńcom w noc poślubną, aby wsparła organizm i poczęcie pierwotnego dziecka. Według tradycyjnej medycyny chińskiej sam proces gotowania jest ściśle określony i ma swoją kolejność, każdy składnik odpowiada za konkretny żywioł. W kuchni żydowskiej rosół uznawany jest za antybiotyk – iście naturalną penicylinę.

My również mamy swoją polską „zupę mocy”. Nasz tradycyjny rosół to ulubiona zupa Polaków. Króluje na naszych stołach od zarania dziejów. W naszym domu rosół obowiązkowo gotowano na kościach szpikowych, na goleni wołowej i kurze. Ponoć najlepszy to ten ugotowany na mięsach mieszanych z dodatkiem podrobów – żołądków i serc – a także kurzych łapek. Sam szpik jest najbardziej wartościową częścią kości – produkuje czerwone krwinki, dlatego też jest bardzo bogaty w żelazo. Oprócz tego zawiera kwasy omega-3 oraz aminokwasy, witaminy i mikroelementy, a kości to minerały i kolagen.

Rosół lubi długie, ale niezbyt intensywne gotowanie. Aby wydobyć jeszcze więcej wartości z mięsa, możemy dodać łyżkę octu jabłkowego, kwaśne środowisko sprzyja bowiem przenikaniu wartości z mięsa do rosółu. W naszym domu się tak nie robiło, ale teraz bardzo popularne jest przed gotowaniem opiekanie w piekarniku zarówno mięsa, jak

i warzyw na złoty kolor, a następnie z tak przygotowanych składników gotowanie rosółu.

A co z tą szumowiną? Są dwie szkoły. Jedna mówi, że należy ją zebrać i wyrzucić, bo może zamulić rosół, druga – że to cenne białko i kolagen, więc należy ją pozostawić, bo i tak na koniec opadnie na dno garnka, a dzięki temu smak rosółu będzie jeszcze bardziej intensywny. Talerze po brzegi wypełnione swoim makaronem, pokrojona marchewka w kostkę i posiekana zielona pietruszka to wspomnienie dzieciństwa. Rosół był u nas zawsze w niedziele, smakował wyśmienicie i dawał nam energię na cały tydzień.

Przepis na rosół

- ½ kg kości wołowych – szpikowych
- ½ szpondru goleni i łaty wołowej
- ½ kury rosółowej albo 2 ćwiartki z kurczaka lub skrzydełka
- podroby: żołądki, serca
- kilka łapek z kurczaka
- włoszczyzna: 3 marchewki, 2 pietruszki, 1 seler, 2 łodygi selera naciowego
- 2 cebule
- ziele angielski
- kilka kuleczek
- listek laurowy
- kilka sztuk
- ziarenka czarnego pieprzu
- sól, pieprz, łyżka sosu sojowego
- 2 łyżki octu jabłkowego
- pęczek zielonej pietruszki

Mięso wołowe wkładamy do zimnej wody i zagotowujemy, zbieramy szumowinę. Włoszczyznę możemy podpieć w piekarniku przez ok. 15 min w 200 st. C razem z kurą lub drobiem. Do zagotowanego mięsa dokładamy włoszczyznę i inne kawałki mięsa. Dodajemy przyprawy i gotujemy na wolnym ogniu przez ok. cztery godziny, a im dłużej, tym lepiej. Podajemy z kluseczkami, makaronem lub możemy popijać czysty. ☺☺



JOANNA BOJAŃCZYK

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

Jesienne kwiaty

Nie ma już prawdziwych kwiatów – pożałowałam się panu Maćkowi, kwiaciarczywi, u którego co sobotę kupuję kwiaty na naszym targu. – Jak to nie ma? A to? – zdziwił się pan Maciek, wskazując na tulipany, goździki, gerbery i róże, które właśnie wyładowywał z samochodu.

Prawdziwe to dla mnie kwiaty z ogrodu, ale trudno, żeby były w listopadzie. Tych wytworów eleganckiego szklarnictwa nie lubię. Ale i tak będę w kwiaciarniach do czerwca: goździki (z Turcji), storczyki (z Tajlandii i Australii), gerbery, kuzynki astrów, Bóg wie skąd. Ślad węglowy zmilczę.

Weźmy różę. Swoją podróż do samochodu pana Maćka rozpoczęła, gdy ścięto ją z krzaka w Boliwii, Ekwadorze lub w Kenii. Posortowana spędziła dwa dni w chłodni. Bez schłodzenia byłoby po niej – kłapnie, zwiesi głowę. A tak może trzymać się i miesiąc. Po zimnej kąpeli rozpoczyna pierwszy etap podróży – do Holandii. Tam trafia na jedną z 11 giełd, gdzie zostaje kupiona przez jednego z hurtowników. Następnego dnia trafi do samolotu, pociągu lub tira i podąży do kraju przeznaczenia. Tam znowu znajdzie się w hurcie, na jednej z giełd krajowych. Takich jak np. ta w Broniszach pod Warszawą, gdzie zaczeka na polskiego odbiorcę. Stamtąd ruszy w przedostatnią trasę – do kwiaciarni. Mój wazon byłby punktem docelowym

tej podróży. Ale nie będzie, bo sama sobie róż nie kupuję, licząc na gości z gestem oraz rodzinę, jeśli nie zapomną o imieninach.

W PRL na wszystkich wyjazdach z Warszawy dymiły opalane miałem szklarnie. PGR Mysiadło w zimowe wieczory jarzyło się światłem bijącym od hektarów pod szkłem. W środku – gerbery, goździki, róże. Szklarnie zakładano na przełomie lat 60. i 70., kiedy produkcja kwiatów zaczęła się opłacać. Badylarz stał się symbolem finansowej kariery tamtych czasów. Miał willę i mercedesa. W dni popularnych imienin – Jana, Stanisława, Barbary, Zofii – kwiaciarnie przeżywały obłęd. Pojawić się u solenizanta z pustymi rękami byłoby nietaktem.

Za Gomułki królowały goździki, za Gierka zastąpiły je gerbery. W Dniu Kobiet panowie defilowali po ulicach, każdy z wiązanką, w środku tulipan lub goździk. Kwiaty wręczano przy wszystkich okazjach: odnaceniu państwowych, nagrodach, rocznicach. – Rączka, kłapka, buźka, goździk – naśmiewał się Pietrzak w kabarecie Pod Egidą.

Dzisiaj, żeby moje liczne wazonie nie stały puste, na pocieszenie kupuję sobie pęczek anemicznych goździków albo alstromerii, które w postaci żywej i dorodnej widziałam na Sri Lance, ale które do Polski przybywają z Chile. Wolę nie myśleć o ich długiej podróży. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Pojednanie przez usuwanie?

Zastanawiałem się ostatnio nad potrzebą istnienia jakiegoś widomego znaku nowej Polski po ostatnich wyborach. Bo to tak będzie, że różne strony będą mówić różnie, jak mówi przysłowie, że „jeden twierdzi, że śmierdzi, a drugi przeciwnie – że pachnie przedziwnie”. Tuski, wiadomo, będą mówić, że oddychać już łatwiej, kasy może nie będzie, ale winny wyziera zza grzanego deficytu budżetowego. PiS-y będą mówić odwrotnie, że kraj (znowu) w ruinie, że gnębą, a przyjęte (na razie obiecane) środki „pociągania” do odpowiedzialności to jakieś trybunały ludowe, tak ludowe jak EPP, kawiorowa partia ludu unijno-europejskich oficjeli. Nie będzie więc wiadomo, jak jest naprawdę, i trzeba się będzie głowić, by to ustalić, tym bardziej w widomym znaku, w dodatku dynamicznie podążającym za zmianami. A ja mam taką busolę.

To będzie pomnik ofiar smoleńskich, słynne schody. Projekt architektonicznie ryzykowny, gdyż spełnia wszelkie warunki przestrzeni happeningowej, zaprasza do wejścia i odpalania różnych demonstracji demosu. Za władzy już byłby to przedmiot wielu trosk, z całodobowym pilnowaniem włącznie, a dnio-wyborcza próba wysadzenia się za pomocą fejkowego „pasa tuskida” zamknęła kłamrą jego bezpieczny byt w PiS-owskiej Polsce.

Dla opozycji był on od początku przedmiotem kpiny, od

estetycznych, do politycznych, łącznie z urządzaniem tam sobie prowokacyjnych happeningów przeciw władzy. Do tej pory schody smoleńskie chroniła policja, która teraz odejdzie wraz z PiS. I pomnik stanie się papierkiem lakmusem nowych czasów. Jest tu parę opcji.

Pierwsza to taka, że nic się nie zmieni po rezygnacji policji z pilnowania obiektu. Szczerze, to mało w to wierzę. Teraz to będzie dopiero schodkowa tradycja, by wejść, pokazać osiem gwiazdek, pomalować fajnopolskie graffiti, zrobić konkurs, kto najwyżej wjedzie na deskorolce. Możemy też mieć smutny wynik. Posprejowaną ruinkę w centrum miasta, może też być do zrealizowania – postulowany przez opozycyjnych ultrasów – wywóz schodów w nieznane, jako reliktu samowoli budowlanej.

Myślę, że skończy się na „kompromisie” – pomnik smoleński stanie się totemem przejmowanym rotacyjnie przez plemiona, miejscem symbolicznej walki, która wreszcie znajdzie swój wizualny wyraz – sprejowanie i czyszczenie na przemian, straża obywatelskie w obronie, szarpaniny i znieważania, szczególnie w okresach rocznicowych.

Coś tak jak kiedyś z krzyżem pod Pałacem Prezydenckim. Czy i tym razem przedmiot sporu usunie Kościół, by Polacy pojednali się wreszcie, tracąc symbol ich różnych przekonań? ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Czas próby

Do niedawna miałem nadzieję, że w obronie najważniejszych, jak określili polscy biskupi: „nienegocjowalnych wartości” posłowie PiS i Suwerennej Polski będą mogli budować trwały sojusz z posłami ugrupowań, które będą tworzyć rząd Tuska. Skoro wiosną wielu posłów PSL opowiedziało się za obroną dobrego imienia św. Jana Pawła, to zdawało się, że w oparciu o szacunek do polskiego papieża i solidarnościową tradycję możliwa będzie w nowym Sejmie współpraca na rzecz obrony życia, suwerenności i rodziny. Nadzieję budził też wynik referendum. Choć rezultat nie ma skutków prawnych, fakt, że przeciw napływowi migrantów, za ochroną polskich granic, za zachowaniem majątku Skarbu Państwa opowiedziało się 11 mln Polaków (ponad 40 proc. głosujących – czyli więcej niż elektorat PiS, PJJ i Konfederacji), może być wskazaniem, że wśród wyborców anty-PiS jest też tożsamościowa wrażliwość.

Przytoczone kalkulacje, wobec przedwyborczej zapowiedzi Donalda Tuska wprowadzenie dopuszczalności aborcji do 12. tygodnia, mogą być przesłanką, że fundamentalna wartość konstytucyjna, którą jest ochrona życia, w nowym Sejmie jest do ocalenia. Za dwa lata mamy wybory prezydenckie i dla prawicy rozpoczyna się czas, w którym musi pokazać, że kurs wskazany osiem lat temu przez wyborców wart jest kontynuacji. PiS

uzyskał wystarczające poparcie społeczne, by być siłą, która będzie stać na straży wartości konstytucyjnych i suwerenności Polski. Może skutecznie blokować zakusy Komisji Europejskiej na tworzenie oligarchicznego superpaństwa. Ale czy Zjednoczona Prawica będzie chciała walczyć o tożsamość chrześcijańską i obronę życia, skoro sam Morawiecki ogłasza, że przyczyną porażki PiS było skierowanie wniosku do Trybunału Konstytucyjnego dotyczącego aborcji eugenicznej? Jeśli ze szczytów partii idzie tak kapitulanki przekaz, to jak zachowują się szeregowi posłowie?

Andrzej Duda jest strażnikiem konstytucji. Cięży na nim zobowiązanie wobec narodu, wielu milionów wyborców, którzy powierzyli mu ten mandat. Pamięamy przecież, że kwestie światopoglądowe w starciu Trzaskowski – Duda były jedną z najbardziej wyrazistych różnic.

Wybory parlamentarne nie uchylają poprzednich, prezydenckich. Suweren naród umożliwił powołanie innej koalicji rządowej, tym samym wyborcy nakazują teraz współpracę prezydenta i nowego rządu. Fundamentem współpracy winien być szacunek do konstytucji. Ustawa zasadnicza nie jest tylko techniczną instrukcją wyłaniania władz. To system norm, drogowskaz i zbiór wartości społecznych, które państwo musi wykonywać. Ochrona życia jest taką wartością. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Mądrość etapu

Polska to kraj nieograniczonych możliwości. Stop. Siedzisz sobie bez pośpiechu za kratami podejrzany o przyjęcie paru milionów łapówek, z perspektywą kilkuletniego wyroku, i nagle „cyk” – zostajesz europoseł, z pensją ok. 70 tys. miesięcznie i, co ważniejsze, z immunitetem. Stop. Nasz polski „Karpiński dream” bije na głowy „American dream”. Stop. Podejrzany w gigantycznej warszawskiej aferze śmieciowej Włodzimierz Karpiński zgodził się objąć mandat europośła, bo konkurenci do tego miejsca albo poszli do biedniejszego, polskiego parlamentu, albo pomarli. Stop. Niech zakratowani nie tracą nadziei!

Uznany autorytet prawnicy prof. Wojciech Sadurski (szczególnie uznany przez obóz nadzwyczaj demokratyczny) po decyzji prezydenta Andrzeja Dudy o powierzeniu misji formowania rządu Mateuszowi Morawieckiemu wydał na portalu X rozkazy prawnicze: „Żadnych rozmów z prezydentem tymczasowym. Otoczyć kordonem sanitarnym. Traktować jak zadżumionego. Pokazywać światu, że nie ma elementarnej demokratycznej wiarygodności”. Stop. Jeżeli prawnik nazywa dwukrotnie legalnie wybranego prezydenta piastującego swą funkcję osiem lat „prezydentem tymczasowym”, jeżeli prawnik nakazuje otoczyć prezydenta, który legalnie rządzić będzie jeszcze dwa lata, „kordonem sanitarnym” itd., to muszą

państwo wiedzieć jedno: to musi być autorytet Miasteczka Wilanów. Stop.

Zawsze mówiłem, to mnie nikt nie słuchał. Stop. Słowa wypowiediane przez szefa Lewicy, Włodzimierza Czarzastego, mają moc magicznie uspokajającą. Stop. Sprawia to prawdopodobnie mieszanka stoicyzmu, życiowych doświadczeń, pogodzenia się z chłostającą przeszłością z delikatną nutką cynizmu. Włodzimierz w czasie wywiadu radiowego rzekł: „Aborcja moim zdaniem w tym Sejmie nie przejdzie”. Stop. Najważniejszy punkt programu wyborczego albo jeden z najważniejszych Lewicy i KO nie zostanie zrealizowany. Stop. Normalnie po takiej deklaracji należałoby się spodziewać 200 tys. rozsierdzonych Mart Lempart na ulicach stolicy, z parasolkami i wykrzykiwanymi hasłami, żeby natychmiast „.....dalać”, a tu nie. Stop. No bo co robić? Stop. Ma Włodzimierz moc przekazywania niepopularnych informacji...

Nowy poseł, szef AgroUnii, Michał Kołodziejczak, nie odciął się jeszcze od zadymiariskiej – czy tam związkowej – przeszłości, ale zdaje się, że na dobrej jest drodze. Stop. Na drogi z innymi rolnikami wyrzucił jedzenie, a drogi czy tam ulice blokował, dzięki czemu tam ułamek kariery. Ale teraz ostrzega! Stop. „Obserwuję radykalizujący się przekaz TVP Info i mam wrażenie, że przygotowują ludzi do wyjścia na ulicę”. Mądrość etapu... © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIEROMEJCZYK

SPODE ŁBA

Niewdzięczni wyborcy

Ciekawą opinię wyraził w mediach społecznościowych europoseł Jacek Saryusz-Wolski. Komentując artykuł opublikowany w „Kulturze Liberalnej”, a zatytułowany „PiS nie rozumie, dlaczego przegrał wybory”, europoseł odpowiedział: „ROZUMIE, tylko liczył na cud, wdzięczność, instynkt państwowy i samozachowawczy, patriotyzm. PiS nie przegrał, tylko nie ma koalicjanta/koalicjantów”.

Trudno zrozumieć, dlaczego PiS miałby liczyć na cud. Wy tłumaczenie najprostsze – i zapewne najbardziej prawdopodobne – podpowiada, że zdaniem europośła sama Opatrzność powinna mieć jego ugrupowanie w opiece. Politycy partii rządzącej przyzwyczaili już nas do ostentacyjnego okazywania pychy, a przypisawszy sobie „wyłączność na patriotyzm”, mogli też oczekiwać należnych im Boskich względów. Być może jednak cudem miało być zaistnienie kolejnych elementów wyliczanki – okazanie przez Polaków „wdzięczności, instynktu państwowego i samozachowawczego, patriotyzmu”.

Co może mieć na myśli Jacek Saryusz-Wolski, oczekując od wyborców wdzięczności? W nowoczesnej demokracji wyborca spośród współzawodniczących o jego poparcie partii wybiera tę, której powierzyć chce władzę. Urzędnicy i posłowie pełnią z jego nadania służbę publiczną, za którą są odpowiednio

wynagradzani. To oni mogą być wdzięczni wyborcom, nie inaczej. Wdzięczność za sprawowanie nad nimi rządów zobowiązywać mogła feudalnych poddanych. Wolni obywatele nie są do niej zobowiązani.

Podobnie niepokojące jest formułowanie opinii, że wykazanie się przez Polaków patriotyzmem w wyborach byłoby cudem, który, niestety, nie nastąpił. Widząc nasz niepatriotyczny w większości naród, dziw bierze, że osoba tak godna jak Jacek Saryusz-Wolski wciąż chce go jeszcze reprezentować. Może powoduje europoseł chęć zaopiekowania się osobami niespełna rozumu – wariatami niebezpiecznymi dla siebie, bo pozbawionymi „instynktu samozachowawczego”? Jeśli tak, to rzeczywiście powinniśmy być wdzięczni, objąć dobrodzieją pod kolana i poprosić, by nas broń Boże nie opuszczał. Będziemy mieli okazję to zrobić już w najbliższych wyborach do europarlamentu.

Odchodząca elita władzy uparcie wypiera się odpowiedzialności za wyborczą porażkę. Winą gotowa jest obarczyć „refleks postkomunistyczny”, „zmiany cywilizacyjne” i ciemny plebs.

Określanie większości wyborców jako niepatriotycznych niewdzięczników nierozumiejących konsekwencji własnych czynów na skutek braku instynktu samozachowawczego to sama kwintesencja „udeckiego gadania”. Tak żegna się z władzą salonowa „prawica”. © ©



KRYSZTOF KRATIUŁ

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Dewoitylizacja. Przypadek Wandy Półtawskiej

Polskojęzyczna ojkofobia miewała przeróżne odsłony. Ludzie z polskim paszportem potrafili odcinać się od Kościoła, od przeszłości swego narodu, wyśmiewać żołnierzy poległych w obronie granic, wykpiwać nasze wielowiekowe tradycje, obyczaje i wartości, wreszcie wskazywać, że Polacy popełnili wszystkie możliwe najstraszniejsze zbrodnie na wszystkich możliwych narodach i mniejszościach.

Jeszcze jakiś czas temu hejt powstrzymywany był w godzinie czyjejś śmierci. Ale zwyczaj ów także należy już do minionych.

Dewoitylizacja trwa dziś w polskich mediach (wspomnijmy tylko filmy przygotowane przez TVN) oraz w Internecie

Pod koniec października zmarła pani dr Wanda Półtawska – autorytet wielu pokoleń Polaków, znana głównie jako przyjaciółka i doradca Jana Pawła II. Z tego ostatniego powodu na pamięć o pani Wandzie spadły lewicowe gromy. Od czci i wiary odsądzali ją etycy i filozofowie, a także byli kapłani, wszyscy na łamach i częstotliwościach mediów nawołujących na co dzień do szacunku dla drugiej osoby, dla innego światopoglądu, a przede wszystkim dla kobiet i seniorów. W dniu śmierci staruszki, która przeżyła hitlerowski obóz Ravensbrück i służyła Polakom swym lekarskim, psychia-

trycznym doświadczeniem przez długie dekady.

Jeszcze parę lat temu byłoby to nie do pomyślenia. Gdyby pani Wanda odeszła nie w wieku 102 lat, ale 90, a więc dekadę temu, do tych haniebnych wypowiedzi jeszcze by nie doszło. Dlaczego? Czyżby przez 10 lat tak bardzo zmieniły się w Polsce obyczaje? Przecież matki i ojcowie rozmaitych Obirków i Śród i tak nie mieli już wpływu na ich dobre wychowanie.

Otóż odpowiedź jest inna. Nie chodzi o – obecny wśród nas skądinąd – proces upadku obyczajów. Chodzi o inny, zdecydowanie bardziej dynamicznie postępujący proces – o dechrystianizację. A ujmując rzecz bardziej szczegółowo, o dechrystianizację przez dewoitylizację.

Polski katolicyzm wciąż posiada twarz Jana Pawła II. Wciąż żyją całe pokolenia Polaków uformowane przez niego albo przez kapłanów, których – pośrednio czy bezpośrednio – wychowali Wojtyła i jego pontyfikat. Każdy więc cios w ten autorytet stanowi cios w chrześcijańską Polskę.

Dekadę temu takich ciosów nie wolno było jeszcze zadawać. Oczywiście hydra antychrześcijańskiej rewolty już wtedy podnosiła głowę i prężyła muskuły nad Polską, ale wówczas jeszcze nieśmiało, niejako z daleka. Dziś uważa, że zwyciężyła i nie musi się z niczym kryć. Przeprowadziła swe służby przez nasze miasta, hordy ukryte pod wieszakami i parasolkami, domagające się triumfu cywilizacji śmierci. Z której ideami duet Wojtyła-Półtawska walczył przecież z całą zaciekleścią.

Dewoitylizacja trwa dziś w polskich mediach (wspomnijmy tylko filmy przygotowane przez TVN) oraz w Internecie, polski Kościół powoli zaczyna bić się w piersi, że źle zagospodarował mit niekoronowanego króla Polaków (jakim niewątpliwie był swego czasu Jan Paweł II), ale ośmielam się postawić kontrowersyjną dla wielu tezę, że dewoitylizacja w Polsce nie następowałaby tak szybko, gdyby nie dewoitylizacja... Watykanu.

W pewien sposób bowiem to papież Franciszek podżyrował swym autorytetem powszechną zmianę w postrzeganiu swego polskiego poprzednika i jednego z jego największych dzieł – rozdzielania cywilizacji katolickiej od cywilizacji śmierci. To Franciszek przekształcił Papieską Akademię Życia w uczelnię zatrudniającą m.in. zwolenników aborcji i eutanazji, a Papieski Instytut dla Studiów nad Małżeństwem i Rodziną w instytucję, na której czele może stać człowiek ogłaszający, że „rodziny nie należy przypisywać jakichkolwiek pewników, skoro widzimy, jakie przemiany dziś przechodzi”. To Franciszek zezwolił na Komunię dla rozwodników, na którą nie godził się Wojtyła, zawsze podkreślając nierozzerwalność małżeństwa.

Przyznają państwo, że przy takiej atmosferze panującej w Watykanie wrogom chrześcijaństwa nad Wisłą łatwiej jest działać, opluwając i demontując – na razie wyłącznie w sposób alegoryczny – pomniki Jana Pawła II. A rodzajem takiego właśnie pomnika była wszak przez lata świętej pamięci Wanda Półtawska. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA



FOT. W. CEROŃSKI/D. JAROSZ

Na Marsz Niepodległości należało iść – tak uważam. I nie obchodzą mnie zarzuty przeciwnika oraz nie zniechęcają mnie incydenty. Przeciwnie – incydenty mnie ZACHĘCAJĄ, bo są dowodem na to, że niepodległość ma wrogów realnych, a nie zmyślonych. Komuś z zewnątrz chciało się przyjść w kontrze do niepodległości. Przyszedł ze swoim zdaniem odmiennym, aby niepokoić lub drażnić. W takiej sytuacji manifestacja przestaje być pokojowa, gdyż na jej trasie pojawił się wróg. Niech nie przychodzi, a jeżeli przyszedł, to niech potem nie ma pretensji, że miały miejsce incydenty.

Skoro istnieją ludzie, którym nasza niepodległość przeszkadza, to w takim razie warto się o nią troszczyć, walczyć, bronić jej. Bez tych incydentów moglibyśmy żyć w przekonaniu, że nie ma po co maszerować, bo przecież niepodległość już mamy, więc nie zabiegamy więcej; jest wywalczona i zostanie. Tak myśli większość ludzi, usypiają, a potem jest za późno.

Niepodległość zawsze komuś przeszkadza. A z tego wniossek, że trzeba jej zawsze pilnować, bo inaczej ukradną, zabiorą. Ona jest jak pływanie – żeby nie utonąć, trzeba coś robić w tej sprawie.

Niepodległa RP zawsze przeszkadza Ruskim i Niemcom. Oba te kraje miałyby sytuację dla siebie lepszą, gdyby nasza ziemia należała do nich. Oba te kraje grają więc w interesie własnym przeciwko niepodległości ziem polskich. Niemcy promowali nasze wejście do Unii, aby nas wchłonąć.

Z zachowaniem pozorów, ale jednak wchłonąć. Pozory były po to, byśmy się nie bronili. I udało im się – na własną prośbę oddaliśmy kolejne dziedziny życia pod ich kontrolę. Sami zabiegaliśmy o członkostwo, o programy dostosowawcze i to zawsze Polska musiała się dostosowywać do nich. Nigdy nie słyszałem o procesie dostosowania przepisu unijnego do przepisów polskich.

Incydenty na Marszu Niepodległości są jak ukłucie bólu lub jak wysoka gorączka – przypominają o zagrożeniu. Są ważne i potrzebne, choć nieprzyjemne, a niekiedy brzydkie. Rozwolnienie też jest brzydkie, ale ma swoją pożyteczną funkcję – organizm musi coś z siebie wywalić.

Incydenty pozwalają też sprawdzić, komu konkretnie przeszkadza nasza niepodległość. Ta wiedza jest cenna, chcemy znać twarze i nazwiska przeciwników niepodległości.

Z jednej strony mamy Kiboli, których ja lubię i szanuję, a z drugiej strony mamy tych, których Kibole pogonili do ciemnej bramy. Co się dzieło w ciemnej bramie, nie wiem, ale jeżeli ktoś wrogo nastawiony do niepodległości przyszedł na Marsz Niepodległości, a potem ucieka do ciemnej bramy, to sam jest sobie winien. Podobnie jak ktoś, kto poszedł w góry pomimo ogłoszeń o zagrożeniu lawinowym. Przecież wiedział, w co idzie.

Gdy mnie PiS wywalał z TVP (kilka lat temu), robił to oficjalnie z powodu spale-

nia flagi Unii Europejskiej. Kupiłem tę flagę za swoje i spaliłem do kamery, aby pokazać, że wolno i że nie ma w tym nic złego. Flaga Unii to nie jest ani dzieło sztuki, ani książka, ani osoba. Kilka dni wcześniej flagi UE palono na Marszu Niepodległości. Media opisywały to jako „skandaliczny incydent”. Potem ja spaliłem publicznie moją flagę UE, stając w ten sposób w obronie podpalaczy. Incydent miał miejsce w programie „Minęła 20”. Co czwartek miałem tam własny segment. Moje wejścia były nagrywane kilka godzin przed emisją, a następnie obie strony wypuszczały taśmę w eter – ja na moich kanałach oraz TVP na swoich antenach. Ludzie z TVP wycięli fragment z paloną flagą, ale u mnie w sieci poszedł bez cenzury. I po tym incydencie mnie wywalili. Czyli wyleciałem nie za to, co powiedziałem w TVP, ale za to, co powiedziałem na moim prywatnym kanale. Kazali mi „ochłonąć i przemyśleć pewne sprawy”. Nie bardzo wiem, czego konkretnie oczekiwali – że przyjdę i przeproszę oraz obiecuję, że więcej tego nie zrobię?

Nie było za co przeproszać, podobnie jak nie mieli za co przeproszać podpalacze flagi z Marszu Niepodległości. W sensie prawnym i moralnym sprawa jest prosta: Unia Europejska to nadal jedynie stowarzyszenie międzynarodowe. Flaga państwa RP jest chroniona prawnie, ale flaga UE to tylko przedmiot i właściciel tego przedmiotu może z nim robić, co zechce – spalić, wywalić lub tyłek podetrzeć albo dać kozom do zeżarcia.

Palestyńczycy nagminnie palą flagę Izraela, pokazuje to na swojej antenie TVP i jakoś nikt się nie bulwersuje. Nawet Izrael się nie bulwersuje, a jedynie złości.

Na tegoroczny Marsz Niepodległości zapraszało wielu. (I ja, i naczelny Lisicki – wielu). Rafał A. Ziemkiewicz zapraszał w bardzo dramatycznym tonie – mówił o tym, że nasza niepodległość od dawna nie była tak bardzo zagrożona, jak jest teraz. Po chwili zastanowienia doszedłem do wniosku, że jednak nie ma racji – nasza niepodległość wcale nie jest zagrożona, ponieważ myśmy ją stracili dawno temu. W małych kawałkach. Zaczęliśmy się jej pozbywać od chwili wstąpienia do Unii Europejskiej – oddaliśmy wtedy suwerenność w zamian za forsę z unijnych dotacji. Chcieliśmy przeżyć skok cywilizacyjny zorganizowany za cudzą forsę. Chcieliśmy rozwoju nie za pomocą ciężkiej pracy własnej, ale za pomocą forsy cudzej.

Z okazji Zaduszek odwiedziłem rodzinne groby. Mój GPS wybrał trasę bocznymi drogami. Znałem te drogi z przeszłości, jeszcze z czasów Gierka. I co widziałem teraz? Te same domy co wtedy, te same nieotynkowane pustaki. Okna w tych starych domach są nowe – plastikowe niemieckie – i dachy są nowe – blaszane. Przy drogach głównych widać postęp, ale gdy jechałem drogą równoległą do głównej, to tam jest to samo, co było w czasach PRL. W zamian za oddaną do Brukseli niepodległość otrzymaliśmy cywilizacyjny lifting po wierzchu, ale to nie jest skok. Brukseli zależy, byśmy pozostali zacofaną w rozwoju prowincją. ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISICKIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



W PREZENCIE
KSIAŻKI

KS. PATRICK J. PEYTON:
„WSZYSTKO DLA NIEJ”,
SOHRAB AHMARI: „NIEZERWANA NIĆ”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

217,00 zł

OSZCZĘDNOŚĆ 315 zł

~~532 zł~~

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI | E-MAIL: prenumerata@mpg.pl | TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) | INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 7468871d78

Odkryj potencjał kryptowalut razem z zondacrypto

Twój zaufany przewodnik po świecie Web3

